

BARSOOM VII

# Edgar Rice Burroughs

WOJOWNIK Z MARSA



Wyjątkowa seria z amerykańską, brytyjską i rosyjską science fiction i fantasy

Książki i e-booki Edgara Rice'a Burroughsa w serii Galaktyka Gutenberga:



### **cykl Barsoom**

Księżniczka Marsa

Bogowie Marsa

Władca Marsa

Thuvia, wojowniczką Marsa

Szachiści Marsa

Władca umysłów z Marsa

Wojownik Marsa

Miecze Marsa

Sztuczni ludzie z Marsa

Llana z Gathol

### **cykl Pellucidar**

We wnętrzu Ziemi

Pellucidar

Tanar z Pellucidaru

Tarzan w Pellucidarze

Powrót do epoki kamienia

Kraina Grozy

Serię można subskrybować w całości. Dla subskrybentów specjalne edycje powieści i zbiorów opowiadań znanych pisarzy amerykańskich.

Seria dostępna wyłącznie w księgarni [Solarisnet.pl](http://Solarisnet.pl)

**Edgar Rice Burroughs**

**WOJOWNIK**

**Z MARSJA**

Przełożył  
Tomasz Walenciak



# Spis treści

Wyjątkowa seria...

Karta tytułowa

PRZEDMOWA

ROZDZIAŁ 1 SANOMA TORA

ROZDZIAŁ 2 ZESTRZELONY

ROZDZIAŁ 3 W MATNI

ROZDZIAŁ 4 TAVIA

**UWIĘZIONY**

ROZDZIAŁ 5 SKAZANI NA ŚMIERĆ

ROZDZIAŁ 6 ZAGŁADA

ROZDZIAŁ 7 PAJĄK Z GHASTA

ROZDZIAŁ 8 PHOR TAK Z JHAMA

ROZDZIAŁ 9 SKRZYDLATA ŚMIERĆ

ROZDZIAŁ 10 NIECH ROZPALĄ OGIEŃ!

ROZDZIAŁ 11 NIEWIDZIALNY PŁASZCZ

ROZDZIAŁ 12 HAREM TUL AXTARA

ROZDZIAŁ 13 LUDOŻERCY Z U-GOR

ROZDZIAŁ 14 BITWA O JAHAR

ROZDZIAŁ 15 ROZPACZ

ROZDZIAŁ 16 KSIĘŻNICZKA

Przypisy

# PRZEDMOWA

Zasługa nawiązania komunikacji radiowej między Pellucidarem a światem zewnętrznym należała do Jasona Gridleya z Tarzany, odkrywcy fali Gridleya.

Miałem szczęście odwiedzać często jego laboratorium podczas eksperymentów; stałem się też jego powiernikiem, dzięki czemu wiedziałem, że oprócz nadziei na łączność z Pellucidarem, wybiegał myślą ku jeszcze bardziej zadziwiającym osiągnięciom: wysyłał sygnały w przestrzeń kosmiczną, próbując nawiązać kontakt z inną planetą. Nie przeczył przy tym, że jego prawdziwym celem była łączność radiowa z Marsem.

Gridley zbudował nieskomplikowane, automatyczne urządzenie, które co pewien czas nadawało sygnał i rejestrowało wszelkie komunikaty odebrane pod jego nieobecność.

Przez pięć minut fale Gridleya niosły w eter prosty, zakodowany sygnał złożony z dwóch liter: J.G., po którym następowała dziesięciominutowa przerwa. Godzina za godziną, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, niewidzialni cisi posłańcy pędzili na najdalsze rubieże kosmosu. Kiedy Gridley opuścił Tarzanę, wyruszając z ekspedycją na Pellucidar, jego laboratorium zaczęło przyciągać mnie, kusząc możliwością spełnienia marzeń naukowca oraz złożoną mu przed wyjazdem obietnicą, że będę zaglądał tam od czasu do czasu, aby doglądać urządzenia i sprawdzać aparaturę rejestrującą w poszukiwaniu wskazówek, iż sygnał został odebrany i nadano odpowiedź.

Zażyłość z Gridleyem pozwoliła mi poznać w dużej mierze praktyczne aspekty działania jego urządzeń; dała mi również wystarczającą znajomość

alfabetu Morse'a, abym potrafił z przyzwoitą prędkością i dokładnością odbierać wiadomości.

Mijały miesiące, na aparaturze – z wyjątkiem jej ruchomych części – zbierała się gruba warstwa kurzu, a biała wstęga papieru, która miała zostać zapisana, pozostawała dziewiczo czysta. Aż wreszcie wyjechałem w krótką podróż do Arizony.

Nie było mnie przez jakieś dziesięć dni i jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobiłem po powrocie, były odwiedziny w laboratorium i sprawdzenie urządzenia, które Gridley zostawił pod moją opieką. Wszedłem do znanego pomieszczenia i włączyłem światło, spodziewając się widoku pustej taśmy, do którego zdążyłem się już przyzwyczaić. Fakt, nigdy nie miałem zbyt wielkiej nadziei na sukces, sam Gridley również nie był przesadnie optymistyczny: urządzenie było tylko i wyłącznie eksperymentem. Mój przyjaciel twierdził, że warto było je zbudować; z kolei ja uznałem za stosowne zapewnić mu ze swej strony wszelką możliwą pomoc.

Dlatego teraz ze zdumieniem, graniczącym ze wstrząsem, spoglądałem na taśmę poznaczoną znajomymi śladami, odpowiadającymi kropkom i kreskom kodu.

Oczywiście, zdawałem sobie sprawę, że odkrycie Jasona mogło zostać powtórzone przez jakiegoś innego badacza i wiadomość mogła pochodzić z Ziemi. Możliwe również, że wysłał ją on sam z Pellucidaru. Jednak po odkodowaniu wiadomości, wszelkie moje wątpliwości zostały rozwiane. Pochodziła od Ulyssesa Paxtona, byłego kapitana piechoty, który przeniesiony w cudowny sposób z pól bitewnych Francji na łono Czerwonej Planety stał się prawą ręką Ras Thavasa, największego umysłu Marsa, a później – mężem Valla Dii, córki Kor Sana, jeddaka Duhor.

Zwięźle rzecz ujmując, pisał że Helium od miesięcy przechwytywało tajemnicze sygnały, a choć tamtejsi naukowcy nie potrafili ich zinterpretować, domyślali się, że pochodziły z Jasoom, jak nazywają na Marsie Ziemię.

Ponieważ Johna Cartera nie było akurat w Helium, wysłano do Duhor szybki statek powietrzny z pilną prośbą, aby Paxton przybył jak najszybciej do bliźniaczych miast i postarał się stwierdzić, czy odbierane sygnały rzeczywiście pochodziły z jego rodzinnej planety.

Po przybyciu do Helium, Paxton rozpoznał od razu kod Morse'a, po czym marsjańscy naukowcy przekonali się niezbitcie, że nareszcie dokonano przełomu w próbach nawiązania dwustronnej komunikacji między Jasoom a Barsoom.

Kolejne próby wysłania odpowiedzi na Ziemię nie przynosiły rezultatów, aż wreszcie najtęższe umysły Helium zajęły się analizą i próbami odtworzenia fal Gridleya.

Ostatecznie uznali, że udało im się. Paxton wysłał wiadomość i czekali z niecierpliwością na potwierdzenie jej odebrania.

Od tamtej pory utrzymywałem niemal nieprzerwaną łączność z Marsem; z lojalności wobec Jasona Gridleya, któremu należą się wszelkie zasługi i zaszczyty z tego tytułu, nie ogłosiłem tego oficjalnie. Nie zamierzam też zdradzać żadnych istotnych informacji, odkładając to do jego powrotu. Sądzę jednak, że nie nadużyję jego zaufania, relacjonując interesującą historię Hadrona z Hastor, która opowiedział mi niedawno pewnego wieczoru Paxton.

Mam nadzieję, że przypadnie wam do gustu równie dobrze, jak mnie.

Zanim jednak przejdę do opowieści, wielu czytelników zaciekawili może zwiąży opis najważniejszych ras Marsa, ich ustroju politycznego i militarnego, oraz niektórych zwyczajów. Dominująca rasa, w której dłoniach spoczywa postęp i cywilizacja, a nawet samo życie Marsa, niezbyt się od nas różni wyglądem fizycznym. Największe różnice, jakie dzielą ich od anglosaskiego standardu to lekko czerwonawa, miedziana skóra oraz fakt, że są jajorodni. Ach tak, jest jeszcze coś: ich długowieczność. Naturalna długość życia Marsjanina to tysiąc lat, choć niewielu dożywa



tego wieku z racji wojowniczego usposobienia i powszechnego skrytobójstwa.

Zasadnicza struktura polityczna ich społeczności nie zmieniła się zbyt od niezliczonych wieków: podstawową jednostką pozostaje plemię, na czele którego stoi wódz albo jed, współcześnie stanowiący odpowiednik naszych królów. Książęta nazywani są niższymi jedami. Z kolei wodzem wódzów lub głową związku zjednoczonych plemion jest jeddak, czyli cesarz, którego małżonkę nazywają jeddarą.

Czerwoni Marsjanie zamieszkują na ogół ufortyfikowane miasta, choć wielu mieszka również na odizolowanych, umocnionych i dobrze bronionych farmach, które znajdują się w nawodnionym pasie ich krain, położonym przy brzegach długich cieków wodnych, znanych na Ziemi jako marsjańskie kanały.

Region polarny, na dalekim południu zasiedla rasa przystojnych, wysoce inteligentnych czarnych ludzi. Mieszka tam również resztkę białej rasy. Z kolei okolice bieguna północnego zasiedlone są przez rasę ludzi żółtych.

Tereny między biegunami zamieszkują rozproszone po pustkowiach dawnych mórz i korzystające często z ruin minionej epoki hordy zielonych Marsjan, które są postrachem tego świata.

Straszliwi zielonoskórzy wojownicy z Barsoom to odwieczni wrogowie wszystkich pozostałych ludów zamieszkujących wojowniczą planetę. Obdarzeni iście heroiczną wielkością, poza rękami i nogami posiadają dodatkowy, umieszczony między nimi zestaw kończyn, których używają wedle potrzeby jako jednych lub drugich. Nieco wypukłe oczy osadzone są po bokach głowy, nad jej środkiem, dzięki czemu istoty te mogą kierować je niezależnie od siebie w przód lub w tył, co pozwala tym niezwykłym stworzeniom patrzeć w dowolnym kierunku lub w dwie strony równocześnie bez potrzeby obracania głową.

Uszy, umieszczone znacznie bliżej siebie, nieco nad oczami, przypominają niewielkie kielichowate czułki sterczące parę cali nad głowę,

podczas gdy nos zastępuje podłużna szczelina pośrodku twarzy, w połowie drogi między ustami a uszami.

Pozbawione owłosienia ciało ma w dzieciństwie intensywnie jasną, zielonkawożółte zabarwienie, które w miarę zbliżania się do dorosłości przechodzi w oliwkową zielen, przy czym dojrzałe samce mają ciemniejszą skórę niż samice.

Tęczówki oczu są krwiste czerwone jak u albinosów, źrenice zaś ciemne. Gałki oczne są bardzo białe, podobnie jak zęby, które dodają straszliwego wyglądu ich wystarczająco przerażającym obliczom. Dolne ciosy wyrastają w górę, kończąc się spiczastym łukiem mniej więcej tam, gdzie Ziemiańskie mają oczy. Biel ciosów przypomina nie tyle kość słoniową, co najdelikatniejszą, lśniącą biel porcelany, odcinającą się wyraźnie na ciemnym tle oliwkowej skóry i nadającą im szczególnie groźny wygląd.

To okrutna i małomówna rasa, całkowicie wyprana z wyższych uczuć, takich jak miłość, litość czy współczucie.

Poruszają się wierzchem i nie chodzą pieszo, chyba że po obozowisku.

Używane przez nich wierzchowce, zwane thoatami, to olbrzymie, dzikie zwierzęta, których rozmiary harmonizują z gigantycznym wzrostem właścicieli. Mają osiem nóg oraz szeroki płaski ogon, szerszy na końcu niż u nasady, który w biegu trzymają wyprostowany. Ogromny pysk sięga od nosa do długiej, masywnej szyi. Podobnie jak ich jeźdźcy, zwierzęta są pozbawione owłosienia, a ich wyjątkowo gładka i lśniąca skóra ma barwę ciemnego łupka, poza białym brzuchem i kończynami, które przechodzą od szarości w okolicach bioder i łopatek do wyraźnej żółci zaopatrzonych w miękkie poduszki i pozbawionych pazurów łap.

Podobnie jak u czerwonych Marsjan, zielonoskórymi wojownikami rządzą jedowie i jeddakowie, ich organizacja militarna nie jest jednak zorganizowana z równie drobiazgową perfekcją.

Siły zbrojne czerwonych Marsjan są doskonale zorganizowane. Najważniejszym rodzajem służby jest flota: olbrzymie siły powietrzne

złożone z pancerników, krążowników oraz nieskończonej liczby rozmaitych mniejszych jednostek, aż po jednoosobowe statki zwiadowcze. Następna pod względem ważności i liczby jest piechota, podczas gdy kawaleria, korzystająca z mniejszych thoatów, podobnych do zwierząt używanych przez zielonych gigantów, wykorzystywana jest zasadniczo do patrolowania ulic miast oraz wiejskich rejonów położonych na granicy systemów irygacyjnych.

Zasadniczą, choć nie najmniejszą, jednostką organizacji armii jest utan, złożony z setki ludzi, dowodzonych przez dwara wraz z kilkoma podległymi mu padwarami lub porucznikami. Dziesięć tysięcy ludzi składa się na umak, dowodzony przez odwara, nad którym stoi jedwar, podległy tylko jedowi lub królowi.

Niektóre dziedziny nauki, sztuki i literatury stoją na o wiele wyższym poziomie niż ich ziemskie odpowiedniki, co może zdumiewać, kiedy pomyśleć o nieustannej walce o przetrwanie, która jest najwyraźniejszą cechą życia na Barsoom.

Mieszkańcy tej planety prowadzą nie tylko wieczną wojnę z naturą, która rozrzedza i tak skąpą atmosferę ich świata, ale od narodzin do śmierci muszą bronić się stale przed wrogimi narodami własnej rasy i koczowniczymi hordami zielonych wojowników zamieszkujących dno dawnych mórz. Z kolei za murami miast kryją się rzesze skrytobójców, których profesja otoczona jest takim szacunkiem, że tu i ówdzie jej przedstawiciele zrzeszają się wręcz w gildie.

Niemniej, mimo wszystkich zagrożeń, z którymi muszą się zmagać, czerwoni Marsjanie to szczęśliwy i towarzyski lud. Mają swoje tańce, pieśni i gry, a życie towarzyskie wielkich stolic Barsoom jest tak samo radosne i olśniewające jak życie bogatych stolic naszego świata.

Sam fakt, że ani John Carter ani Ulysses Paxton nie chcieli wrócić na Ziemię, świadczy o tym, że czerwoni Marsjanie to lud dzielny, szlachetny i szczodry.

A teraz wróćmy do opowieści, którą przesłał mi Paxton przez czterdzieści trzy miliony mil kosmosu.

# ROZDZIAŁ 1

## SANOMA TORA

Oto opowieść marsjańskiego wojownika, Hadrona z Hastor, którą opowiedział Ulyssesowi Paxtonowi:

Nazywam się Tan Hadron z Hastor. Moim ojcem jest Had Urtur, odwar pierwszego umaku armii tego miasta. Dowodzi największym okrętem, wysłanym z naszej ojczyzny do floty Helium, przynoszącym pełne dziesięć tysięcy żołnierzy pierwszego umaku wraz z pięciuset mniejszymi jednostkami bojowymi oraz całym sprzętem. Moja matka jest księżniczką z Gathol.

Moja rodzina nie miała żadnego majątku poza honorem, a ceniąc go wyżej od wszelkich bogactw doczesnych, postanowiłem pójść w ślady ojca zamiast wybrać bardziej intratną karierę. Aby zwiększyć swoje szanse na spełnienie ambicji, udałem się do stolicy cesarstwa i wstąpiłem na służbę w armii jeddaka, Tardosa Morsa, aby znaleźć się jak najbliżej wielkiego wodza Marsa, Johna Cartera.

Moje życie w Helium i kariera w armii przypominały życie i karierę setek innych młodych mężczyzn. Przeszedłem szkolenie, nie wyróżniając się niczym szczególnym, nie wyprzedzając swoich towarzyszy ani nie pozostając w tyle, i w stosownym czasie mianowano mnie padwarem 91. umaku, przydzielonym do 5. utanu 11. daru.

Dzięki szlachetnemu pochodzeniu ojca i odziedziczonej po matce królewskiej krwi pałace Helium zawsze były przede mną otwarte

i wciągnąłem się w wesołe życie towarzyskie stolicy, poznając w ten sposób Sanoma Torę, córkę Tor Hatana, odwara 91. umaku.

Tor Hatan pochodzi z niższej szlachty, ale zainwestowanym w ziemię uprawne i kopalnie łupom z licznych miast zawdzięcza bajeczne bogactwo, a ponieważ majątek liczy się w stolicy bardziej niż w Hastor, jest wpływowym człowiekiem, którego koneksje sięgają samego dworu jeddaka.

Nie zapomnę nigdy chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Sanoma Torę podczas obchodów jednego z wielkich świąt w marmurowym pałacu Wodza. Zebrały się tam pod jednym dachem najpiękniejsze kobiety Barsoom, a mimo to uroda Sanoma Tory zwracała na siebie uwagę nawet na tle olśniewającego, promiennego piękna Dejah Thoris, Tary z Helium i Thuvii z Ptarthu. Nie twierdzę, że górowała urokiem nad uznanymi królowymi piękności Barsoom, ponieważ wiem, że mój osąd byłby zabarwiony moim uwielbieniem dla niej. Byli tam jednak inni, którzy zauważyli jej zdumiewające piękno, tak różne od urody Dejah Thoris, jak czysty splendor polarnego krajobrazu różni się od uroku tropików lub jak przepych białego pałacu w świetle księżyca różni się od rozkoszy pałacowych ogrodów w południe.

Kiedy na moją prośbę zostałem jej przedstawiony, przede wszystkim rzuciła okiem na insygnia na moim pancerzu, a zauważywszy, że byłem tylko padwarem, zaszczyliła mnie jedynie łaskawym słowem, po czym odwróciła się znowu do dwara, z którym rozmawiała.

Przyznaję, że poczułem się dotknięty, choć w istocie rzeczy właśnie to lekceważące potraktowanie utwierdziło mnie w zamiarze zdobycia jej, ponieważ najbardziej godny pożądania wydawał mi się zawsze najtrudniejszy do zdobycia cel.

Tak oto zakochałem się w Sanoma Torze, córce dowódcy umaku, do którego mnie przydzielono.

Przez długi czas trudno było mi zrealizować swój zamiar choćby w niewielkim stopniu: w gruncie rzeczy przez kilka miesięcy od tego pierwszego spotkania nie widziałem nawet Sanoma Tory, ponieważ kiedy dowiedziała się, że miałem niską rangę i niewielki majątek, zdobycie zaproszenia do jej domu stało się dla mnie niemożliwe, a równocześnie przez długi czas nie zdarzyło mi się spotkać jej gdzie indziej. Mimo to, im bardziej stawiała się niedostępna, tym bardziej ją wielbiłem, aż każdą chwilę wolną od służby zacząłem poświęcać na obmyślanie coraz to nowych i coraz bardziej szalonych planów, dzięki którym miałem ją osiąść. Rozwazałem nawet uprowadzenie jej i zapewne posunąłbym się w końcu do tego, gdybym nie znalazł innego sposobu na spotkanie. Tak się jednak złożyło, że mniej więcej w tym właśnie czasie pewien współoficer 91. umaku, mianowicie dwar mojego utanu, zlitował się nade mną i zdobył dla mnie zaproszenie na przyjęcie w pałacu Tor Hatana.

Gospodarz, który był również moim dowódcą, nie raczył mnie do tej pory nawet zauważyć, i zaskoczyło mnie jego ciepłe, serdeczne powitanie.

– Musimy cię tu częściej widywać, Hadronie z Hastor – powiedział. – Obserwowałem cię i wróżę, że wysoko zajdziesz w służbie jeddaka.

Kiedy to powiedział, wiedziałem, że kłamał, ponieważ Tor Hatan słynął z zaniedbywania obowiązków dowódcy, które pozostawiał starszemu teedwarowi umaku. Choć nie potrafiłem odgadnąć powodu tego nagłego zainteresowania moją osobą, było mi ono na rękę, ponieważ umożliwiło mi na swój sposób rozpoczęcie starań o serce i rękę Sanoma Tory.

Ona sama okazała mi nieco więcej życzliwości niż przy pierwszym spotkaniu, choć zdecydowanie więcej uwagi poświęcała Sil Vagisowi niż mnie.

Cóż, jeśli czuję do kogoś w Helium szczególną odrazę, to do Sil Vagisa, miernego snoba o randze teedwara, który według mojej wiedzy nigdy nie dowodził wojskiem, ale pełnił za to funkcję w sztabie Tor Hatan, którą zawdzięczał zapewne wielkiemu majątkowi swego ojca.

Musimy znosić podobne kreatury w czasach pokoju, ale kiedy przychodzi wojna i dowodzenie przejmuje sam Wódz, majątek przestaje się liczyć a znaczenia nabierają prawdziwi wojownicy.

Tak czy owak, choć Sil Vagis zepsuł mi ten wieczór, podobnie jak wiele innych, opuściłem pałac Tor Hatana na granicy uniesienia, ponieważ Sanoma Tora pozwoliła mi odwiedzić się znowu, kiedy tylko pozwolą mi na to obowiązki.

Mój przyjaciel dwar towarzyszył mi w drodze powrotnej do kwatery, a usłyszawszy, jak ciepło przyjął mnie Tor Hatan, roześmiał się głośno.

– Bawi cię to? – zapytałem. – Dlaczego?

– Sam wiesz, że Tor Hatan jest bardzo bogaty i wpływowy – odpowiedział. – Zauważyłeś jednak zapewne, że nieczęsto bywa zapraszany do jednego z czterech miejsc w Helium, gdzie chcieliby być widywani ludzie ambitni.

– Masz na myśli dwór Wodza, jeda, jeddaka i księcia Carthorisa? – zapytałem.

– Oczywiście – odrzekł. – Czy są w Helium inne dorównujące im znaczeniem? Tor Hatan – mówił dalej – pochodzi podobno z niższej szlachty, ale wątpię czy w jego żyłach płynie choć kropla szlachetnej krwi. Swoje domysły opieram między innymi na tym, jak bardzo płaszczy się i nadskakuje wszystkim związanym z rodem władcy. Sprzedałby swoją tłustą duszę, żeby móc uchodzić za bliskiego znajomego kogoś z tej czwórki.

– Ale co to ma wspólnego ze mną? – zapytałem.

– Mnóstwo – odparł. – W gruncie rzeczy właśnie dlatego zaprosił cię dziś wieczór do swojego pałacu.

– Nie rozumiem – powiedziałem.

– Tak się złożyło, że rozmawiałem z nim rano tego dnia, kiedy otrzymałeś zaproszenie, i wspomniałem o tobie. Nigdy o tobie nie słyszał i nie okazał ani odrobiny zainteresowania padwarem 5. utanu, ale kiedy



wspomniałem, że twoja matka jest księżniczką Gathol, nastawił uszu. A kiedy usłyszał, że czterej bogowie Helium podejmują cię jak równego sobie serdecznego przyjaciela, zapalał wręcz entuzjazmem, aby poznać cię bliżej. Teraz rozumiesz? – zakończył ze śmiechem.

– Doskonale – odparłem. – Mimo wszystko, dziękuję. Potrzebowałem tylko okazji, a ponieważ byłem gotów zdobyć ją na drodze przestępstwa, nie mogę wybrzydnąć nad sposobem, jakim ją dostałem, choćby okazał się dla mnie niepoehlebny.

Przez całe miesiące odwiedzałem teraz pałac Tor Hatana, a będąc z natury dobrym partnerem do rozmowy, obeznanym z uroczystymi tańcami i wesołymi zabawami Barsoom, byłem tam mile widzianym gościem. Staralem się również często zabierać Sanoma Torę do jednego z czterech wielkich pałaców Helium, gdzie zawsze mogłem liczyć na serdeczne przyjęcie z racji pokrewieństwa między moją matką a Gahanem z Gathol, który poślubił Tarę z Helium.

Naturalnie, czułem, że moje zaloty nabrały tempa, choć nadal nie nadażały za moimi galopującymi pragnieniami. Nigdy wcześniej nie zaznałem miłości i czułem, że zginę, jeśli nie zdobędę wkrótce Sanoma Tory. Pewnego wieczoru odwiedziłem ją więc w pałacu ojca, podjąwszy ostateczną decyzję, aby przed wyjściem złożyć u jej stóp moje serce i miecz. Choć naturalna niepewność zakochanego podpowiadała mi, że byłem niegodnym jej robakiem i że miałyby rację odrzucając mnie, postanowiłem oświadczyć się jej w sposób, który pozwoliłby mi przynajmniej uchodzić otwarcie za konkurenta do jej ręki. Ostatecznie, nawet gdybym nie okazał się jej faworytem, zyskiwałem w ten sposób większą swobodę działania.

Była to jedna z tych pięknych nocy, dzięki którym nasz stary świat zmienia się w baśniową krainę. Thuria i Cluros pędziły po niebie, rzucając miękkie blask na ogród Tor Hatana, spowijając szkarłatną trawę purpurą i nadając dziwne barwy wspaniałym kwiatom pimalii i sorapusa. Kręte

ścieżki, wysypane półszlachetnymi kamieniami, odbijały z powrotem w niebo tysiące roziskrzonych promieni, które mieniając się nieprzerwanie zmiennymi kolorami, igrały u stóp marmurowych posągów, dodających ogrodowi artystycznego powabu.

W jednej z przestronnych sal z widokiem na ogród, na masywnej ławce ze szlachetnego drewna sorapusa, pokrytej tak bogatymi zdobieniami i misternymi rzeźbami, że mogłaby ozdobić dwór samego jeddaka, siedzieli młodzieniec i dziewczyna.

Młodzieniec nosił na skórzanej uprzęży insygnia rangi i służby: padwara 91. umaku. Młodzieńcem tym byłem ja, Hadron z Hastor, a moją towarzyszką – Sanoma Tora, córka Tor Hatana. Przyszedłem do pałacu gotów śmiało domagać się swego, ale ni stąd ni zowąd uświadomiłem sobie, jak bardzo byłem jej niegodny. Co mogłem zaoferować pięknej córce bogatego Tor Hatana? Byłem tylko padwarem, na domiar złego biednym. Owszem, w moich żyłach płynęła królewska krew Gathol i wiedziałem, że miało to pewne znaczenie dla Tor Hatana, ale nie lubię się chępić i nie potrafiłbym podpowiadać mojej wybrance, jakie korzyści mogłaby czerpać z tego tytułu, choćbym wiedział, że spojrzalaby wtedy na mnie przychylniej. Nie miałem zatem nic do zaoferowania oprócz mojej wielkiej miłości, która mimo wszystko pozostaje zapewne największym darem, jaki można złożyć drugiemu człowiekowi, a odnosiłem ostatnio wrażenie, że Sanoma Tora mogła odwzajemniać to uczucie. Posyłała po mnie kilkakrotnie, a choć za każdym razem proponowała odwiedziny w pałacu księżniczki Tary, byłem na tyle próżny, żeby żywić nadzieję, że nie była to jedyna przyczyna pragnienia mojego towarzystwa.

– Nie jesteś dziś zbyt ciekawym towarzyszem, Hadronie – powiedziała po szczególnie długiej chwili milczenia, podczas której próbowałem ubrać swoje oświadczenia w zgrabne i przekonujące słowa.

– Możliwe – odparłem. – To dlatego, że próbuję ująć w słowa najciekawszą myśl, jaka przyszła mi w życiu do głowy.

– Cóż to za myśl? – zapytała uprzejmie, nie okazując zbytniego zainteresowania.

– Kocham cię, Sanoma Toro! – wypaliłem niezręcznie.

Roześmiała się. Dźwięk jej śmiechu był jak uderzenie srebra o kryształ: piękny, lecz zimny.

– To widać od jakiegoś czasu – powiedziała. – Ale dlaczego mi o tym mówisz?

– Dlaczego miałbym tego nie zrobić? – spytałem.

– Ponieważ nawet gdybym odwzajemniała to uczucie, Hadronie, nie jestem dla ciebie – odparła zimno.

– A zatem nie pokochasz mnie? – chciałem wiedzieć.

– Tego nie powiedziałam – odrzekła.

– Potrafiłabyś mnie pokochać?

– Potrafiłabym, gdybym pozwoliła sobie na podobną słabość – stwierdziła. – Ale czym właściwie jest miłość?

– Wszystkim – wyrzuciłem z siebie.

Roześmiała się.

– Mylisz się, jeśli sądzisz, że złączyłabym się na całe życie z pospolitym padwarem, nawet gdybym go kochała – oświadczyła wyniosłym tonem. – Jestem córką Tor Hatana, którego majątek i władza niewiele ustępują królewskiemu rodom Helium. O moją rękę ubiegają się ludzie tak bogaci, że mogliby kupić tysiąc takich jak ty. Mojego ojca odwiedził w tym roku emisariusz jeddaka Jahar, Tul Axtara. Zobaczył mnie i powiedział, że wróci jeszcze. A teraz ty chciałbyś prosić mnie, kto wie, może przyszlą jeddare Jahar, abym z czystej miłości wyszła za biednego padwara!

Podniosłem się.

– Możliwe, że masz rację – oznajmiłem. – Jesteś tak piękna, że wydaje się prawie niemożliwe, iż mogłabyś się mylić. W głębi serca czuję jednak, że największym skarbem, jaki może mieć człowiek, jest szczęście,

a największą siłą – miłość. Bez nich, Sanoma Toro, nawet jeddara jest nędzarką.

– Zaryzykuję – powiedziała.

– Mam nadzieję, że jeddak Jahar nie jest tak tłusty jak jego emisariusz – zauważyłem, obawiam się, z pewnym rozdrażnieniem.

– O ile o mnie chodzi, może być nawet chodzącym kociołkiem tłuszczu, jeśli tylko zostanę dzięki niemu jeddarą – odcięła się.

– A zatem nie dasz mi żadnej nadziei? – zapytałem.

– Nie, jak długo masz tak niewiele do zaoferowania, padwarze – oświadczyła.

Ktoś ze służby zapowiedział wtedy Sil Vagisa i pożegnałem się z nią. Kiedy wracałem, przybity, do koszar, ogarnęło mnie głębokie zniechęcenie, jakiego jeszcze nigdy nie czułem. Ale choć zdawało się, że wszelkie moje nadzieje umarły, nie porzuciłem myśli o zdobyciu Sanoma Tory. Skoro jej ceną były władza i bogactwo, zamierzałem je zdobyć. Nie wiedziałem jeszcze całkiem jasno, w jaki sposób chciałem tego dokonać, ale byłem młody, a dla młodych nie ma rzeczy niemożliwych.

Przez jakiś czas przewracałem się na posłaniu, nie mogąc zasnąć, kiedy do mojej kwatery wpadł pewien oficer straży.

– Hadron! – krzyknął. – Jesteś tu?

– Tak – odparłem.

– Chwała prochom przodków! – zawołał. – Już się bałem, że cię nie zastanę.

– Dlaczego? – zapytałem. – O co chodzi?

– To ta chciwa beka sadła – stary Tor Hatan! Całkiem zwariował! – rzucił.

– Zwariował? Co chcesz przez to powiedzieć? I co to ma ze mną wspólnego?

– Twierdzi, że porwałś jego córkę.

Momentalnie poderwałem się na równe nogi.

– Porwałem Sanoma Torę?! – powiedziałem głośno. – Czy coś się jej stało? Mów zaraz!

– Owszem, zniknęła – odparł mój informator. – A w całej sprawie jest coś bardzo tajemniczego.

Nie czekałem jednak, żeby dowiedzieć się więcej. Chwyciłem uprząż i założyłem ją w biegu, pędząc po spiralnej rampie w kierunku hangarów na dachu koszar. Nie miałem uprawnień ani pozwolenia, żeby zabrać jeden ze statków, ale jakie miało to znaczenie, skoro Sanoma Tora znalazła się w niebezpieczeństwie?

Pilnujący hangaru wartownicy próbowali zatrzymać mnie i wypytać. Nie pamiętam, co powiedziałem; wiem tylko, że musiałem ich okłamać, ponieważ pozwolili mi zabrać szybki jednoosobowy pojazd i chwilę później pędziłem wśród nocy w stronę pałacu Tor Hatana.

Ponieważ od koszar dzielą go zaledwie nieco ponad dwa haady, po kilku chwilach byłem na miejscu. Lądując, widziałem zebranych w oświetlonym ogrodzie ludzi, wśród których byli Tor Hatan i Sil Vagis.

Pierwszy z nich ruszył gniewnie w moją stronę ledwie zeskoczyłem z pokładu.

– A więc to ty! – zawołał. – Co powiesz na swoją obronę? Gdzie moja córka?

– Tego właśnie chciałem się dowiedzieć, Tor Hatanie – odparłem. – Dlatego przyleciałem.

– To ty za tym stoisz! – oznajmił. – Porwałeś ją! Powiedziała Sil Vagisowi, że poprosiłeś ją dziś wieczór o rękę i odrzuciła twoje oświadczenia.

– Istotnie, oświadczyłem się i dała mi kosza – potwierdziłem. – To się zgadza. Ale jeśli naprawdę ją uprowadzono, to na wszystkich twoich przodków, nie trać czasu próbując wmieszać mnie w ten diaboliczny spisek. Nie miałem z tym nic wspólnego. Jak to się stało? Kto z nią wtedy był?

– Sil Vagis. Spacerowali w ogrodzie – odpowiedział Tor Hatan.

– Widziałeś, jak ją porwano – powiedziałem, zwracając się do Sil Vagisa. – I stoisz tu żywy, nawet nie draśnięty?

– Było ich wielu – odparł zacinającym się głosem. – Uległem przewadze liczebnej.

– Widziałeś napastników? – zapytałem.

– Tak.

– Czy widziałeś mnie wśród nich?

– Było ciemno. Nie rozpoznałem żadnego, może byli przebrani.

– Uległeś przewadze liczebnej? – pytałem dalej.

– Zgadza się – odparł.

– Kłamco! – zawołałem. – Gdybyś walczył, zabiliby cię! Uciekłeś i schowałeś się! Nie sięgnąłeś nawet po miecz, żeby bronić dziewczyny!

– To nieprawda! – odpowiedział głośno Sil Vagis. – Walczyłem, ale mieli przewagę!

Odwróciłem się do Tor Hatana.

– Tracimy tylko czas – powiedziałem. – Czy nie ma tu nikogo, kto mógłby powiedzieć nam cokolwiek na temat tych ludzi, oraz w jakim kierunku odlecieli? Skąd przybyli i w jaki sposób? Dokąd i jak uciekli?

– Ten człowiek próbuje zbić cię z tropu, Tor Hatanie – powiedział Sil Vagis. – Kto inny mógł to zrobić, jeśli nie rozczarowany konkurent? A gdybym powiedział, że ludzie, którzy porwali Sanoma Torę, mieli na sobie odznaki wojowników z Hastor?

– Nazwałbym cię kłamcą – odpowiedziałem. – Skoro było tak ciemno, że nie rozpoznałeś żadnej twarzy, jak mogłeś odczytać insygnia na odznakach?

Podszedł do nas kolejny oficer 91. umaku.

– Znaleźliśmy kogoś, kto może rzuci nieco światła na sprawę – powiedział. – O ile pożyje dość długo, żeby cokolwiek powiedzieć.

Od jakiegoś czasu żołnierze przeszukiwali teren pałacu Tor Hatana i sąsiadującą z nim część miasta. Kilku zbliżało się właśnie, niosąc

człowieka, którego złożyli na trawie u naszych stóp. Pogruchotane, zmiążdżone ciało było całkiem nagie. Biedak leżał, łapiąc z trudem powietrze. Wyglądał naprawdę kiepsko.

Posłany do pałacu niewolnik powrócił ze środkami trzeźwiącymi, a kiedy wepchnięto je przyniesionemu między wargi, ożywił się lekko.

– Kim jesteś? – zapytał Tor Hatan.

– Należę do straży miejskiej – odparł mężczyzna słabym głosem.

Do Tor Hatana podszedł zaaferowany oficer.

– Moi ludzie znaleźli sześć kolejnych ciał nieopodal miejsca, w którym trafiliśmy na tego człowieka – powiedział. – Wszystkie są nagie i podobnie zmiążdżone i połamane.

– Może uda nam się czegoś od niego dowiedzieć – powiedział Tor Hatan i odwróciwszy się ponownie do leżącego na trawie nieszczęśnika, polecił mu mówić dalej.

– Byliśmy na nocnym patrolu nad miastem, kiedy zauważyliśmy jakiś statek bez świateł. Podeszliśmy bliżej i oświetliliśmy go, więc zdążyłem mu się przyjrzeć. Nie miał flagi ani znaków, które wskazywałyby na to, skąd pochodził, a konstrukcja nie przypominała żadnych widzianych przeze mnie jednostek. Miał niską i długą zamkniętą kabinę, po której obu stronach umieszczono dziwną broń. Tylko tyle zdążyłem zauważyć. Spostrzegłem jeszcze jakiegoś człowieka, który wycelował ją w nas. Dowódca patrolu rozkazał natychmiast otworzyć ogień, równocześnie wzywając ich do zatrzymania. W tej samej chwili nasz statek rozpłynął się w powietrzu, zniknęła nawet moja uprząż. Pamiętam, że zacząłem spadać i to wszystko... – Z tymi słowami wciągnął ciężko powietrze i umarł.

Tor Hatan zwołał do siebie żołnierzy.

– Ktoś w pałacu albo jego sąsiedztwie musiał widzieć to zdarzenie – oznajmił. – Cokolwiek wie o tej sprawie, rozkazuję mu przemówić, bez względu na to, kto może być w nią zamieszany.

Wystąpił jeden z niewolników. Kiedy podszedł bliżej, Tor Hatan spojrzał na niego z wyniosłą arogancją.

– Co masz mi do powiedzenia? – rzucił. – Mówże, człowieku!

– Na twój rozkaz powiem, co widziałem, Tor Hatanie – odpowiedział niewolnik. – Nie zrobiłbym tego, gdybyś mi nie polecił, aby nie wzbudzać wrogości potężnego człowieka. – Tu posłał szybkie spojrzenie w stronę Sil Vagisa.

– O ile powiesz prawdę, zdobędziesz przyjaźń padwara, którego miecz zdoła obronić cię nawet przed nim – powiedziałem zaraz, również posyłając spojrzenie w stronę Sil Vagisa, ponieważ przyszło mi do głowy, że informacje, jakie miał nam do przekazania ten człowiek, mogły okazać się niezbyt pochlebne dla miękkiego fircyka odgrywającego rolę wojownika.

– Mów! – Niecierpliwiał się Tor Hatan. – I bacz, żebyś nie kłamał.

– Przebywam w twoim pałacu od czternastu lat, Tor Hatanie – odparł niewolnik. – Służę ci wiernie, od kiedy trafiłem tu jako jeniec po upadku i złupieniu Kobol, gdzie należałem do osobistej straży jeda. Przez cały ten czas ani razu nie miałeś powodu, aby wątpić w moją prawdomówność. Sanoma Tora ufała mi, a gdybym dziś wieczór miał przy sobie miecz, możliwe, że byłaby tu z nami.

– Dalej, do rzeczy! – ponaglał Tor Hatan – Co takiego widziałeś?

– Ten człowiek nic nie widział – uciął Sil Vagis. – Po co tracić dla niego czas? Próbuje tylko zyskać chwilowy rozgłos.

– Pozwólcie mu mówić – powiedziałem.

– Wszedłem właśnie na drugie piętro pałacu, żeby zgodnie ze zwyczajem przygotować posłanie w twojej sypialni – tłumaczył niewolnik. – Zatrzymałem się po drodze na chwilę, żeby spojrzeć na ogród i ujrzałem Sanoma Torę i Sil Vagisa spacerujących w blasku księżyca. Świadom, że nie powinienem ich podglądać, miałem już ruszać dalej i zająć się swoimi obowiązkami, kiedy zobaczyłem, że z mroku wyłonił się jakiś statek i wylądował cicho w ogrodzie. Silniki pracowały bezszelestnie,



światła na pokładzie były wygaszone. Zdawało się wręcz, że to statek widmo, a jego konstrukcja była na tyle niezwykła, że sama w sobie wystarczyłaby, żeby przykuć moją uwagę. Ale miałem też inny powód: rzadko zdarza się, żeby lecący w nocy z wygaszonymi światłami statek miał dobre zamiary. Zatrzymałem się więc, żeby obserwować sytuację.

– Statek wylądował cicho i sprawnie za Sanoma Torą i Sil Vagisem. Zdawało się, że nie zauważyli go, dopóki ich uwagi nie przyciągnął cichy brzęk ekwipunku jednego z wojowników, którzy zeskoczyli z niskiego pokładu. Sil Vagis obrócił się i przez chwilę stał jak skamieniały, a kiedy ruszyli w jego stronę, odwrócił się i uciekł, chowając się między krzewami w ogrodzie.

– To kłamstwo! – zawołał Sil Vagis.

– Milcz, tchórze – poleciłem mu.

– Mów dalej, sługo! – popędzał Tor Hatan.

– Sanoma Tora nie zauważyła nawet obecności wojowników, dopóki nie chwycili jej brutalnie od tyłu. Wszystko stało się tak szybko, że ledwie pojąłem, jaki był cel tej złowrogiej wizyty, mieli ją w rękach. Kiedy zrozumiałem, że to moja pani była celem tej nocnej napaści, puściłem się biegiem w dół rampy, ale zanim dotarłem do ogrodu, zdążyli zaciągnąć ją na statek. Ciągle jednak mógłbym przynajmniej zginąć w służbie Sanoma Tory, gdybym miał przy sobie miecz, dopadłem bowiem statku, kiedy ostatni z wojowników wdrapywał się na pokład. Chwyciłem go za uprzęż i próbowałem ściągnąć go na ziemię, krzycząc głośno, żeby ściągnąć na pomoc straż pałacową. Zanim jednak pojawili się, jeden z ludzi na pokładzie sięgnął po miecz i uderzył mnie wściekle w głowę. Ostrze otarło się tylko o mnie, ale to wystarczyło, żeby zamroczyć mnie na chwilę. Puściłem wojownika i upadłem na trawę. Kiedy odzyskałem przytomność, statek już zniknął, a opieszali strażnicy dopiero wybiegali z wartowni. Tak właśnie było. Powiedziałem.

Tor Hatan odszukał lodowatym spojrzeniem spuszczonego wzrok Sil Vagisa.

– I co na to powiesz? – zapytał.

– Ten człowiek jest na usługach Hadrona! – krzyknął Sil Vagis. – Kłamie! Kiedy zjawili się w ogrodzie, podjąłem walkę, ale było ich zbyt wielu i uległem przewadze liczebnej. Nie było go przy tym!

– Pozwól, że obejrzę twoją głowę – powiedziałem do niewolnika. Podszedł do mnie i ukląkł. Zobaczyłem, że całą skroń tuż nad uchem, pokrywał wielki, czerwony krwiak, dokładnie taki, jaki zostawiłoby uderzenie płazem miecza. – Oto dowód lojalności i odwagi tego człowieka – powiedziałem do Tor Hatana, wskazując na opuchliznę. – A teraz obejrzyjmy rany, jakie zdobył oficer Helium, który według własnych słów sam jeden ruszył do walki z o wiele liczniejszym przeciwnikiem. Po takim starciu musiało zostać mu co najmniej draśnięcie.

– Chyba, że włada mieczem tak dobrze jak wielki John Carter – dodał ze źle skrywaną drwiną dwar straży pałacowej.

– To spisek! – zawołał Sil Vagis. – Czy wierzysz słowom niewolnika bardziej niż szlachetnie urodzonemu Heliumicie, Tor Hatanie?

– Wierzę świadectwu oczu i zmysłów – odparł odwar, odwracając się plecami do Sil Vagisa. – Czy rozpoznałeś kogoś z porywaczy? – zwrócił się ponownie do niewolnika. – A może zauważyłeś ich odznaki i uprząż?

– Nie przyjrzałem się dobrze twarzy żadnego, ale widziałem uprząż i insygnia człowieka, którego próbowałem ściągnąć ze statku.

– Czy nosił znak Hastor? – zapytał Tor Hatan.

– Ależ skąd, na przodków! – odparł z naciskiem niewolnik. – Ani Hastor ani żadnego innego miasta w granicach Helium. Sprawiały wrażenie obcych, a jednak miały w sobie coś męcząco znajomego. Czuję, że gdzieś je widziałem, ale nie potrafię przypomnieć sobie dokładnie gdzie i kiedy. Służąc jedowi Kobol walczyłem z najeźdźcami z wielu krain i możliwe, że widziałem je już podczas jednego z tych starć wiele lat temu.

– Czy teraz wierzysz, że oszczerstwa, które rzuca na mnie Sil Vagis, są bezpodstawne, Tor Hatanie? – zapytałem.

– Owszem, Hadronie z Hastor – oznajmił odwar.

– Zatem oddalę się, jeśli pozwolisz – powiedziałem.

– Dokąd się udajesz? – zapytał.

– Szukać Sanoma Tory – odparłem.

– Jeśli uda ci się ją znaleźć i przywieźć bezpiecznie do domu – powiedział – będzie twoja.

Moją jedyną odpowiedzią na tę hojną propozycję był głęboki ukłon, ponieważ wydawało mi się, że Sanoma Tora miała w tej sprawie coś do powiedzenia; poza tym, tak czy siak, nie chciałem wiązać się z kobietą, która nie wybrałaby mnie z własnej i nieprzymuszonej woli.

Wskoczyłem na pokład statku, którym tu przyleciałem, wzbiłem się w nocne niebo i pomknąłem w stronę marmurowego pałacu Wodza Barsoom. Choć pora była późna, zamierzałem spotkać się z nim, nie tracąc ani chwili.

## ROZDZIAŁ 2

### ZESTRZELONY

Zbliżając się do pałacu Wodza, zauważyłem oznaki niezwyklej o tak późnej porze aktywności. Pojazdy przylatywały i odlatywały bezustannie, a kiedy wylądowałem w części dachu przeznaczonych dla jednostek wojskowych, zauważyłem statki paru notabli ze sztabu Wodza.

Ponieważ wszyscy oficerowie straży znali mnie jako częstego gościa, bez problemu dostałem się do środka, po czym polecono mi, abym zaczekał w korytarzu przy niewielkim gabinecie, w którym Wódz zwykł udzielać prywatnych audiencji, podczas gdy niewolnik wszedł do środka, aby mnie zapowiedzieć.

Nie wiem, ile czekałem. Nie mogło to trwać to długo, choć czas ten zdawał mi się istną wiecznością, ponieważ dręczyła mnie myśl o tym, że moja ukochana znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie. Ogarnęło mnie nedorzeczne, choć szczere przekonanie, że tylko ja mogłem ją ocalić, a oto zwlekałem, zmniejszając szanse na uratowanie jej, zanim będzie za późno.

Jednak doczekałem się w końcu: zaproszono mnie do środka, a stanąwszy w obecności Wodza, ujrzałem, że otaczali go najwyżsi rangą doradcy władcy Helium.

– Zakładam, Hadronie, że sprowadza cię tu w nocy sprawa uprowadzenia córki Tor Hatana – powiedział John Carter, przechodząc od razu do rzeczy. – Czy posiadasz jakąkolwiek wiedzę lub teorię, która mogłaby rzucić nieco światła na ten temat?

– Nie – odparłem. – Przybyłem tylko prosić o twoją zgodę, aby ruszyć niezwłocznie tropem porywaczy i spróbować ich znaleźć.

– Gdzie zamierzasz szukać? – zapytał.

– Tego jeszcze nie wiem – odpowiedziałem. – Ale znajdę ją.

Uśmiechnął się.

– Podobna pewność siebie to już jakiś atut – stwierdził. – A ponieważ wiem, co za nią stoi, udzielam zgody, o którą prosisz. Choć samo porwanie córki Helium to dostatecznie poważna sprawa, aby zezwolić na użycie wszelkich możliwych środków w celu zatrzymania porywaczy i sprowadzenia jej do domu, incydent dotyczy również pewnej kwestii, która może zwiastować poważne zagrożenie dla bytu państwa. Z pewnością wiesz już, że tajemniczy statek, którym ją wywieziono, uzbrojony był w niewielkie miotacze emitujące nieznaną nam promienie. Podczas próby zatrzymania i przesłuchania, porywacze użyli jej, niszcząc bez śladu wszelkie metalowe elementy patrolowca. Zniknęły nawet broń i metalowe elementy uprząży załogi, co można z łatwością potwierdzić obejrawszy szczątki statku i trupy. Znaleziono drewno, skóry i ciała, wszystkie przedmioty pochodzenia roślinnego i zwierzęcego, dokładnie tam, gdzie spadły na powierzchnię. Nie został za to nawet ślad po substancjach metalicznych.

– Mówię ci o tym, ponieważ mam pewne domysły co do pochodzenia naszych nowych nieprzyjaciół. Uważam, że był to dopiero pierwszy cios, ponieważ każda flota wyposażona w tę broń miałaby Helium w ręku, a niewiele jest na Barsoom krajów, które nie rzuciłyby się zachłannie na wszelkie wynalazki, które umożliwiłyby im spustoszenie naszych miast.

– Od pewnego czasu niepokoiła nas rosnąca liczba znikających statków. Niemal w każdym przypadku chodziło o jednostki zajmujące się mapowaniem prądów powietrznych oraz pomiarami ciśnienia atmosferycznego w rejonach planety położonych daleko od Helium. Ostatnio dało się wyraźnie zauważyć, że olbrzymia większość zaginionych

statków badała południową część zachodniej półkuli, niegościny rejon, o którym niestety niewiele wiemy ze względu na to, że nie utrzymujemy kontaktów handlowych z mieszkającymi tam wrogo usposobionymi ludami.

– To tylko domysł i mgliste przecucie, Hadronie, ale możesz je ode mnie przyjąć jako wskazówkę. Do jutra w południe wyślemy na poszukiwanie porywaczy Sanoma Tory tysiąc jednoosobowych statków zwiadowczych. Ale to nie wszystko. Polecą również krążowniki i wielkie okręty bojowe, ponieważ musimy dowiedzieć się, jakie miasto lub naród wynalazł niszczycielską broń, której użyto dziś w nocy nad Helium.

– Sądzę, że wynaleziono ją całkiem niedawno i mocarstwo, które ją posiada, dokłada niewątpliwie wszelkich starań, aby udoskonalić ją i produkować w ilościach, dzięki którym jego mieszkańcy staną się władcami świata. Skończyłem. Ruszaj i niech ci szczęście sprzyja!

Możecie wierzyć, że uzyskawszy zgodę Wodza, nie tracąc czasu udałem się w swoją misję. Powróciłem do koszar i poczyniłem naprędce przygotowania do wylotu, polegające zasadniczo na starannym doborze uzbrojenia i wymianie noszonej przeze mnie ozdobnej upręży na prostszą, z twardszej i bardziej wytrzymałej skóry. Zawsze noszę najlepsze a zarazem najprostsze stroje, jakie uda mi się znaleźć, kupując je u słynnego producenta z Małego Helium. Moje standardowe uzbrojenie składało się z długiego i krótkiego miecza, sztyletu i pistoletu. Zaopatrzyłem się również w zapas amunicji i koncentratów żywnościowych, używanych przez wszystkich marsjańskich wojowników.

Zebrawszy najpotrzebniejsze rzeczy, które wraz z jednym służącym mi za posłanie futrem, miały stanowić cały mój ekwipunek, pograżyłem się w rozmyślaniach nad możliwym wyjaśnieniem zniknięcia Sanoma Tory. Przetrząsałem pamięć, szukając najmniejszej wskazówki powodu uprowadzenia lub prawdopodobnej tożsamości porywaczy. Przypomniałem sobie wtedy, jak wspomniała o jeddaku Jahar, Tul Axtarze; poza tym nie przyszło mi do głowy nic innego. Pamiętałem wyraźnie emisariusza Tul

Axtara, który odwiedził niedawno dwór w Helium. Słyszałem, jak chełpił się potęgą i bogactwem swojego jeddaka oraz urodą jego kobiet. Poszukiwania Sanoma Tory mogłem zacząć więc od Jahar, przed odlotem jednak postanowiłem odwiedzić jeszcze raz pałac Tor Hatana i wypytać niewolnika, który widział jego córkę jako ostatni.

Miałem już tam polecieć, kiedy przyszło mi do głowy coś jeszcze. Wiedziałem, że w Świątyni Wiedzy można było znaleźć rysunki lub repliki odznak i i uprząży wszelkich ludów Barsoom, o których wiedziano cokolwiek w Helium. A zatem udałem się tam niezwłocznie i z pomocą pracownika archiwum znalazłem rysunek uprząży i odznaki wojownika z Jahar. Dzięki pomysłowemu wynalazkowi fotokopii po paru chwilach trzymałem w ręku odblaskową ilustrację, z którą pospieszyłem do pałacu Tor Hatana.

Odwara, którego wezwano przed oblicze Wodza, nie było w domu, ale zarządca pałacu sprowadził Kal Tavana, niewolnika, który był świadkiem porwania Sanoma Tory i walczył z jednym z porywaczy.

Kiedy Kal Tavan podszedł bliżej, przyjrzałem mu się uważniej niż przedtem. Dobrze zbudowany, miał wyraziste rysy i nosił się w sposób, który stanowczo zdradzał w nim wojownika.

– Mówiłeś, zdaje się, że pochodzisz z Kobol? – zapytałem.

– Urodziłem się w Tjanath – odparł. – Mieszkałem tam z żoną i córką. Moja żona zginęła z ręki skrytobójcy, a córka zaginęła, kiedy była jeszcze bardzo młoda. Nie dowiedziałem się nigdy, co się z nią stało. Ponieważ znajome otoczenie Tjanath przypominało mi wciąż o szczęśliwszych dniach, pogłębiając moją rozpacz, postanowiłem odejść. Zostałem pantanem i szukałem służby w innych miastach; w ten sposób trafiłem do Kobol.

– I w służbie Kobol widziałeś stroje i odznaki wielu ludów i miast? – zapytałem.

– Tak – odparł.

– A zatem co to za odznaka i skąd pochodzi ta uprząż? – powiedziałem, podając mu kopię rysunku przyniesioną ze Świątyni Wiedzy.

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem, po czym w jego oczach pojawił się błysk pamięci.

– Wyglądają dokładnie tak samo – stwierdził. – To właśnie je widziałem.

– Tak samo jak co? – zadałem mu pytanie.

– Jak uprząż wojownika, z którym walczyłem, kiedy porwano Sanoma Torę – odpowiedział.

– A zatem wiemy, skąd przylecieli porywacze – oznajmiłem, po czym zwróciłem się do zarządcy pałacu. – Poślij zaraz gońca do pałacu Wodza i poinformuj go, że córkę Tor Hatana porwali ludzie z Jahar, wysłani prawdopodobnie przez tamtejszego jeddaka, Tul Axtara – po czym bez zbędnych słów odwróciłem się i opuściłem pałac, udając się prosto do mojego statku.

Wzbiłem się nad wieże, kopuły i wysokie lądowiska Wielkiego Helium, obróciłem statek dziobem na zachód i dodałem prędkości, mknąc przez rzadką atmosferę umierającej planety ku rozległym, nieznanym obszarom dalekiej południowo-zachodniej części świata, na której bezkresach leżało Jahar. Tam właśnie, jak wierzyłem, więziono właśnie Sanoma Torę, aby uczynić ją nie tyle jeddarą Tul Axtara, co jego niewolnicą, ponieważ nie ma na Barsoom zwyczaju, który kazałby jeddakom porywać przyszłe małżonki siłą.

Sądziłem, że znałem już przyczyny uprowadzenia Sanoma Tory – przyczyny, które jako niezbyt pochlebne przyniosłyby jej sporego wstydu. Byłem przekonany, że emisariusz Tul Axtara opisał swojemu panu urok i wdzięk córki Tor Hatana, ale ponieważ nie miała w sobie dość szlachetnej krwi, aby zostać jeddarą, uciekł się do jedyne go sposobu, dzięki któremu mógł ją osiąść. Na myśl o tym poczułem gotującą się we mnie krew, ale rozsądek podpowiadał, że z pewnością miałem rację.



Ostatnimi laty, przez jedną lub dwie dekady, zrobiliśmy w sztuce latania większe postępy niż przez poprzednie pięć wieków.

Za początek nowej ery odkryć wielu uważa wynalazek kompasu sterującego Carthorisa z Helium. Przed nim, od stuleci tkwiliśmy w spokojnej sadzawce samozadowolenia, zupełnie jakbyśmy osiągnęli szczyt doskonałości, poza którym daremnie byłoby próbować ulepszyć to, co mieliśmy za szczytowe osiągnięcia nauki.

Obudził nas Carthoris, który odziedziczył po swoim ziemskim ojcu niespokojny, wnikliwy intelekt. Najlepsze umysły Helium podjęły jego wyzwanie, czemu zawdzięczamy szybkie udoskonalenie konstrukcji wszelkich pojazdów powietrznych, głównie w stosowanych w nich napędach.

Sądziliśmy, że naszych lekkich i zwartych, potężnych silników radowych nie można było udoskonalić, a bezpieczna i ekonomiczna podróż z prędkością przewyższającą tę, która osiągały nasze jednoosobowe statki zwiadowcze – około tysiąca stu haadów na zod<sup>[1]</sup>, była niemożliwa. Tymczasem praktycznie nieznaną padwar służący we flocie Helium oświadczył, że skonstruował silnik o połowę lżejszy od używanych obecnie, rozwijający za to dwa razy większą prędkość.

W tego rodzaju napęd wyposażony był mój statek zwiadowczy. Silnik działał bez paliwa, czerpiąc niewidzialną i niemożliwą do zmierzenia energię z nieograniczonych i niewyczerpanych zasobów pola magnetycznego planety.

Nowy napęd posiada pewne cechy znane w pełni wyłącznie wynalazcy oraz władzom Helium, i strzeżone zazdrośnie. Wał śmigła, który ciągnie się przez cały kadłub, składa się z licznych, rozdzielonych izolacją segmentów bocznych. Otacza go i podtrzymuje rząd podobnych do szkieletu statku panewek, przez które przechodzi.

Połączone są one szeregowo z akumulatorem, które kieruje energię magnetyczną planety do panewek wokół wału śmigła.

Prędkość kontroluje się, zwiększając lub zmniejszając liczbę panewek podłączonych do akumulatora za pomocą zwykłej dźwigni, operowanej przez pilota, leżącego zazwyczaj na pokładzie i przymocowanego do osadzonych w nim wytrzymałych pierścieni za pomocą pasów.

Ograniczenia prędkości tej konstrukcji zależą, jak twierdzi wynalazca, wyłącznie od proporcji mocy do wagi kadłuba. Mój statek zwiadowczy z łatwością osiąga prędkość dwóch tysięcy haadów na zod, ale nie wytrzymałby kolosalnej siły naprężenia związanej z potężniejszym silnikiem, choć z łatwością mógłbym zwiększyć prędkość i moc napędu, przedłużając po prostu wał śmigła i dokładając kolejne panewki.

Poprzedniego roku, podczas eksperymentów z nowym napędem w Hastor dokonano próby lotu statkiem zwiadowczym z wyjątkową prędkością trzech tysięcy trzystu haadów na zod<sup>[2]</sup>. Zanim jednak statek doszedł do trzech tysięcy haadów, napęd sprawił, że rozleciał się w powietrzu. Obecnie znowu staramy się uzyskać najwyższą możliwą moc przy najmniejszym ciężarze, i jestem pewny, że kiedy nasi inżynierowie odniosą sukces, prędkość statków zacznie rosnać i bez trudu dojdziemy do siedmiu tysięcy haadów na zod<sup>[3]</sup>, ponieważ zdaje się, że moc tego niezwykłego napędu jest praktycznie nieograniczona.

Temu wynalazkowi nie ustępuje wcale kompas sterujący Carthorisa: wystarczy ustawić wskaźnik na dowolny punkt na naszej półkuli i uruchomić silnik, a potem można położyć się spać. Statek sam znajdzie cel podróży, zejdzie na wysokość około stu jardów i zatrzyma się, zaś pilota obudzi alarm. To naprawdę proste urządzenie, choć jestem pewny, że John Carter opisał je już w pełni w jednym ze swoich licznych rękopisów.

Podczas przygody, na którą wyruszyłem, nie było jednak zbyt przydatne, ponieważ nie znałem dokładnego położenia Jahar. Mimo to ustawiłem wskaźnik na punkt położony w przybliżeniu na trzydziestym stopniu szerokości południowej i trzydziestym piątym długości wschodniej, wierząc, że znajdę Jahar na południowy zachód od niego.

Leciałem ze sporą prędkością i dawno zostawiłem za sobą leżące blisko stolicy tereny uprawne. Pędziłem teraz nad bezludnym pustkowiem żółtego mchu porastającego dno dawnego morza, nad którym przewalał się kiedyś potężny ocean, niosący statki szczęśliwych i bogatych ludów, obecnie będący już tylko na wpół zapomnianym wspomnieniem z legend Barsoom.

Na granicy płaskowyżu, który stanowił niegdyś brzegi wspaniałego kontynentu, przeleciałem nad samotnymi pomnikami bogactwa starożytności: ponurymi, wymarłymi miastami dawnego Barsoom. Nawet ich ruiny mają w sobie godność i majestat, które wprawiają współczesnych ludzi w zdumienie. Niżej, przy najstarszym poziomie dawnych mórz, inne ruiny znaczą ślady tragicznej wędrówki starożytnej cywilizacji, ścigającej cofające się wody oceanu aż do miejsca, w którym ostatnie miasto poddało się wreszcie, odarte z potęgi i pozbawione kontaktów handlowych, zmieniając się w łatwy łup dla plądrujących okolice hord zielonych barbarzyńców, których potomkowie są teraz jedynymi władcami dna dawnych mórz. Nienawidzący i otoczeni nienawiścią, nie znający śmiechu, miłości i szczęścia, trawią swój długi dziki żywot na konfliktach z sąsiadami, napadając na każdego poszukiwacza przygód, który zawędruje na ich jałowe pustkowia.

Choć wszyscy zieloni ludzie to straszliwi barbarzyńcy, niewielu dorównuje okrucieństwem i krwawymi czynami hordom Torquas, których dokonania napawają czerwonych ludzi przerażeniem.

Miasto, od którego wywodzą swoją nazwę, było niegdyś jednym z najpiękniejszych i najpotężniejszych miast Barsoom. Choć od wieków opuszczone przez wszystkich, poza plemionami zielonoskórych koczowników, nadal znajduje się na każdej mapie, a ponieważ nie widziałem go nigdy a leżało dokładnie na trasie moich poszukiwań, rozmyślnie ustaliłem plan lotu w taki sposób, aby nad nim przelecieć. Ujrzawszy daleko przed sobą strzeliste wieże i blanki, poczułem dreszcz

podniecenia i zew przygody, które budzi widok wymarłych miast w ludziach mojej rasy.

Zbliżywszy się do miasta, zmniejszyłem prędkość i zmniejszyłem pułap, żeby mieć lepszy widok. Jakże piękne musiało być to miasto w swoim czasie! Nawet teraz, po wszystkich stuleciach, które upłynęły od dni, kiedy szerokie ulice pulsowały szczęśliwym życiem bogatych tłumów, wielkie pałace Torquas nadal stoją pełne majestatu, złagodzonego i zmiękczonego przez upływ czasu i walkę z żywiołami, ale nie zniszczonego.

Krążąc nisko nad miastem, ujrzałem ciągnące się całymi milami ulice, których od wieków nie tknęła ludzka stopa. Kamienne płyty trotuarów zarastał żółty mech, a tu i ówdzie wybijało spomiędzy nich karłowate drzewo lub groteskowy krzak jednego z gatunków, którym w niewyjaśniony sposób udaje się znaleźć pożywienie na jałowym pustkowiu. Spoglądały na mnie ciche, opuszczone podwórza, które w innych, szczęśliwszych czasach były wspaniałymi ogrodami. Gdzieś widać było zapadnięty dach, na ogół jednak budynki były nietknięte i śniły z pewnością o pięknie i bogactwie dawnych dni. Oczy ma wyobraźni widziałem wietrzące się na słońcu kosztowne futra i jedwabie, oraz kobiety odpoczywające w cieniu baldachimów o wesołych barwach, i ich wysadzone klejnotami uprząże mieniące się przy każdym ruchu w świetle słońca. Widziałem proporce łopoczące na tysiącach masztów i wielkie statki w przystani, które wznosiły się i opadały na falach niespokojnego morza. Ulicami przechadzali się dumnym krokiem żeglarze, a drzwi każdego pałacu pilnowali muskularni wojownicy. Co za obraz wyczarowała moja wyobraźnia wśród śmiertelnej ciszy wymarłego miasta! Niestety, zataczając długi łuk nad miastem, przeleciałem nad dziedzińcem wspaniałego pałacu przy centralnym placu miasta, gdzie ujrzałem widok, który rozwił te piękne marzenia o przeszłości. Dokładnie pod sobą zauważyłem dwie dziesiątki olbrzymich thoatów zamkniętych w zagrodzie na terenie, który zapewne stanowił kiedyś królewski ogród jeddaka.

Obecność tych wielkich zwierząt mogła znaczyć tylko jedno: gdzieś w pobliżu byli ich zielonoskórzy właściciele.

Kiedy przelatywałem nad dziedzińcem, jedno z tych niespokojnych i złośliwych bydła podniosło wzrok, zauważyło mnie i natychmiast zaczęło gniewnie kwiczeć. Pozostałe thoaty, zaniepokojone odgłosami wydawanymi przez towarzysza, podążyły wzrokiem za jego spojrzeniem i zauważyły mnie od razu, po czym w dole rozpętało się istne pandemonium kwików i pochrząkiwań, które skończyło się zgodnie z moimi przewidywaniami. Ze środka pałacu wypadł na dziedziniec wojownik i zdążył spojrzeć w górę na czas, żeby zauważyć mnie, zanim zniknąłem ponad dachem budynku.

Zrozumiawszy od razu, że nie był to czas ani miejsce na ociąganie się, przyspieszyłem mocno, próbując równocześnie nabrać szybko wysokości. Przelatując nad budynkiem i szeroką ulicą od frontu zauważyłem, że z pałacu wysypało się około dwudziestu wojowników, przeszukujących wzrokiem niebo. Strażnik zdążył powiadomić ich o mojej obecności!

Wymyślałem sobie od najgorszych głupców za podjęcie niepotrzebnego ryzyka tylko po to, żeby zaspokoić próżną ciekawość. Zacząłem unosić się, zygzakując i starając się przyspieszyć jeszcze bardziej, kiedy w dole rozległ się wyraźnie dziki okrzyk wojenny. Zauważyłem wycelowane we mnie długie, groźne strzelby. Usłyszałem syk przelatujących obok pocisków, ale choć pierwsza salwa przeszła blisko, statek ani razu nie został trafiony. Za chwilę miałem znaleźć się poza zasięgiem ich broni i modliłem się do wszystkich przodków, żeby chronili mnie przez tych kilka chwil, których potrzebowałem, żeby oddalić się od zagrożenia. Myślałem już, że udało mi się i miałem zacząć gratulować sobie szczęścia, kiedy usłyszałem głucho, metaliczne uderzenie o statek. Niemal jednocześnie nastąpiła eksplozja, po czym wyleciałem poza zasięg strzelb zielonoskórych.

Obrałem kurs na południowy zachód, słysząc za sobą niewyraźne, gniewne krzyki rozczarowania i czując ulgę na myśl, że udało mi się uciec

bez uszkodzenia statku.

Zdążyłem pokonać około siedemdziesięciu karadów<sup>[4]</sup> od Helium, ale wiedziałem, że od Jahar mogło dzielić mnie jeszcze 50 do 75 karadów; postanowiłem więc nie podejmować więcej ryzyka takiego jak to, którego właśnie uniknąłem.

Leciałem znów z wielką prędkością i ledwie skończyłem wieszować sobie szczęścia, zauważyłem, że zaczynam mieć kłopoty z utrzymaniem wysokości. Statek tracił wyporność! Późniejsze oględziny potwierdziły to, czego niemal od razu się domyśliłem: eksplozja pocisku przebiła jeden ze zbiorników wypornościowych.

Wyrzucanie sobie nieuwagi zdawało się niepotrzebną stratą energii, choć możecie mi wierzyć, że dokuczała mi świadomość własnej winy i możliwych konsekwencji tego zdarzenia, które mogło wyłączyć mnie z poszukiwań, dla losów Sanoma Tory. Dopóki dotyczyły tylko mnie, skutki nie przerażały mnie tak bardzo, jak myśl o niebezpieczeństwie, jakie z pewnością jej groziło. Chęć ratowania jej owładnęła mną do tego stopnia, że nie potrafiłem dopuścić do siebie myśli o porażce.

Niefortunne zdarzenie było dotkliwym ciosem dla moich nadziei, nie rozwiązało ich jednak całkiem, ponieważ wrodzone usposobienie nie pozwala mi porzucić nadziei, dopóki żyję.

Trudno było mi stwierdzić, jak długo mogłem jeszcze utrzymać statek w powietrzu, a nie mając narzędzi do naprawy zbiornika, która pozwoliłaby zatrzymać resztę zawartości przebitego zbiornika, mogłem tylko przyspieszyć, aby przed lądowaniem oddalić się jak najbardziej od miasta. Konstrukcja statku umożliwiała lot przy wielkiej prędkości i minimalnym poziomie ósmego promienia w zbiornikach wypornościowych; wiedziałem jednak, że niedługo będę zmuszony lądować na ponurym, bezludnym pustkowiu.

Od ostrzelania statku nad Torquas, pokonałem jakieś dwa tysiące haadów, lecąc nad dawną zatoką, po której przetaczały się kiedyś wody

oceanu, zastąpione teraz rozległą, porośniętą żółtym mchem, jałową równiną. Daleko z przodu dostrzegałem zarysy niskich wzgórz, które tworzyły kiedyś południowozachodni brzeg zatoki. Na północnym wschodzie, jak okiem sięgnąć, ciągnęło się martwe dno dawnego morza, ale ponieważ nie zamierzałem tam lecieć, pędziłem dalej w stronę wzgórz z nadzieją, że uda mi się utrzymać dostateczną wysokość, aby nad nimi przelecieć. Szczyty zbliżały się jednak coraz bardziej, rosnąc w oczach. Poczułem, jak nadzieja we mnie zamiera i zdałem sobie sprawę, że koniec lotu był już kwestią chwil. W tej samej chwili zauważyłem przed wzgórzami ruiny opuszczonego miasta. Ucieszyłem się na ich widok, ponieważ w studniach dawnych miast, utrzymywanych w dobrym stanie przez zielonoskórych nomadów, niemal zawsze można było znaleźć wodę.

Leciałem już tylko kilka adów<sup>[5]</sup> nad powierzchnią. Zwolniłem mocno, żeby uniknąć wypadku przy lądowaniu, przez co koniec nadszedł szybciej i statek osiadł na żółtym mchu o haad od nabrzeża wymarłego miasta.

## ROZDZIAŁ 3

### W MATNI

Wylądowałem bardzo niefortunnie, ponieważ byłem doskonale widoczny z miasta, bez żadnej kryjówki na wypadek, gdyby ruiny okazały się zamieszkane przez jedno z licznych plemion zielonoskórych, które opanowały dno martwych mórz Barsoom, często obierając za siedzibę opuszczone miasta przy dawnej linii brzegowej.

Fakt, że zajmują na ogół największe i najokazalsze starożytne pałace, zwykle oddalone nieco od nabrzeża, dawał mi pewne szanse na znalezienie po kryjomu schronienia w jednym z bliższych budynków, gdyby okazało się, że zielonoskórzy byli w mieście.

Statek nie nadawał się już do niczego, mogłem go tylko porzucić. Zabrałem broń, amunicję i niewielką ilość koncentratów, po czym ruszyłem biegiem w stronę antycznego nabrzeża. Nie wiedziałem, czy dotarłem do budynków niezauważony czy też nie; w każdym razie wbiegłem między nie, nie zauważywszy w okolicy ani śladu żywego stworzenia.

Części wymarłych miast zamieszkują wielkie białe mały, które pod wieloma względami są o wiele bardziej uzasadnionym powodem lęku niż zielonoskórzy wojownicy. Te człekokształtne stworzenia są nie tylko obdarzone ogromną siłą i niewypowiedzianą dzikością charakteru; charakteryzuje je także nienasycony głód ludzkiego mięsa. Są tak przerażające, że powiada się, iż to jedyne stworzenia na Barsoom, których boją się zielonoskórzy koczownicy.



Dziwicie się pewnie, dlaczego w ogóle poszedłem w stronę ruin, wiedząc, że mogło czaić się w nich niebezpieczeństwo. W gruncie rzeczy nie miałem jednak innego wyjścia. Na monotonnie żółtym, jałowym tle mchu porastającego dno morza zostałem wypatrzony natychmiast przez pierwszą małpę lub zielonoskórego, którzy zbliżaliby się właśnie do miasta lub wyszli akurat spomiędzy ruin na nabrzeże. Musiałem poszukać kryjówki do zmroku, gdyż tylko w ciemności mogłem wędrować bezpiecznie po dnie morskim, a ponieważ miasto dawało jedyne schronienie w okolicy, nie pozostało mi nic innego, jak zapuścić się między budynki. Możecie mi wierzyć, że wdrapując się na szeroką ulicę, biegnącą kiedyś nabrzeżem tłoczego portu, miałem duszę na ramieniu. Po drugiej stronie widać było ruiny dawnych sklepów i składów, których pozbawione oczu okna wychodziły na krajobraz jałowego pustkowia. Przepadły wielkie statki! Odeszły pędzące, zapracowane tłumy! Zniknął ocean!

Przeszedłem na drugą stronę ulicy i wszedłem do jednego z wyższych budynków, zwieńczonego wysoką wieżą. Cała budowla sprawiała wrażenie świetnie zachowanej i przyszło mi do głowy, że gdyby udało mi się dostać na szczyt wieży, miałbym stamtąd doskonały widok na miasto i jego okolice na południowym zachodzie, gdzie zamierzałem kontynuować poszukiwania Jahar. Dotarłem do budynku niezauważony i wszedłem do środka. Znalazłem się w wielkim pomieszczeniu, którego przeznaczenia i funkcji niepodobna już było określić, ponieważ wszelkie dekoracje, jakie kiedyś zdobiły zapewne ściany, dawno stały się nierozpoznawalne, a wszystkie sprzęty, które mogłyby wskazywać na to, w jakim charakterze używano tego pomieszczenia, dawno stąd zabrano. Po drugiej stronie od wejścia był ogromny komin, a po obu jego stronach rampy – jedna wiodąca w dół, druga w górę.

Nasłuchiwałem uważnie przez chwilę, ale nie usłyszałem żadnego dźwięku w samym budynku ani na zewnątrz, ruszyłem więc pewnym krokiem w stronę rampy prowadzącej na górę.

Mijałem kolejne kondygnacje złożone z jednego sporych rozmiarów pomieszczenia, co przekonało mnie w końcu, że budynek służył kiedyś jako skład do przechowywania towarów przechodzących przez starożytny port.

Na najwyższym poziomie natknąłem się na drabinę prowadzącą przez środek wieży. Wykonano ją z trwałego, praktycznie niezniszczalnego drewna skeel, wobec czego zawierzyłem jej swój ciężar bez chwili wahania, chociaż mogła mieć od pięciuset tysięcy do miliona lat.

Środek okrągłej wieży, przez którą prowadziła, był stosunkowo ciemny. Na każdym piętrze znajdowało się wyjście do komnat, ale ponieważ wiele drzwi było zamkniętych, do wnętrza budynku docierało niewiele światła.

Dotarłem na drugi poziom, kiedy wydało mi się, że usłyszałem pod sobą dziwny hałas.

Dźwięk był tylko echem, ale w wymarłym mieście panowała tak głęboka cisza, że nawet najcichsze dźwięki zdawały się donośne.

Przerwałem wspinaczkę i spojrzałem w dół, nasłuchując, ale dźwięk, którego nie potrafiłem wyjaśnić, nie powtórzył się już, ruszyłem więc dalej.

Chcąc dotrzeć jak najszybciej na szczyt wieży, nie zatrzymywałem się, żeby zbadać któreś z mijanych pięter.

Wspinałem się dość długo, aż drogę zagrodziły mi mocne deski, które zdawały się tworzyć sufit szybu. Osiem czy dziesięć stóp pod nimi były niewielkie drzwi, prowadzące zapewne na jeden z wyższych poziomów wieży. Zadałem sobie pytanie, dlaczego drabina mijała te drzwi i sięgała jeszcze wyżej, skoro osadzenie jej pod sufitem nie mogło służyć żadnym praktycznym celom. Zacząłem macać deski nad sobą, wyczuwając zarys czegoś w rodzaju klapy. Zaparłem się stopami o drabinę, jak najwyżej mogłem, i napałem barkiem na przeszkodę. Dzięki temu udało mi się pchnąć ją mocno w górę i po chwili poczułem, jak deski uniosły się nieco, po czym kłapa odchyliła się do wtóru stłumionych jęków nieużywanych od dawna starożytnych zawiasów. Wspiąłem się po drabinie i znalazłem się w pomieszczeniu na szczycie wieży, położonym około dwustu stóp nad

ulicą. Ujrzałem przed sobą skorodowane szczątki starożytnej i dawno zapomnianej latarni sygnałowej, używanej przez dawnych mieszkańców Barsoom na długo przed odkryciem radu i jego praktycznym, naukowym użyciu do zaspokojenia potrzeb oświetlenia współczesnej cywilizacji. Te pradawne reflektory zasilane były przez kosztowne maszyny wytwarzające elektryczność, a tej akurat używano niewątpliwie jako latarni prowadzącej starożytnych marynarzy bezpiecznie do portu, którego wody sięgały kiedyś niemal podstawy wieży.

Rozciągał się stąd wspaniały widok na wszystkie strony. Od północy i północnego wschodu widać było tylko rozległe pustkowie. Na południu ujrzałem pasmo niskich wzgórz, skręcające łagodnie na północny wschód. W dawno minionych czasach tworzyły one południowy brzeg obszaru nazywanego nadal Zatoką Torquas. Na zachodzie widziałem pod sobą ruiny wielkiego miasta, sięgające hen między wzgórz, na których zbocza wspinały się oddalając się od portu. Daleko od wieży zauważyłem dawną dzielnicę bogaczy, bliżej znajdowały się olbrzymie budynki publiczne, z których najbardziej pretensjonalne zbudowano wokół wielkiego czworoboku, widocznego dobrze w pobliżu nabrzeża. Z pewnością to właśnie tu stał pałac jeddaka, rządzącego kiedyś zamożnym krajem, którego stolicą i głównym portem było miasto. Teraz rządziła tam tylko cisza. Ten autentycznie imponujący widok był równocześnie pełną smutku przepowiednią dla współczesnego Barsoom.

O ile dawni mieszkańcy naszej planety walczyli dzielnie, choć daremnie, z groźbą kurczących się stale zasobów wody, my sami stoimy przed problemem, który pod względem znaczenia dla życia na naszej planecie przewyższa wszelkie ich strapienia. Przez ostatnich parę tysięcy lat tylko odwaga, zaradność i bogactwo czerwonych ludzi sprawiało, że życie na naszym dogorywającym globie było w ogóle możliwe, ponieważ gdyby nie zaprojektowane, zbudowane i utrzymywane przez nich wielkie fabryki

atmosfery, wszelkie rodzaje oddychających powietrzem stworzeń wymarłyby już przed tysiącami lat.

Patrząc na miasto z umysłem zaprzątniętym ponurymi rozmyślaniami, usłyszałem znów z dołu wieży jakiś dźwięk. Podeszedłem zaraz do otwartej kłapy, zajrzałem do szybu i ujrzałem w nim widok, na który w najodważniejszych ludziach struchlałoby serce: szkaradny, wyszczerzony pysk wielkiej białej małpy.

Kiedy nasze spojrzenia zetknęły się, zwierzę warknęło gniewnie i porzuciwszy ostrożność, pomknęło po drabinie w górę. Prawie odruchowo zrobiłem jedyną rzecz, która mogła powstrzymać jego szarżę: opuściłem mu nad głową ciężką klapę. Dopiero wtedy zauważyłem, że od mojej strony była ona wyposażona w solidną, drewnianą zasuwę i możecie być pewni, że zaryglowałem ją bez chwili namysłu, w ten sposób blokując zwierzęciu skutecznie dojście do tego ślepego zaułka, w który sam się zapędziłem.

Moje położenie było w samej rzeczy fatalne: dwieście stóp ponad miastem, z jedyną drogą ucieczki odciętą przez otoczone największym lękiem spośród wszystkich dzikich stworzeń Barsoom.

Polowałem już kiedyś na białe małpy, goszcząc w Tharku u wielkiego jeddaka zielonoskórych wojowników, Tars Tarkasa, wiedziałem więc co nieco o ich sprycie, zaradności i zjadłości. Budową niezwykle podobne do ludzi, bardziej niż wszelkie inne zwierzęta przypominają ich również wielkością i złożonością mózgu. Czasami chwyta się je, kiedy są jeszcze młode i uczy sztuczek; są przy tym tak inteligentne, że można je nauczyć niemal wszystkich czynności ludzkich, jakie potrafią ogarnąć swoim ograniczonym intelektem. Nikomu jednak nie udało się jeszcze stłumić ich dzikiej natury i ich tresura pozostaje bardzo niebezpiecznym zajęciem, co jeszcze lepiej niż inteligencja tych stworzeń tłumaczy zainteresowanie, jakie budzą nieustannie wśród zaciekawionej nimi publiczności.

Kiedyś w Hastor płaciłem niezły grosz, żeby zobaczyć jedno z nich, teraz zaś zapłaciłbym z chęcią o wiele więcej, żeby go nie widzieć. Hałas

robiony przez małpę w szybie wskazywał, że samo zwierzę postanowiło z kolei zapewnić mi darmowy pokaz, a sobie – posiłek. Taranowała, jak najmocniej potrafiła, starą, drewnianą klapę, której przyglądałem się teraz z pewnymi obawami. Po jakimś czasie ustąpiły jednak, kiedy zdałem sobie sprawę, że nawet olbrzymia siła białej małpy nie mogła nic wskórać w starciu z twardym i wytrzymałym drewnem skeel.

Utwierdzony w przekonaniu, że małpa nie mogła dostać się do mnie tą drogą, postanowiłem rozeznaczyć się dokładniej w mojej sytuacji. Obszedłem wieżę dokoła, wychylając się daleko poza mur i przyglądając się uważnie ścianom zewnętrznym. Trzy z nich kończyły się sto pięćdziesiąt stóp niżej przy dachu budynku, podczas gdy czwarta docierała jeszcze dalej, do położonego dwieście stóp pode mną trotuaru. Podobnie jak w wielu innych budowlach dawnego Barsoom, powierzchnia murów pokryta była od góry do dołu wymyślnymi rzeźbami, zaś na każdym piętrze umieszczono otwory okienne, z których część posiadała niewielkie kamienne balkony. Z zasady na każdym piętrze było tylko jedno okno, a ponieważ żadne z nich nie znajdowało się w tej samej ścianie, co położone o piętro wyżej, otwory okienne osadzone w tej samej ścianie oddalone były od siebie zawsze o trzydzieści do czterdziestu stóp. Kiedy przyglądałem się murom, próbując wypatrzeć drogę ucieczki, okazało się to niezwykle istotne, ponieważ w mojej sytuacji szereg umieszczonych jeden pod drugim parapetów byłby niezwykle miłym widokiem.

Kiedy skończyłem przyglądać się zewnętrznym ścianom wieży, małpa uznała już najwyraźniej, że nie zdoła pokonać oddzielającej ją ode mnie bariery. Miałem już nadzieję, że porzuci całkiem swoje zamiary i odejdzie, ale kiedy położyłem się na podłodze i przyłożyłem do niej ucho, usłyszałem wyraźnie tuż pod sobą, jak zwierzę zmieniało co jakiś czas pozycję na niewygodnej dla niego, małej drabinie. Nie miałem pojęcia, jak daleko sięgała nieustępliwość tych stworzeń, ale miałem nadzieję, że znuży się wkrótce zachowywaniem czujności i zajmie się czymś innym. Niestety,

w miarę jak dzień zbliżał się do końca, szanse na to stawały się coraz bardziej odległe, aż wreszcie nabrałem przekonania, że małpa postanowiła trzymać mnie w pułapce, dopóki głód lub rozpacz nie zmuszą mnie do wyjścia z kryjówki.

Z niewymowną tęsknotą spoglądałem ku przyzywającym mnie wzgórzom za miastem, którądy prowadziła moja droga na południowy zachód, w stronę bajecznego Jahar.

Słońce było coraz niżej. Niedługo miał zapaść mrok. Co wtedy? Czy zwierzę przerwałoby swoją straż? A może głód lub pragnienie każą mu odejść gdzie indziej? Skąd miałem wiedzieć? Bardzo łatwo mogłoby zejść na dół wieży i poczekać tam na mnie z pewnością, że prędzej czy później będę musiał z niej wyjść.

Komuś, kto nie zna zwyczajów tych stworzeń, może wydać się dziwne, dlaczego nie uniosłem klapy i nie walczyłem z bestią, choć miałem przy sobie miecz i pistolet. Gdybym był całkowicie pewny, że była to jedyna biała małpa w okolicy, nie wahałbym się ani chwili. Doświadczenie podpowiadało mi jednak, że opuszczone miasto zamieszkiwało niewątpliwie całe stado tych stworzeń. Mięso, którego łakną, zdarza im się znaleźć tak rzadko, że zwykle polują samotnie, dzięki czemu w razie upolowania zdobyczy mają większą pewność, że uda im się zachować ją dla siebie. Mimo to, gdybym zaatakował zwierzę, z pewnością podniosłoby ogromny hałas, żeby ściągnąć towarzyszy, a wtedy moje szanse na ucieczkę zmalałyby do zera.

Mogłem co prawda spróbować uśmiercić je pojedynczym strzałem, ale równie prawdopodobne było, że ta sztuka nie uda mi się, ponieważ białe małpy z Barsoom to olbrzymie stworzenia, obdarzone niewiarygodną witalnością. Wiele osiąga pełnych piętnaście stóp wysokości, a natura obdarzyła je przy tym ogromną siłą. Sam wygląd tych stworzeń działa na przeciwnika demoralizująco: białe bezwłose ciała, same w sobie, są odrażające dla czerwonych ludzi; zjeżona grzywa białych włosów

na czasce podkreśla brutalne rysy, a umieszczona w połowie tułowia dodatkowa para kończyn, używanych wedle kaprysu lub potrzeby jako ręce lub nogi, sprawia, że są bardzo niebezpiecznymi przeciwnikami. Dość powszechnie zdarza im się również nosić ze sobą maczugi, którymi potrafią posługiwać się z przerażającą wprawą. Dlatego już jedna małpa wydawała mi się wystarczającym zagrożeniem i nie miałem najmniejszej ochoty ściągnąć tu innych przedstawicieli jej gatunku, choć zdawałem sobie w pełni sprawę, że koniec końców być może będę musiał stanąć z nią do walki.

Słońce zachodziło już, kiedy moją uwagę przyciągnęło nabrzeże dawnego portu, gdzie długie cienie miasta sięgały daleko przez dno martwego morza. Pokonując łagodne wzniesienia, do miasta zbliżała się grupa zielonoskórych jeźdźców, dosiadających wielkich, dzikich thoatów. Około dwudziestu jechało w ciszy na wierzchowcach stąpających bezgłośnie po miękkim mchu, porastającym dno dawnego portu. Przesuwali się jak widma w cieniu gasnącego dnia, przypominając mi po raz kolejny, że los rzucił mnie w nieprzyjazne strony. Nagle, zupełnie jakby po to, aby dopełnić zbiór trzech największych niebezpieczeństw na Barsoom, wśród wzgórz za miastem rozległ się ryk bantha.

Niedostrzegalny na wysokiej wieży, obserwowałem jeźdźców, kiedy wyjechali z doliny dawnego portu i znaleźli się na ulicy pode mną. Dopiero wtedy zauważyłem niewielką sylwetkę, siedzącą przed jednym z wojowników. Nadciągał mrok, ale zanim kawalkada zniknęła za rogiem budynku, wjeżdżając w ulicę prowadzącą do centrum miasta, odniosłem wrażenie, że rozpoznałem w tej postaci kobietę mojej rasy. Narzucił się wniosek, że została porwana i nie mogłem powstrzymać dreszczu przerażenia na myśl o czekającym ją losie. Możliwe, że mojej Sanoma Torze groziło dokładnie to samo. Możliwe... ale nie, to nie mogło się zdarzyć... Skąd mogłaby trafić w szpony dzikich wojowników Torquasów?

Niemożliwe. To nie mogła być ona. Ale fakt pozostawał faktem: więźniem była czerwona kobieta, a czy była to Sanoma Tora czy ktokolwiek inny, z Helium czy z Jahar, współczułem jej i zapomniałem o własnym położeniu, kiedy coś w sercu ponaglało mnie, abym ścigał jej porywaczy i próbował im ją wydrzeć. Niestety, wszystkie te fantazje były daremne. Jak mogłem uratować inną istotę ludzką, nie mogąc ocalić nawet samego siebie?

Ta myśl rozdrażniła mnie i ugodziła moją dumę. Postanowiłem natychmiast, że choć nie zamierzałem ryzykować życiem, próbując uratować siebie samego, mogłem zrobić to dla kobiety mojej rasy. Gdzieś w tle wszystkich tych rozmyślań krążyła stale obecna myśl, że obiektem mojej troski mogła rzeczywiście okazać się moja ukochana.

Ciemność zdążyła już zapaść, kiedy ponownie przyłożyłem ucho do kłapy. Na dole panowała cisza, nabrałem więc przekonania, że zwierzę odeszło. Może czaiło się na mnie gdzieś niżej, ale co z tego? Gdyby postanowiło tu zostać, ostatecznie i tak musiałem się z nim zmierzyć. Poluzowałem pistolet w kaburze i miałem już odsunąć zasuwę, kiedy usłyszałem małą wyraźnie tuż pod sobą.

Zamarłem na chwilę. Po co to wszystko? Uniesienie kłapy oznaczało pewną śmierć, a co dobrego przysłoby mnie lub nieszczęsnej uprowadzonej kobiecie, gdybym stracił życie na darmo? Istniało przecież inne wyjście, do którego zamierzałem uciec się w razie potrzeby, od kiedy tylko obejrzałem zewnętrzne ściany wieży. Dawało pewną szansę na ucieczkę, a nawet jeśli nie była ona wielka, to i tak lepsza niż to, co czekało mnie, gdybym podniósł klapę.

Podszedłem do jednego z okien i wyjrzałem na miasto. Nic nie zobaczyłem: na niebie nie świecił żaden z księżyców. Od strony centrum dobiegało pokwikiwanie thoatów. To tam musieli rozbić obóz zielonoskórzy. Zamierzałem trafić do nich, kierując się odgłosami ich narowistych wierzchowców. Na wzgórzach znów rozległ się ryk polującego



bantha. Usiadłem na parapecie i przerzuciłem nogi przez krawędź, po czym obróciłem się na brzuch i zsunąłem cicho po murze, aż zawisłem na dłoniach. Obutymi w sandały stopami próbowałem wymacać oparcie na wypukłościach płaskorzeźb pokrywających mury wieży. Nad sobą miałem usianą gwiazdami czarno-niebieską pustkę, pod sobą drugą pustkę – pozbawioną wszelkiego światła. Od dachu budynku mogło dzielić mnie równie dobrze tysiące sofadów jak jeden; mimo ciemności, wiedziałem jednak, że było ich sto pięćdziesiąt i że gdyby moje stopy lub dłonie straciły oparcie, czekała mnie pewna śmierć.

W świetle dnia rzeźby sprawiały wrażenie dużych, wyraźnych i głębokich, ale w ciemności było zupełnie inaczej! Miałem wrażenie, że moje stopy trafiają tylko na zadrapania w gładkiej powierzchni polerowanego kamienia. Palce i ręce zaczynały się już męczyć. Musiałem znaleźć oparcie dla stóp albo spaść; wtem, kiedy pożegnałem się już z nadzieją, wsunąłem czubek prawego sandała w poziomą szczelinę, a chwilę później znalazłem oparcie dla lewej stopy.

Przywarłem do stromej ściany, pozwalając zmęczonym ramionom i palcom odpocząć chwilę. Kiedy uznałem, że zdołają znowu mnie unieść, zacząłem rozglądać się za oparciem dla dłoni. Tak oto, w niebezpieczny i monotony sposób, cal po calu schodziłem coraz niżej. Unikałem okien, przy których zejście byłoby jeszcze trudniejsze i bardziej niebezpieczne. Nie chciałem też przesuwać się przed nimi z obawy, że mała mogła tymczasem zejść z drabiny i mnie zauważyć.

Nie pamiętam, abym kiedykolwiek czuł się bardziej samotny niż tej nocy, kiedy schodziłem po ścianie starożytnej latarni morskiej nad wymarłym miastem, ponieważ opuściła mnie wtedy nawet nadzieja. Mój chwyt na chropawym kamieniu wieży był tak niepewny, że moje palce zdrętwiały wkrótce i zmęczyły się. Nie wiem, jakim cudem w ogóle udawało mi się ucześcić płytkich żłobień. Jedyнным plusem tej mozolnej wędrówki była otaczająca mnie ciemność. Po stokroć dziękowałem

przodkom, że nie widziałem zawrotnej przepaści dzielącej mnie od powierzchni; z drugiej strony, było tak ciemno, że nie mogłem zorientować się, ile drogi udało mi się już pokonać, a nie śmiałem spojrzeć w górę na szczyt wieży, rysujący się na pewno wyraźnie na tle rozgwieżdżonego nieba, z obawy, że stracę przy tym równowagę i runę w dół na dach lub dziedziniec. Atmosfera Barsoom jest rzadka i nie rozprasza zbyt dużo światła gwiazd, więc choć niebo nade mną usiane było punktami lśniącego światła, powierzchnię w dole spowijał mrok.

Musiałem być znacznie bliżej dachu, niż mi się wydawało, kiedy zdarzyło się to, czego ze wszystkich sił starałem się uniknąć. Pochwa długiego miecza w mojej uprząży zazgrzytała głośno o mur wieży. Cisza i ciemność wyolbrzymiły ten dźwięk w moich uszach, ale nawet wiedząc o tym, zdawałem sobie sprawę, że był wystarczająco donośny, aby usłyszała go mała w wieży. Nie domyślałem się nawet, czy potrafiła pojąć, co oznaczał: mogłem tylko mieć nadzieję, że zwierzę okaże się zbyt głupie, aby łączyć go z moją osobą lub ucieczką.

Te wątpliwości nie trwały jednak długo, gdyż niemal od razu w środku wieży rozległ się dźwięk, który moje przeciążone nerwy uznały za odgłos ciężkiego ciała schodzącego prędko po drabinie. Zdaję sobie sprawę, że w otaczającej mnie ciszy mogłem wyobrazić sobie ten dźwięk, ponieważ nasłuchiwałem go tak czujnie, że z łatwością mogłem wpaść w stan nerwowej ekscytacji, w którym możliwe były wszelkie urojenia.

Z dozą prawie samobójczej brawury zacząłem schodzić dwa razy szybciej i po chwili poczułem pod stopami twardy dach.

Odetchnąłem z ulgą, ale nie na długo, ponieważ niemal natychmiast uświadomiłem sobie, że usłyszany przeze mnie dźwięk nie był wcale złudzeniem: z położonych o niecały tuzin kroków ode mnie drzwi wyłoniło się nagle wielkie cielsko białej mały.

Ruszyła na mnie, nie wydając przy tym żadnych odgłosów. Najwyraźniej nie zamierzała dzielić się z nikim zdobyczą po tak długim

i samotnym czuwaniu. Chciała zabić mnie w ciszy. Z podobnych powodów zrezygnowałem z pistoletu i sięgnąłem po długi miecz, szykując się do przyjęcia wściekłego ataku.

Stojąc przed tą górą zwierzęcej dzikości musiałem zdawać się naprawdę mizernym i bezradnym stworzeniem.

Dzięki tysiącom wojowniczych przodków, że sprawnie i szybko władam długim mieczem; w przeciwnym wypadku bestia zagarnęłaby mnie w miażdżący uścisk ramion już przy pierwszym starciu. Wyciągnęła w moją stronę cztery olbrzymie ręce, ale zamachnąłem się potężnie, odcinając jedną z nich w przegubie. Równocześnie odskoczyłem prędko na bok, a kiedy zwierzę minęło mnie, niesione do przodu impetem, zatopiłem ostrze w jego ciele. Ryknęło gniewnie z bólu, próbując obrócić się i rzucić na mnie, ale pośliznęło się na własnej, odciętej dłoni i zachwiało niezdarnie, próbując odzyskać równowagę. Nie udało mu się i wciąż chwiejąc się groteskowo przewaliło się przez krawędź dachu i spadło na dziedziniec w dole.

Bąłem się, że ryk małpy mógł ściągnąć innych przedstawicieli jej gatunku, przebiegłem więc szybko na północny kraniec budynku, gdzie wypatrzyłem wcześniej z wieży rząd sąsiadujących ze składem niższych budynków, po których dachach udałoby mi się pewnie zejść na poziom ulicy.

Zimny Cluros wschodził właśnie daleko na widnokręgu, spowijając miasto bladym światłem, dzięki czemu, kiedy podszedłem do krawędzi budynku, widziałem wyraźnie dachy pod sobą. Do gruntu było jeszcze daleko, ale nie było innego bezpiecznego wyjścia, ponieważ próbując przejść przez budynek, ze sporym prawdopodobieństwem natknąłbym się na innych członków stada małp, przyciągniętych rykiem kompana.

Zsunąłem się przez krawędź dachu i zawisłem przez chwilę na dłoniach, po czym opuściłem się. Od dachu w dole dzieliło mnie około dwóch adów, ale wylądowałem cało i bezpiecznie. Pewnie na waszej planecie, której

masa i grawitacja są większe, upadek z tej wysokości miałby poważne skutki, ale na Barsoom nie było to wcale nieuniknione.

Przeskoczyłem na następny dach, dalej na niski mur, a wreszcie na ulicę w dole.

Gdyby nie porwana dziewczyna, którą zobaczyłem przelotnie o zachodzie słońca, bez względu na groźbę banthów ruszyłbym od razu między wzgórza na zachód od miasta, czułem jednak nieodparte moralne zobowiązanie, aby na wszelkie możliwe sposoby spróbować nieść pomoc biedaczce, która wpadła w szpony najokrutniejszych stworzeń Barsoom.

Trzymając się cienia budynków, zacząłem skradać się w stronę centralnego placu, skąd dobiegało pokwikiwanie thoatów.

Plac leżał o cały haad od nabrzeża i przesuwając się ostrożnie w jego kierunku, prowadzony słyszany mi co pewien czas kwikami thoatów zamkniętych na dziedzińcu jakiegoś opuszczonego pałacu, musiałem przeciąć kilka skrzyżowań.

Dotarłem bezpiecznie do placu, pewny, że nikt mnie nie widział.

Zauważyłem światło w jednym z wielkich gmachów po drugiej stronie, ale nie ośmieliłem się przejść przez plac w świetle księżyca. Trzymając się zatem w mroku, przeszedłem na przeciwną stronę skweru, gdzie rzucane przez blask Clurosa cienie były najgłębsze, i w ten sposób dotarłem ostatecznie do budynku, w którym zatrzymali się zieloni ludzie. Tuż przed sobą miałem niskie okno, wychodzące z pewnością na pomieszczenie sąsiadujące z pokojem zajęтым przez wojowników. Nasłuchiwałem czujnie odgłosów z wewnątrz, ale nie usłyszałem nic, przełożyłem więc nogę przez parapet i bardzo ostrożnie wszedłem do ciemnego pomieszczenia.

Szedłem na palcach, szukając drzwi, przez które mógłbym zajrzeć do pomieszczenia obok, kiedy zatrzymałem się nagle. Dotknąłem właśnie stopą jakiegoś miękkiego ciała! Zamarłem w bezruchu, z dłonią na rękojeści miecza. Ciało poruszyło się.

# ROZDZIAŁ 4

## TAVIA

W życiu każdego mężczyzny zdarzają się chwile, kiedy ma wrażenie, iż znalazł dowód na istnienie kierującej jego czynami zewnętrznej siły. Czasem opisuje się to jako działanie opatrności, albo przypisuje istnieniu hipotetycznego szóstego zmysłu, przesyłającego do odpowiedzialnej za nasze działania części mózgu spostrzeżenia, których nie zauważamy świadomie. Jakkolwiek by to tłumaczyć, faktem jest, że stojąc tej nocy w ciemnej komnacie opuszczonego pałacu powstrzymałem się od zatopienia ostrza w miękkim ciele, które poruszyło się pod moimi stopami. Możliwe, że w ostatecznym rozrachunku była to najrozsądniejsza i najbardziej rozumna rzecz, jaką w życiu zrobiłem. Zamiast tego przytknąłem miecz mocno do delikatnego ciała i szepnąłem jedno słowo:

– Cicho!

Od tamtej pory po tysiącokroć dziękowałem przodkom, że nie posłuchałem głosu instynktu, ponieważ w odpowiedzi na moje polecenie z ciemności dobiegł mnie szept:

– Nie zabijaj mnie. Należę do czerwonych ludzi i jestem tu więźniem. – Głos należał do dziewczyny.

Cofnąłem momentalnie ostrze i uklęknąłem przy niej.

– Jeśli przyszedłeś, żeby mi pomóc, przetnij więzy – powiedziała. – Szybko, zaraz po mnie przyjdą.

Przesunąłem prędko dłońmi po jej ciele, stwierdzając, że kostki i przeguby skrępowano jej skórzanymi rzemieniami. Bez chwili zwłoki

wyjąłem sztylet i przeciąłem je szybko.

– Jesteś sama? – zapytałem, pomagając jej wstać.

– Tak – odparła. – W pokoju obok grają o mnie, żeby zdecydować, kto zostanie moim właścicielem.

W tej samej chwili dobiegł stamtąd szcęk broni.

– Idą tu! – powiedziała. – Nie mogą nas tu zastać.

Chwyciłem ją za dłoń i ruszyłem w stronę okna, którym wszedłem do pokoju. Na szczęście rozejrzałem się, zanim wyszedłem na ulicę. Dobrze się stało, ponieważ po prawej stronie ujrzałem przy fasadzie budynku zielonego wojownika, który wyszedł właśnie z głównego wejścia. Najwyraźniej to jego słyszeliśmy, kiedy szedł przez pokój obok w stronę drzwi.

– Czy jest stąd jakieś inne wyjście? – zapytałem szeptem.

– Tak – odpowiedziała. – Naprzeciw tego okna są drzwi na korytarz. Były otwarte, kiedy mnie tu wprowadzili, ale zamknęli je.

– Przynajmniej chwilowo lepiej będzie zostać w budynku – powiedziałem. – Chodź!

Przeszliśmy przez pokój, obmacując ściany w poszukiwaniu drzwi. Trafiłem na nie w końcu i uchyliłem z najwyższą ostrożnością, bojąc się, że zdradzi nas jęk prastarych zawiasów. Korytarz za drzwiami był ciemny jak głębiny Omean. Wciągnąłem tam dziewczynę, zamykając za nami cicho drzwi. Poszliśmy po omacku w prawo, oddalając się od pomieszczenia zajętego przez wojowników. Szliśmy przez czarną pustkę, aż ujrzeliśmy niedaleko przed sobą słabe światło, które wpadało przez uchylone drzwi pokoju wychodzącego na wewnętrzny dziedziniec budynku. Miałem już minąć je i poszukać kryjówki gdzieś dalej, kiedy moją uwagę przyciągnął kwik thoata na podwórzu za mijanym przez nas pokojem.

Od najwcześniejszych lat chłopięcych zdobyłem sporo doświadczenia z rasą mniejszych thoatów wykorzystywanych jako wierzchowce przez ludzi mojej rasy, a podczas odwiedzin u Tars Tarkasa z Tharku poznałem

dość dobrze metodę, za pomocą której zieloni ludzie kierują swoimi wielkimi, narowistymi zwierzętami.

Jazda thoatem ma się do innych sposobów podróżowania po powierzchni ziemi jak lot jednoosobowym statkiem do latania wszelkimi innymi typami jednostek latających. To jednocześnie najszybszy i najbardziej niebezpieczny sposób przemieszczania się, a ponieważ miałem znaleźć dla nas jakiś transport, kwik thoatów w oczywisty sposób podsunął mi do głowy pewien pomysł.

– Dlaczego się zatrzymałeś? – zapytała dziewczyna. – Tędy nie uciekniemy. Nie uda nam się przebiec przez dziedziniec.

– Mylisz się – odparłem. – Moim zdaniem właśnie tutaj mamy największe szanse powodzenia.

– Przecież na podwórzu są ich thoaty – zaprotestowała. – A zielonoskórzy nigdy się od nich nie oddalają.

– Właśnie dlatego zamierzam spróbować tędy uciec – oznajmiłem.

– Kiedy zwierzęta nas zwietrzą, podniosą zgiełk, który ściągnie uwagę właścicieli – powiedziała. – A wtedy zauważą nas i złapią.

– Możliwe – stwierdziłem. – O ile mój plan się uda, warto zaryzykować. Ale możemy z niego zrezygnować, jeśli bardzo się boisz.

– Nie – odpowiedziała. – Nie do mnie należy wybór ani decyzja. Okazałeś się na tyle szlachetny, żeby mi pomóc i mogę tylko iść tam, gdzie mnie prowadzisz, choć znajomość twoich zamiarów pomogłaby mi się do nich dostosować.

– Oczywiście – przytaknąłem. – Plan jest bardzo prosty. Mamy thoaty. Weźmiemy jednego i odjedziemy na nim. To o wiele łatwiejsze niż piesza ucieczka, a nasze szanse będą o wiele większe. Zostawimy też otwartą bramę w nadziei, że reszta zwierząt pobiegnie za nami, a ich właściciele nie będą mieli jak nas ścigać.

– Szalony plan, ale śmiały – powiedziała dziewczyna. – Jeśli nas zauważą, na pewno dojdzie do walki, a nie mam broni. Daj mi swój krótki

miecz, żebyśmy pokazali wtedy przynajmniej na co nas stać.

Odpiąłem krótki miecz od uprząży i przytroczyłem go pasa na jej lewym biodrze. Dotknąwszy przy tym jej ciała, zauważyłem, że nie czuć było po niej wcale drżenia wywołanego lękiem czy ekscytacją. Sprawiała wrażenie całkowicie spokojnej i opanowanej, a jej głos brzmiał niemal kojąco. Od kiedy przemówiła do mnie w ciemnościach pokoju w którym na nią nadepnąłem, wiedziałem, że nie była to Sanoma Tora, i choć czułem się trochę rozczarowany, wciąż byłem gotów zrobić, co w mojej mocy, aby pomóc jej w ucieczce, choć jej obecność z pewnością spowolniłaby mnie mocno i ograniczała, narażając równocześnie na znacznie większe niebezpieczeństwo niż gdybym wędrował samotnie. Z zadowoleniem odkryłem więc, że mimowolna towarzysza wędrowki nie okazała się całkowicie bezbronna.

– Mam nadzieję, że nie będziesz musiała go użyć – powiedziałem, przyczepiając go ostatecznie do pasa.

– Gdyby jednak do tego doszło – odpowiedziała – przekonasz się, że wiem, jak to zrobić.

– Dobrze – uciałem. – Chodź za mną i trzymaj się blisko.

Przyjrząwszy się uważnie dziedzińcowi z okna pokoju nad nim, zauważyłem około dwudziestu wielkich thoatów, ale żadnego wojownika, co dowodziło, że czuli się całkowicie bezpieczni przed wszelką napaścią.

Zwierzęta skupiły się po drugiej stronie dziedzińca; kilka ułożyło się już do snu, ale reszta – jak to mają w zwyczaju – wędrowała niespokojnie po zagrodzie. Po obu stronach dziedzińca znajdowały się masywne bramy. Na ile widziałem, były to jedyne wejścia na podwórze pałacu dość duże, aby zmieścił się w nich thoat, założyłem więc, że za nimi były korytarze prowadzące na któreś z sąsiednich uliczek.

Pierwszy etap mojego planu polegał na dotarciu do bramy bez zwrócenia na siebie uwagi zwierząt. Aby to nam ułatwić, postanowiłem poszukać pomieszczenia w pobliżu bramy, po obu stronach której zauważyłem okna



podobne do tego, skąd oglądaliśmy dziedziniec. Gestem poleciłem dziewczynie pójść za sobą, po czym wróciłem na korytarz i poszliśmy dalej, wymacując drogę w ciemności. Okno trzeciego pomieszczenia, do którego zajrzałem, wychodziło na dziedziniec w pobliżu bramy. Z kolei w ścianie biegnącej pod kątem prostym do tej, w której znalazłem okno, ujrzałem drzwi wychodzące na położony za bramą szeroki korytarz o wysokim sklepieniu. Ucieszyłem się, ponieważ odkrycie pasowało idealnie do mojego planu, równocześnie zmniejszając ryzyko, na jakie narażałem moją towarzyszkę podczas tej próby ucieczki.

– Zostań tu – powiedziałem, zostawiając ją tuż za bramą. – Jeśli mi się uda, wjadę tu na jednym z thoatów. Musisz być gotowa chwycić się mojej dłoni i wsiąść za mną na jego grzbiet. Jeśli mnie zauważą i nie będę mógł wrócić, zawołam głośno „Za Helium!”. To będzie dla ciebie znak, żebyś uciekała, jak najszybciej potrafisz.

Położyła mi dłoń na ramieniu.

– Pozwól mi pójść z tobą – poprosiła. – Co dwa miecze to nie jeden.

– Nie – odparłem. – Jeśli pójde sam, będę miał większe szanse na okiełznanie thoatów, niż gdyby ich uwagę rozpraszał ktoś inny.

– Dobrze – odpowiedziała. Zostawiłem ją i wszedłem znów do pokoju, po czym podszedłem prosto do okna. Przez chwilę badałem dziedziniec wzrokiem, a upewniwszy się, że nic się nie zmieniło, zsunąłem się po cichu na podwórze i podkradłem do bramy. Obejrzałem uważnie zasuwę, a odkrywszy, że mogę ją z łatwością przesunąć, otworzyłem zaraz cicho jedno ze skrzydeł bramy. Uchyliwszy je na tyle, aby zmieścił się w nim thoat, zająłem się zwierzętami w zagrodzie. Te praktycznie nieokiełznane stworzenia są równie dzikie jak ich żyjący na wolności pobratymcy zamieszkujący odległe rejony martwych mórz. Można je kontrolować wyłącznie za sprawą telepatii, poddającej je potężniejszym umysłom właścicieli, chociaż nawet wtedy zapanowanie nad nimi wymaga sporej wprawy.

Metody tej nauczył mnie sam Tar Tarkas i nabrałem w niej takiej wprawy, że do tego kluczowego sprawdzianu umiejętności podszedłem z pewnością, która była kluczem do powodzenia.

Stanąwszy nieopodal bramy, skupiłem wszelkie siły umysłu i woli, próbując pokierować upatrzonym wcześniej thoatem, wybranym tylko dlatego, że stał najbliżej. Skutki moich starań były od razu widoczne. Zwierzę, które zajęte było dotychczas szukaniem rozsianych między kamiennymi płytami dziedzińca kęp mchu, uniosło teraz łeb i zaczęło się rozglądać. Było niespokojne, ale nie wydawało żadnych dźwięków, ponieważ siłą woli nakazałem mu zachować ciszę. Po niedługim czasie powędrowało wzrokiem w moją stronę i zatrzymało go na mnie. Kazałem mu podejść bliżej. Nie szło mi zbyt dobrze, ponieważ zwierzę wyczuwało najwyraźniej, że nie byłem jego właścicielem. Mimo to podchodziło coraz bliżej. Raz, kiedy było już całkiem blisko, zatrzymało się i parsknęło gniewnie. Musiało poczuć mój zapach i uświadomić sobie, że nie należałem nawet do tej samej rasy, co jeźdźcy, do których przywykło. Uwolniłem wtedy całą moc umysłu. Zwierzę stało, potrząsając szpetnym łbem i odsłaniając w groźnym warczeniu wielkie ciosy. Zauważyłem, że jego zachowanie przyciągnęło uwagę reszty stada. Thoaty spoglądały w naszą stronę i krążyły niespokojnie, podchodząc coraz bliżej. Wiedziałem, że na mój widok podniosłyby kwik, co jest pierwszą i prędką oznaką gniewu tych pobudliwych stworzeń, a wtedy w okamgnieniu miałbym na karku ich właścicieli, ponieważ thoaty z racji swojej drażliwej i niespokojnej natury są dla zielonych Marsjan zarówno zwierzętami jucznymi jak i stróżującymi.

Przez chwilę wybrany przeze mnie wierzchovec stał niepewnie przede mną, jakby nie mógł podjąć decyzji, cofnąć się czy zaatakować. Ostatecznie jednak nie zrobił żadnej z tych rzeczy: zamiast tego podszedł do mnie powoli i potem za mną, kiedy cofnąłem się przez bramę do korytarza. Poszło mi nawet lepiej niż się spodziewałem, ponieważ udało mi się skłonić

go, aby się położył, dzięki czemu dziewczyna i ja z łatwością go dosiedliśmy.

Mieliśmy przed sobą długi, wysoki korytarz, na którego drugim końcu widniał rozświetlony blaskiem księżycy łuk, którym wyjechaliśmy zaraz na ulicę.

Po lewej stronie mieliśmy wzgórze. Skręciłem w tę stronę, pędząc rączę zwierzę po starożytnej, opuszczonej drodze między rzędami majestatycznych ruin na zachód i... właśnie, dokąd?

W miejscu, gdzie droga zakręcała i zaczynała wić się między wzgórzami, obejrzałem się i poczułem mimowolny dreszcz uniesienia, widząc za nami rozciągnięty w blasku księżycy szereg wielkich thotów, które z pewnością dobrze wiedziały, co zrobić z odzyskaną wolnością.

– Zielonoskórzy nie będą nas daleko ścigać – powiedziałem do dziewczyny, wskazując zwierzęta skinieniem głowy.

– Przodkowie nam sprzyjają – odpowiedziała. – Módlmy się, żeby nigdy nas nie opuścili.

Dopiero teraz przyjrzałem się lepiej mojej towarzyszce, ponieważ na niebie były oba księżyce i wokół było całkiem jasno. Nawet jeśli zdradziłem swoje zaskoczenie, nie było w tym nic dziwnego, ponieważ w ciemności, kierując się samym głosem, byłem przekonany, że uratowałem kobietę. Teraz jednak, widząc przed sobą krótkie włosy i chłopięcą twarz poczułem się zbity z tropu. Nawet uprząż, którą miała na sobie, przeczyła mojemu wcześniejszemu przekonaniu, ponieważ z całą pewnością należała do mężczyzny.

– Myślałem, że jesteś dziewczyną – wypaliłem niezręcznie.

Rozciągnęła kształtne usta w uśmiechu, pokazując zdrowe, białe zęby.

– Ależ jestem – powiedziała.

– Ale twoje włosy... ta uprząż... nawet twoja figura temu przeczy.

Roześmiała się perliście. Ten zawsze gotowy śmiech, który jednak nigdy nie ranił, był – jak miałem odkryć – jednym z jej głównych atutów.

– Zdradził mnie głos – stwierdziła. – Niedobrze.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Ponieważ czułbyś się lepiej z wojownikiem za towarzysza, a teraz myślisz, że będę dla ciebie ciężarem.

– Niezbyt wielkim – powiedziałem, przypominając sobie, z jaką łatwością podsadziłem ją na grzbiet thoata. – Powiedz mi jednak, kim jesteś i dlaczego przebrałaś się za chłopaka?

– Jestem niewolnicą – odpowiedziała. – Zwykłą niewolnicą, która uciekła od właściciela. Pewnie to coś zmieni – dodała posmutniałym głosem. – Zaczнеш teraz żałować, że uratowałeś zwykłą niewolnicę.

– To niczego nie zmienia – odparłem. – Sam jestem tylko ubogim padwarem, którego nie stać nawet na niewolnicę. Może to ty zaczniesz żałować, że nie uratował cię jakiś bogacz.

Roześmiała się.

– Uciekłam od najbogatszego człowieka na świecie – powiedziała. – A przynajmniej domyślałam się, że nim był, bo czy to możliwe, żeby ktokolwiek był bogatszy niż jeddak Jahar, Tul Axtar?

– Należysz do Tul Axtara? – zawałem.

– Tak – powiedziała. – Kiedy byłam bardzo młoda, porwano mnie z miasta zwanego Tjanath i od tamtej pory mieszkałam w jego pałacu. Ma wiele kobiet, całe tysiące. Niektóre przeżywają tam całe życie, nigdy nawet nie widząc jeddaka. Ja go widziałam – zadrżała. – To straszny człowiek. Nie czułam się tam nieszczęśliwa, bo nie znałam matki. Zmarła, kiedy byłam mała, a ojciec był dla mnie tylko wspomnieniem. Rozumiesz, byłam naprawdę bardzo młoda, kiedy porwano mnie z domu w Tjanath. Zaprzyjaźniłam się ze wszystkimi w pałacu Tul Axtara. Lubili mnie wszyscy: wodzowie, wojownicy i niewolnicy, a ponieważ byłam chłopczycą, uczenie mnie używania broni a nawet pilotowania mniejszych statków dostarczało im rozrywki. Ale przyszedł dzień, kiedy moje szczęście skończyło się raz na zawsze: zauważył mnie Tul Axtar. Zobaczył i posłał

po mnie. Udałam chorą i nie poszłam, a kiedy zapadła noc, udałam się do kwatery żołnierza, o którym wiedziałam, że miał tego wieczoru wartę. Zabrałam jego uprząż, ścięłam długie włosy i zafarbowałam twarz w ten sposób, że przypominałam bardziej mężczyznę, a wreszcie poszłam do hangarów na dachu pałacu, oszukałam wartowników i ukradłam jednoosobowy statek.

– Myślałam – mówiła dalej – że o ile w ogóle zamierzali mnie szukać, zaczęliby na pewno od zbadania nieba w kierunku Tjanath, poleciałam więc w przeciwną stronę, na północny wschód, zamierzając zatoczyć od północy wielkie koło i zawrócić do Tjanath. Przelatując nad Xanator zauważyłam na dnie morza spory zagajnik mantalii i od razu zesłam niżej, aby nazbierać mleka tych roślin, ponieważ opuściłam pałac w takim pośpiechu, że nie miałam okazji zabrać żadnego zaopatrzenia. Zagajnik był niezwykle duży, a ponieważ rośliny dorastały ośmiu, a nawet dwunastu soffadów wysokości, zapewniał doskonałą kryjówkę. Z łatwością znalazłam miejsce na lądowania głęboko między drzewami. Aby nie zauważono mnie z góry, zostawiłam statek pod liśćmi dwóch splecionych ze sobą w górze roślin i zajęłam się zbieraniem mleka. Ponieważ to, co bliskie, nigdy wydaje się tak atrakcyjne jak to, co znajduje się dalej, zdążyłam odejść od statku na pewną odległość, zanim trafiłam na rośliny, które moim zdaniem zapewniały wystarczająco dość obfity zapas pożywnego mleka.

– Do tego samego zagajnika wjechała wcześniej grupa zielonych wojowników, którzy szukali tego samego co ja. Nacinałam właśnie upatrzone przez siebie drzewo, kiedy jeden z nich zauważył mnie i chwilę później zostałam złapana. Na podstawie ich pytań wywnioskowałam, że nie widzieli, jak wleciałam pod drzewa i nie widzieli o moim statku. Kiedy lądowałam, musieli stać w gęsto zarośniętej części zagajnika. Tak czy siak, nie widzieli statku, a ja uznałam, że nic im nie powiem.

– Kiedy zebrali tyle mleka, ile potrzebowali, wrócili do Xanator, zabierając mnie ze sobą. Resztę już wiesz.

– To miasto to Xanator? – zadałem pytanie.

– Tak – odpowiedziała.

– A ty? Jak masz na imię? – zapytałem.

– Tavia – odparła. – A ty?

– Tan Hadron z Hastor – powiedziałem.

– Ładne imię – stwierdziła. Sposób, w jaki to powiedziała, miał w sobie pewną chłopięcą szczerść, która przekonała mnie, że z tą samą otwartością poinformowałaby mnie, gdyby moje imię nie przypadło jej do gustu. Ton jej głosu nie miał w sobie nic z bezmyślnego pochlebstwa, a poznawszy ją lepiej, przekonałem się, że otwartość i szczerść stanowiły dwie jej najważniejsze cechy. W tej chwili jednak nie zaprzątałem sobie głowy podobnymi sprawami, ponieważ zaciekała mnie część jej opowiadania podsuwająca mi prosty i szybki sposób na wydostanie się z naszego położenia.

– Sądzisz, że potrafiłabyś znaleźć zagajnik, w którym ukryłaś statek? – zapytałem.

– Jestem tego pewna – odparła.

– Czy statek uniesie dwoje ludzi?

– To jednoosobowy pojazd – oznajmiła. – Ale udźwignie nas dwoje, choć kosztem prędkości i pułapu.

Powiedziała, że zagajnik leżał na południowy wschód od Xanator, obróciłem więc łeb thoata na wschód. Kiedy wyjechaliśmy daleko poza granice miasta, skręciliśmy bardziej na południe, zjeżdżając ze wzgórz na dno martwego morza.

Thuria mknęła po niebie, rzucając niezwykle, wędrujące cienie na porastający grunt żółty mech, podczas gdy o wiele wyżej zimny Cluros kontynuował swą powolną, majestatyczną wędrówkę. Oba księżyce rozświetlały wyraźnie okolicę i byłem pewny, że bystre oczy wypatrzyłyby nas z łatwością z ruin Xanator, choć, przemieszczające się szybko cienie rzucane przez Thurię sprzyjały nam ponieważ kształty wszystkich krzaków

i skarłałych drzew tworzyły na powierzchni kłębowisko ruchu, w którym ginał nasz własny, przesuwający się stale cień. Moją największą nadzieją było jednak, że wszystkie thoaty wyszły z dziedzińca za naszym zwierzęciem, a tym samym zielonoskórzy zostali pozbawieni wierzchowców, przez co nie mogli wysłać za nami pogoni.

Nasz wielki thoot kroczył cicho i szybko, i nie upłynęło wiele czasu, kiedy ujrzeliśmy w oddali mroczny zarys zagajnika mantalii, a niedługo potem wjechaliśmy w jego głęboki cień. Ze sporą trudnością odszukaliśmy w końcu statek Tavii i ucieszyłem się bardzo, widząc, że był w dobrym stanie, ponieważ zauważyliśmy niejedną cień prześlizgującą się w mroku lasu, a wiedziałem, że dzikie zwierzęta z jałowych wzgórz i zamieszkujące ruiny miast wielkie białe małpy również przepadały za mlekiem mantalii i uznałbym, że szczęście naprawdę nam dopisało, gdyby udało nam się uniknąć spotkania z nimi.

Podjechałem jak najbliżej statku i zostawiwszy Tavię na grzbiecie thoata, zsunąłem się z niego i wyciągnąłem pojazd na otwartą przestrzeń. Przyjrzawszy się sterom, uznałem, że nikt przy nich nie majstrował. Kamień spadł mi z serca, ponieważ obawiałem się wcześniej, że wielkie białe małpy, obdarzone ciekawością i skłonnością do agresji, mogły uszkodzić statek.

Upewniwszy się, że nic nam nie groziło, pomogłem Tavii zsiść z thoata, a chwilę później znaleźliśmy się na pokładzie. Statek reagował na stery dość dobrze, choć nieco ociężale, i podnieśliśmy się od razu w tymczasowe bezpieczeństwo marsjańskiej nocy.

Pojazd o konstrukcji uznawanej w Helium za niemal całkowicie przestarzałą, nie miał kompasu sterującego, przez co pilot musiał stale przebywać przy sterach. Wąski pokład był wyjątkowo ciasny i spodziewałem się, że czeka nas bardzo niewygodna podróż. Położyliśmy się na pokładzie z twardego drewna skeel, przypięci do jedyne osadzonego w nim pierścienia, omal nie stykając się przy tym ciałami.

Obudowa, chroniąca nas przed podmuchami wywołanymi nawet stosunkowo niską prędkością statku, nie była dość wysoka, żeby umożliwić jakąkolwiek większą zmianę pozycji. Od czasu do czasu udawało nam się tylko usiąść plecami w stronę dziobu i przerwać w ten sposób monotonię utrzymywania tej samej, rozciągniętej pozycji. Kiedy dawałem w ten sposób odpocząć mięśniom od skurczy, Tavia zastępowała mnie przy sterach, ale i po paru chwilach zimny, nocny wiatr i tak kazał mi schronić się za osłonę.

Za obopólną zgodą skierowaliśmy się na południowy zachód, omawiając tymczasem, dokąd ostatecznie powinniśmy się udać.

Zdążyłem już opowiedzieć Tavii, że zamierzałem lecieć do Jahar i wyjaśnić jej dlaczego. Sprawiała wrażenie wielce zaintrygowanej historią porwania Sanoma Tory, a na podstawie swojej znajomości zwyczajów Jahar i Tul Axtara, uważała, że zaginiona dziewczyna z dużym prawdopodobieństwem trafiła właśnie tam. Uratowanie Sanoma Tory było jednak całkiem inną sprawą i kiedy rozmowa zesłała na ten temat, pokręciła głową z powątpiewaniem.

Widziałem wyraźnie, że nie chciała wcale wracać do Jahar, mimo to nie stawiała mi przeszkód na drodze do osiągnięcia celu; podała mi nawet położenie miasta i ustawiła dziób statku na właściwy kurs.

– Czy jeśli tam wrócisz, grozi ci jakieś niebezpieczeństwo? – zapytałem.

– Owszem, i to wielkie – odpowiedziała. – Ale niewolnica musi iść tam, gdzie jej pan.

– Nie jestem twoim panem – powiedziałem. – A ty nie jesteś moją niewolnicą. Wolę widzieć w tobie raczej towarzyszkę broni.

– To miłe – powiedziała bezpośrednio, po czym po przerwie dodała: – Jeśli mamy być towarzyszami, pozwól, że odradzę ci bezpośredni lot do Jahar. Od razu rozpoznają ten statek. A twoja uprząż zdradzi w tobie obcego i nie uratujesz swojej ukochanej, a trafisz do lochów Tul Axtara,



a stamtąd prędzej czy później na igrzyska na wielkiej arenie, gdzie w końcu zginiesz.

– W takim razie co proponujesz? – zapytałem.

– Na południowy zachód od Jahar leży moje rodzinne miasto – Tjanath. To jedyne miejsce na Barsoom, gdzie mogę liczyć na przyjazne powitanie, a jeśli przyjmą mnie, to i ciebie. Tam zdołasz przygotować się lepiej do wejścia do Jahar, co jest możliwe tylko w przebraniu mieszkańca tego kraju, ponieważ Tul Axtar nie wpuszcza żadnych obcych poza tymi, którzy trafiają tam jako jeńcy wojenni i niewolnicy. Zdobędziemy w Tjanath uprząż i odznaki Jahar, a ja nauczę cię zwyczajów i sposobu bycia poddanych Tul Axtar. Dzięki temu wkrótce będziesz mógł udać się tam i z rozsądnym prawdopodobieństwem zdołasz oszukać ich co do twojej tożsamości. Bez odpowiedniego przygotowania, ta wyprawa byłaby dla ciebie zabójcza.

Uznałem, że mówiła rozsądnie, wobec czego zmieniliśmy kurs, oblatując Jahar od południa i kierując się prosto na Tjanath, oddalone o sześć tysięcy haadów.

Całą resztę nocy lecieliśmy z równą prędkością około sześciuset haadów na zod: powolne tempo w porównaniu z osiągnięciami statku, którym wyleciałem z Helium.

Kiedy wstało słońce, moją uwagę przyciągnęła najpierw upiornie błękitna barwa kadłuba.

– Cóż to za kolor! – zawołałem.

Tavia spojrzała na mnie.

– Mają dobry powód, żeby je tak malować – powiedziała. – Musisz go poznać, zanim polecisz do Jahar.

# UWIĘZIONY

Kiedy nasz przeciążony stateczek wylatywał powoli z Xanator ponad niskimi wzgórzami, wyznaczającymi południowo zachodnią granicę zielonoskórych hord Torquasów, niezwykły pejzaż marsjańskiej nocy przesunął się pod nami w zmieniającym się ciągle świetle obu księżyców. Z nadejściem nowego dnia zaczęliśmy naradzać się nad lądowaniem i zaczekaniem z dalszym lotem do nocy, ponieważ zdawaliśmy sobie sprawę, że gdyby wypatrzyły nas statki wroga, nie mielibyśmy cienia szansy na ucieczkę.

– Niewiele statków tędy lata – powiedziała Tavia. – Uważam, że jeśli zachowamy czujność, w powietrzu będziemy tak samo bezpieczni, jak na ziemi. Choć jesteśmy już poza terenami Torquasów, ciągle groziłoby nam niebezpieczeństwo ze strony ich wędrujących band, które zapuszczają się daleko w poszukiwaniu łupu.

Lecieliśmy więc powoli w stronę Tjanath, przeczesując stale wzrokiem niebo we wszystkich kierunkach.

W normalnych warunkach, monotonia krajobrazu połączona z powolnym lotem sprawiłaby, że podróż stałaby się uciążliwa, ale ku mojemu zdziwieniu, czas mijał szybko, co przypisywałem wyłącznie dowcipowi i inteligencji mojej towarzyszki. Nie dało się zaprzeczyć, że Tavia była wspaniałym kompanem. Rozmawialiśmy chyba na każdy możliwy temat, a spora część konwersacji obracała się naturalnie wokół naszych własnych przeżyć i osób, więc na długo zanim dotarliśmy do Tjanath, czułem, że poznałem ją lepiej niż jakąkolwiek inną kobietę. Byłem też przekonany, że jeszcze nigdy nie zwierzyłem się komuś tak szczerze i z głębi serca.

Tavia miała w sobie coś, co zdawało się skłaniać do wyznań, więc ku własnemu zdziwieniu zacząłem rozmawiać z nią o najbardziej intymnych szczegółach mojego dawnego życia, o moich nadziejach, ambicjach, aspiracjach oraz lękach i wątpliwościach, jakie nękały zapewne myśli każdego młodego mężczyzny.

Kiedy zauważyłem, jak bardzo odsłoniłem się przed tą drobną niewolnicą, poczułem wyraźne zażenowanie, ale szczerze zainteresowanie Tavieri moją osobą pomogło mi pozbyć się tego uczucia, podobnie jak świadomość, że w swoich zwierzeniach okazała się niemal równie swobodna jak ja.

Pokonanie dystansu między Xanator a Tjanath zajęło nam dwie noce i jeden dzień, a kiedy pod koniec pierwszego zoda drugiego dnia ujrzeliśmy na dalekim widnokręgu wieże i lądowiska Tjanath, zdałem sobie sprawę, że z niewytłumaczalnego powodu te spędzone w drodze godziny były najszcześniejszym czasem w moim życiu.

Teraz dobiegł końca. Byliśmy u celu podróży, a z tą świadomością poczułem szczerzy żal, że Tjanath nie leżało gdzieś na drugim końcu świata.

Poza Sanoma Torą, nie zależało mi nigdy zbyt wiele na towarzystwie kobiet. Nie chcę robić wrażenia, że nie lubiłem ich, ponieważ mijałbym się z prawdą. Ich sporadyczne towarzystwo dostarczało mi mile widzianej, rozkosznej rozrywki, ale nie pomyślałbym, że można spędzić tyle czasu w towarzystwie jednej, nie kochanej wcale kobiety i rozkoszować się każdą chwilą. Tak jednak było i zacząłem zastanawiać się, czy Tavia podzielała tę radość.

– To pewnie Tjanath – powiedziałem, wskazując głową na odległe miasto.

– Tak – odpowiedziała.

– Cieszysz się na pewno, że to koniec drogi – zaryzykowałem.

Obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem, ściągając brwi, jakby zastanawiała się nad czymś.

– Pewnie powinnam się cieszyć – odparła zagadkowo.  
– To przecież twój dom – przypomniałem.  
– Nie mam domu – odpowiedziała.  
– Ale masz tu przyjaciół – obstawałem przy swoim.  
– Nie mam przyjaciół – stwierdziła.  
– Zapominasz o mnie – powiedziałem.  
– Nie zapominam – odpowiedziała. – Nie zapomniałam że okazałeś mi dobroć, ale pamiętam, że jestem tylko epizodem w twoich poszukiwaniach Sanoma Tory. Możliwe, że jutro odejdziesz i nigdy się już nie zobaczymy.

O tym nie pomyślałem i stwierdziłem, że wcale nie podoba mi się ta myśl. Taka jednak była prawda.

– Na pewno poznasz tu wkrótce jakichś przyjaciół – oświadczyłem.  
– Mam nadzieję – odparła. – Ale nie było mnie tu od dawna, a kiedy mnie porwano, byłam tak młoda, że mam tylko mgliste wspomnienia życia w Tjanath. To miasto nic dla mnie naprawdę nie znaczy. Równie szczęśliwa byłabym gdziekolwiek indziej na Barsoom z... z przyjacielem.

Byliśmy już blisko zewnętrznych murów miasta i rozmowę przerwało nam pojawienie się jakiegoś statku zmierzającego w naszą stronę, najwyraźniej patrolowca. Rozległ się alarm: przenikliwy jazgot sygnału zburzył ciszę wczesnego ranka. Ostrzeżenie podjęły niemal od razu dzwony i syreny w całym mieście. Statek zmienił kurs i wzbił się szybko nad nasz pojazd; tymczasem z lądowisk w całej okolicy podniosły się dziesiątki statków, które otoczyły nas ze wszystkich stron.

Próbowałem obwołać najbliższy, ale piekielny zgiełk sygnałów ostrzegawczych zagłuszył mój głos. Wzięły nas na cel setki dział, których załogi stały w gotowości do zasypania nas niszczycielską nawałą.

– Czy w Tjanath zawsze tak wrogo witają gości? – zapytałem.  
Potrząsnęła głową.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Mogłabym zrozumieć, gdybyśmy przylecieli na pokładzie obcego okrętu, ale dlaczego ten stateczek ściągnął tu pół floty Tjanath... Zaraz! – zawołała nagle. – Konstrukcja statku i jego barwy wskazują, że pochodzi z Jahar. Żołnierze z Tjanath widzieli już te barwy i obawiają się ich! Ale jeśli to prawda, dlaczego jeszcze nas nie zestrzelili?

– Nie wiem, dlaczego nie zrobili tego od razu – powiedziałem. – Ale to oczywiste, dlaczego nie zrobią tego teraz. Otoczyli nas tak gęsto, że nie mogą otworzyć ognia, nie narażając przy tym własnych statków i ludzi.

– Może uda ci się dać im do zrozumienia, że przybywamy w pokoju? – zapytała.

Wywiesiłem natychmiast sygnał pokojowych zamiarów i poddania się, ale wyglądało na to, że otaczający nas bali się podejść bliżej. Syreny umilkły i w ciszy statki zataczały wokół nas koła.

– Nie strzelajcie! – zawołałem znów w stronę najbliższego statku. – Przybywamy w pokoju!

– Niebieskie statki śmierci z Jahar nie przylatują tu w pokojowych zamiarach – odpowiedział oficer na pokładzie.

– Pozwólcie nam podejść do waszej burty – nalegałem. – Wtedy będę mógł udowodnić, że nie mamy wrogich zamiarów.

– Nie zbliżysz się do mojego statku – odparł. – O ile jesteście przyjaciółmi, udowodnicie to, robiąc, co wam każę.

– Czego chcecie? – zapytałem.

– Zawróćcie i polećcie poza mury miasta. Wylądujecie co najmniej jeden haad od wschodniej bramy, a potem obydwójce udacie się pieszo do miasta.

– Czy możesz mi zagwarantować, że czeka nas przyjazne przyjęcie? – zapytałem.

– Zostaniecie wysłuchani – odpowiedział. – O ile okaże się, że nie stanowicie zagrożenia, nie macie czego się bać.

– Doskonale – odpowiedziałem. – Zrobimy, jak powiedziałaś. Przekaż reszcie waszych statków, żeby otworzyły dla nas przejście.

Przelecieliśmy powoli powstałą w ten sposób luką ponad murami Tjanath i posadziliśmy statek na powierzchni około haada od bramy wschodniej.

Kiedy podeszliśmy do miasta, brama otworzyła się szeroko i na nasze spotkanie wyszedł oddział wojowników. Widać było, że bali się nas i zachowywali się bardzo podejrzliwie. Ich padwar kazał nam zatrzymać się, kiedy dzieliło nas jeszcze całe sto sofadów.

– Rzućcie broń i idźcie dalej – polecił.

– Przecież nie jesteśmy wrogami – powiedziałem. – Czy mieszkańcy Tjanath nie wiedzą, jak wita się przyjaciół?

– Zróbcie, co powiedziałem, albo zabijemy obydwójce – brzmiała cała odpowiedź.

Rozstając się z bronią, nie mogłem pozbyć się uczucia niesmaku. Tavia odrzuciła pożyczony jej przeze mnie krótki miecz. Bezbronni, ruszyliśmy w stronę wojowników, ale padwar wciąż nie był usatysfakcjonowany, ponieważ przeszukał nas dokładnie, po czym wreszcie wprowadził nas do miasta. Cały ten czas otaczali nas jego podkomendni.

Kiedy brama zamknęła się za nami, uświadomiłem sobie, że byliśmy tu nie tyle – jak mieliśmy nadzieję – gośćmi, co więźniami. Tavia próbowała podnieść mnie na duchu, twierdząc, że zostaniemy uwolnieni, kiedy opowiemy swoją historię, a wtedy otoczą nas wszelką należną gościnnością.

Strażnicy zaprowadzili nas do budynku po przeciwnej stronie ulicy, naprzeciw bramy, skąd wyszliśmy na szerokie lądowisko na dachu budynku. Czekał tu na nas statek patrolowy. Padwar przekazał nas dowódcy statku, który odnosił się do nas ze źle skrywaną nieufnością i nienawiścią.

Kiedy tylko znaleźliśmy się na pokładzie, patrolowiec wzbił się w powietrze i poleciliśmy w stronę centrum miasta.

Pod nami leżało Tjanath, które wyglądało, jakby nie nadążało za nowoczesnością. Całe miasto pełne było śladów starożytnych czasów; budynki przypominały budowle dawnego Barsoom; wiele z nich było też zaniedbanych, choć liście wielkich drzew i pnączy maskowały i łagodziły wiele szpetoty, dzięki czemu miasto wyglądało dość ładnie. Centrum zajmował wielki plac, otoczony ze wszystkich stron przez imponujące budynki publiczne, w tym pałac jeda. Statek wylądował na dachu jednego z nich.

Zaprowadzono nas pod silną strażą do wnętrza budynku i po krótkim oczekiwaniu trafiliśmy przed oblicze jakiegoś dygnitarza. Najwyraźniej opowiedziano mu już o okolicznościach, w jakich zjawiliśmy się w Tjanath, ponieważ zdawał się nas oczekiwać i wiedział o wszystkim, co dotychczas zaszło.

– Co robisz w Tjanath, Jaharianinie? – zapytał.

– Nie jestem z Jahar – odpowiedziałem. – Spójrz na moją odznakę.

– Każdy wojownik może zmienić odznakę – rzucił szorstko.

– Ale ten człowiek tego nie zrobił – powiedziała Tavia. – Nie pochodzi z Jahar, a z Hastor, w Helium. To ja przyleciałam tu z Jahar.

Urzędnik spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– A zatem przyznajesz się do tego! – zawołał.

– Kiedyś jednak mieszkałam w Tjanath – dodała dziewczyna.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał.

– Porwano mnie stąd, kiedy byłam dzieckiem – odparła Tavia. – Od tamtej pory żyłam jako niewolnica w pałacu Tul Axtara, jeddaka Jahar. Dopiero niedawno udało mi się uciec statkiem, którym tu przylecieliśmy. Wylądowałam w pobliżu wymarłego miasta Xanator i tam wzięli mnie do niewoli zielonoskórzy Torquasowie. Uratował mnie ten wojownik, Hadron z Hastor. Poleciliśmy razem do Tjanath, spodziewając się przyjaznego powitania.

– Kogo znasz w Tjanath? – chciał wiedzieć urzędnik.

– Nie wiem – oznajmiła Tavia. – Kiedy mnie porwano, byłam bardzo młoda. Praktycznie nic nie pamiętam z życia tutaj.

– Jak się nazywasz?

– Tavia.

Mężczyzna, do tej pory niezbyt zainteresowany jej opowieścią, nagle zaczął sprawiać wrażenie ożywionego i zaciekawionego.

– I nie wiesz nic o swoich rodzicach i krewnych? – zapytał.

– Nic – odparła Tavia.

Obrócił się do padwara dowodzącego eskortą.

– Zatrzymaj ich tu do mojego powrotu – powiedział i podniósłszy się zza biurka, opuścił pomieszczenie.

– Zdaje się, że rozpoznał twoje imię – powiedziałem do Tavii.

– Ale jak to możliwe? – zapytała.

– Może znał twoją rodzinę – zasugerowałem. – Przynajmniej jego zachowanie wskazywało, że teraz zajmą się nami.

– Taką mam nadzieję – powiedziała.

– Czuję, że nasze kłopoty zbliżają się do końca – stwierdziłem. – I cieszę się za ciebie.

– Ty sam, jak sądzę, będziesz próbował uzyskać pomoc w poszukiwaniach Sanoma Tory? – zapytała.

– Naturalnie – odparłem. – Czego innego można by się po mnie spodziewać?

– Niczego – stwierdziła bardzo cichym głosem.

Mimo, że zachowanie przesłuchującego nas urzędnika miało w sobie coś, co obudziło moją nadzieję na to, że rysuje się przed nami lepsza przyszłość, za każdym razem, kiedy nasza rozmowa schodziła na temat bliskiego rozstania, zauważałem u siebie uczucie pewnego przygnębienia. Miałem wrażenie, jakbym znał Tavię od zawsze, ponieważ te kilka spędzonych razem dni naprawdę zbliżyło nas do siebie. Wiedziałem, że będzie mi brakować jej błyskotliwego dowcipu, współczucia oraz cichego



towarzystwa w chwilach milczenia. Zaraz jednak ujrzałem w pamięci piękną twarz Sanoma Tory, a wiedząc, dokąd prowadził mnie obowiązek, odrzuciłem daremne żale, wiedząc że miłość znaczy więcej niż przyjaźń, a przecież kochałem Sanoma Torę.

Urzędnik wrócił po dłuższym czasie. Spojrzałem mu w twarz, próbując doszukać się w niej zwiastunów dobrych wieści, ale jego mina była nieprzenikniona. Za to słowa, jakimi zwrócił się do padwara, były całkowicie zrozumiałe.

– Kobiety zamknijcie we wschodniej wieży – rozkazał. – A mężczyznę zabierzcie do lochów.

Tylko tyle. Jakby ktoś uderzył mnie w twarz. Spojrzałem na Tavię i zobaczyłem, że wbiła w urzędnika szeroko otwarte oczy.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzacie nas tu więzić? – zapytała. – Mnie, córkę tego miasta, i wojownika z przyjaznego wam kraju, który przybył tu w poszukiwaniu pomocy i ochrony?

– Później każde z was stanie przed jedem – uciął urzędnik. – Wystarczy. Wyprowadzić ich.

Paru wojowników chwyciło mnie dość szorstko za ramiona. Tavia odwróciła się od urzędnika i spojrzała na mnie.

– Żegnaj, Hadronie! – powiedziała. – To przeze mnie tu trafiłeś. Niech przodkowie mi to wybaczą!

– Nie obwiniaj się – odparłem. – Kto mógł przewidzieć, że przyjmą nas w tak bezrozumny sposób?

Wyprowadzono nas innymi drzwiami. W wyjściu obróciliśmy się jeszcze, żeby spojrzeć na siebie po raz ostatni, a w moim sercu i oczach Tawii wzbierały łzy.

Lochy, do których zabrano mnie od razu, są ciemne, ale ich mrok nie jest tak nieprzenikniony, jak w przypadku podziemi większości miast Barsoom. Przez żelazną kratę sączyło się do mojej celi słabe światło z korytarza oświetlonego starymi lampami radowymi. Mimo wszystko, zawsze było

jakieś światło i cieszyłem się, że jest, ponieważ zawsze wydawało mi się, że uwięziony w całkowitej ciemności postradałbym zmysły.

Zakuto mnie, moim zdaniem niepotrzebnie, w ciężki łańcuch, który umocowano do masywnego żelaznego pierścienia osadzonego głęboko w murze, po czym strażnicy zostawili mnie, zamykając na klucz ciężką, żelazną kratę przed drzwiami.

Kiedy ich kroki ucichły w oddali, usłyszałem niedaleko cichy odgłos jakiegoś ruchu. Cóż to mogło być? Wyteżądałem oczy, próbując przeniknąć ciemność wzrokiem.

Po chwili, kiedy mój wzrok przyzwyczyił się do słabego oświetlenia, zauważyłem nieopodal przykucniętą pod ścianą postać, która wyglądała na człowieka. Kiedy poruszyła się, usłyszałem znów ten sam dźwięk. Tym razem towarzyszył mu grzechot łańcucha, po czym ujrzałem, że postać obróciła twarz w moją stronę, choć nie dostrzegałem jej rysów.

– A zatem kolejny gość będzie cieszyć się ze mną gościnnością Tjanath – powiedziała niewyraźna postać. Głos miała wyraźny, zdecydowanie męski, i było w nim coś, co przypadło mi od razu do gustu.

– Czy nasi gospodarze mają wielu takich gości? – zapytałem.

– Do tej pory w tej celi był tylko jeden – odpowiedział. – Teraz jest nas dwóch. Pochodzisz z Tjanath czy skądś indziej?

– Jestem z Hastor, w kraju Tardosa Morsa, jeddaka Helium.

– Znalazłeś się daleko od domu – stwierdził.

– Owszem – przytaknąłem. – A ty?

– Pochodzę z Jahar – powiedział. – Na imię mam Nur An.

– A ja Hadron – powiedziałem. – Dlaczego tu trafiłeś?

– Uwięzili mnie, ponieważ jestem z Jahar – odpowiedział. – A co było twoją zbrodnią?

– Myśla, że pochodzę z Jahar – poinformowałem go.

– Na jakiej podstawie? Nosisz odznakę Jahar?

– Nie, mam na sobie metal Helium, ale tak się złożyło, że przyleciałem tu statkiem z Jahar.

Gwizdnął. – No tak, to na pewno trudno było wyjaśnić – powiedział.

– Owszem – przyznałem. – Nie uwierzyli w ani jedno słowo naszej historii.

– A zatem miałeś towarzysza? – zapytał. – Gdzie on jest?

– To kobieta. Urodziła się w Tjanath, ale od wielu lat była niewolnicą w Jahar. Może później jej uwierzą, ale na chwilę obecną zostaliśmy uwięzieni. Słyszałem, jak kazali zamknąć ją we wschodniej wieży, zanim mnie tu zabrali.

– I zostaniesz tu, aż zgnijesz, chyba że będziesz miał dość szczęścia, aby wezwali cię na igrzyska lub dość mało, żeby skazano cię na Zagładę.

– Co to takiego? – zapytałem, zciekawiony wyraźną emfazą, z jaką powiedział to słowo.

– Nie wiem – odparł. – Przychodzący tu często żołnierze mówią o niej, jakby była czymś przerażającym. Może próbują mnie tylko nastraszyć, ale jeśli to prawda, to nie dałem im zbytnej satysfakcji, ponieważ bez względu na to, czy bałem się czy nie, nie dałem tego po sobie poznać.

– A zatem miejmy nadzieję, że czekają nas igrzyska – powiedziałem.

– Mieszkańcy Tjanath to tępy i głupi lud – oznajmił mój towarzysz. – Strażnicy powiedzieli mi, że kolejne igrzyska dzieli czasem wiele lat, ale racja – możemy przynajmniej mieć nadzieję. Na pewno lepiej byłoby zginąć z mieczem w dłoni na arenie niż gnić w ciemności, albo paść ofiarą Zagłady, czymkolwiek ona jest.

– Zgadza się – przytaknąłem. – Prośmy przodków, żeby jed Tjanath ogłosił igrzyska w najbliższej przyszłości.

– A zatem pochodzisz z Hastor – powiedział z namysłem po chwili milczenia. – To kawał drogi stąd. Obowiązki, które zawiodły cię tak daleko, musiały być naprawdę ważne!

– Szukałem Jahar – odparłem.

– Może i dobrze że najpierw trafiłeś do Tjanath – stwierdził. – Choć sam pochodzę z Jahar, nie mam powodów, by szczyścić się tamtejszą gościnnością.

– Sądysz, że nie spotkałoby mnie tam serdeczne przyjęcie? – zapytałem.

– Skąd, na wszystkich przodków! – powiedział z emfazą. – Tul Axtar wtrąciłby cię do lochów zanim choćby spytałby cię o imię, a podziemia Jahar nie są wcale tak przytulne i jasne jak tutejsze.

– Nie zależało mi na tym, żeby Tul Axtar wiedział o mojej wizycie – odpowiedziałem.

– Jesteś szpiegiem? – zapytał.

– Nie – odparłem. – Ludzie z Jahar porwali córkę dowódcy mojego umaku i mam powody, by sądzić, że stało się to na rozkaz Tul Axtara. Wyruszyłem w drogę z zamiarem uratowania jej.

– I mówisz o tym człowiekowi z Jahar? – zapytał swobodnym tonem.

– Z bezczelną szczerością – odparłem. – Przede wszystkim, z twoich słów i tonu wnioskuję, że nie należysz do przyjaciół Tul Axtara. Po drugie zaś, najwyraźniej masz niewielkie szanse, żeby wrócić do Jahar.

– Oba domysły są trafne – potwierdził. – Z całą pewnością nie darzę Tul Axtara oddaniem. To bydlak, znienawidzony przez wszystkich przyzwoitych ludzi. A przyczyna mojej nienawiści do niego jest tak bardzo podobna do twojej, że faktycznie coś nas łączy.

– Jak to możliwe? – zapytałem.

– Przez całe życie odczuwałem dla niego tylko pogardę, ale nie przerodziła się ona w nienawiść, dopóki nie porwał pewnej kobiety. To samo obróciło przeciw niemu jad twojej nienawiści.

– Chodziło o kobietę z twojej rodziny? – zapytałem.

– Moją ukochaną, którą miałem poślubić – odpowiedział Nur An. – Pochodzę ze szlacheckiego i starożytnego, majątnego rodu. Stąd nasz jeddak wiedział, że ma słuszne powody, aby się mnie obawiać. Ponaglany strachem, skonfiskował mój majątek i skazał mnie na śmierć, ale mam

w Jahar wielu przyjaciół. Kiedy mnie uwięziono, jeden z nich, szeregowy żołnierz straży, przymknął oko na moją ucieczkę.

– Dotarłem do Tjanath i opowiedziałem swoją historię tutejszemu jedowi, Haj Osisowi. Złożyłem miecz u jego stóp i ofiarowałem mu swoją służbę, ale ten podejrzliwy, stary głupiec widział we mnie tylko szpiega z Jahar. Kazał wtrącić mnie do lochów i jestem tu od dłuższego czasu.

– Skoro rządzi tam ktoś taki, jak Tul Axtar – powiedziałem – Jahar musi być naprawdę nieszczęśliwym krajem. Sporo niedawno słyszałem o waszym jeddaku, ale nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek opowiadał mi o jego zaletach.

– Ponieważ żadnych nie ma – odparł Nur An. – To okrutny tyran, przeżarty zepsuciem i pełen występku. Gdyby jakieś mocarstwo domyślało się, co knuje, Jahar zostałyby zniszczone już dawno temu, a Tul Axtar pożegnałby się z życiem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałem.

– Od co najmniej dwustu lat jeddak żyje swoim wielkim marzeniem: podbojem całego Barsoom. Przez ten czas jego fetyszem stała się wielkość armii; kobiety muszą zachowywać wszelkie złożone jaja<sup>[6]</sup> i nie wolno im zniszczyć ani jednego. Cała armia inspektorów i urzędników odnotowuje skrupulatnie, ile jaj każda złożyła. Kobiety znoszące najwięcej męskiego potomstwa były nagradzane, bezpłodne zaś uśmiercano. Kiedy odkryto, że po zawarciu małżeństwa kobiety znosiły mniej jaj, specjalnym edyktem jeddaka zakazano ślubów ludziom wszelkich warstw.

– Skutkiem był zatrważający wzrost populacji. Doszło do tego, że wiele naszych prowincji nie jest w stanie wykarmić niezliczonej rzeszy mieszkańców, rojących się jak mrówki w mrowisku. Najżyźniejsze tereny rolne całej planety nie zdołałyby wyżywić tylu ludzi. Wszystkie zasoby naturalne zostały wyczerpane; miliony głodują, a w większych regionach kraju szerzy się kanibalizm.

– Cały ten czas dowódcy Tul Axtara szkolili mężczyzn do wojny. Myśl o wojnie jest im wszczepiana ledwie zaczął świadomie myśleć. Ucieczkę od doskwierającego im straszliwego życia widzą tylko i wyłącznie w wojnie, i niezliczone miliony domagają się jej świadome, że zwycięstwo oznacza łupy, a te z kolei – żywność i majątek. Tul Axtar ma pod swoimi rozkazami armię tak wielką, że miałby w ręku los całego Barsoom. Istnieje jednak pewna przeszkoda.

– Cóż to takiego? zapytałem.

– Tul Axtar to tchórz – odparł Nur An. – Spełniwszy swoje marzenie o wielkiej armii, obawia się jej użyć, aby nie okazało się, że jakimś zrzędzeniem jego plany spalą na panewce a armia zostanie pokonana. Czekał więc, ponaglając swoich naukowców, aby stworzyli broń, której moc zapewni mu druzgoczącą przewagę nad uzbrojeniem pozostałych narodów Barsoom, a jego armia stanie się niepokonana.

– Najtęższe mózgi trudyły się od lat nad tym zagadnieniem, aż wreszcie jeden z naszych najwybitniejszych naukowców, starzec imieniem Phor Tak, stworzył broń o zdumiewających właściwościach.

– Jego sukces wzbudził zazdrość innych, a choć starzec dał Tul Axtarowi to, czego ten chciał, tyran nie okazał mu wcale wdzięczności. Phor Tak został poddany takim prześladowaniom i upokorzeniom, że w końcu opuścił Jahar.

– Ale to bez znaczenia, starzec zdążył zrobić dla jeddaka wszystko, czego ten od niego chciał, a mając nową broń Tul Axtar z radością pozbył się wynalazcy.

Naturalnie zainteresowała mnie broń, o której wspomniał Nur An, i miałem nadzieję, że opíše ją nieco lepiej z większymi szczegółami. Nie ośmieliłem się jednak tego zasugerować, z obawy, że przyrodzona lojalność, jaką każdy człowiek czuje dla ojczyzny, nie pozwoli mu podzielić się z obcym sekretami uzbrojenia jego armii. Przekonałem się jednak zaraz, że szczytne patriotyczne uczucia, ukształtowane przez miłość i szacunek,

jakimi darzymy naszych wielkich jeddaków, oraz naturalne przywiązanie do miejsca narodzin, stanowią wprawdzie nieodzowną część natury wszystkich mieszkańców Helium, ale Jaharianie spoglądali na głowę ich państwa wyłącznie z odrazą i pogardą, nie czując lojalności wobec człowieka, który praktycznie był całym krajem. Patriotyzm był więc dla nich tylko pustym frazesem, tak długo wykorzystywanym przez niegodnego władcę do własnych celów, aż stracił wszelkie znaczenie. Tak więc, choć w pierwszej chwili zaskoczyło mnie to, później zrozumiałem, dlaczego Nur An dobrowolnie opowiedział mi szczegółowo wszystko, co wiedział o tej niezwyklej, nowej broni i sposobach ochrony przed nią.

– Dzięki tej broni – ciągnął po chwili milczenia – wszystkie pozostałe armie i floty na całym świecie byłyby wobec nas bezbronne. Emituje ona niewidzialne promienie, których wibracje zmieniają strukturę metali, poddając je dezintegracji. Nie jestem naukowcem i nie rozumiem dokładnie przyczyn tego zjawiska, ale na ile zdołałem się dowiedzieć podczas pokazów w Jahar, rozumiem, że promienie powodują zmianę ładunku protonów w substancjach metalicznych, uwalniając w ten sposób całą masę w postaci swobodnych elektronów. Słyszałem też, że podczas badań Phor Tak odkrył, że podstawowe zasady rządzące czasem, przestrzenią i materią są identyczne i tak naprawdę promienie emitowane przez jego broń dokonują translacji dowolnej masy metalu, na którą zostaną skierowane, na elementarne cząstki składowe przestrzeni.

– Tak czy siak, Tul Axtar miał w końcu wielką armię i broń. Mimo to, wciąż się wahał. Bał się i szukał jakiegoś powodu, aby odkładać plany podboju i zbierania łupów, wyczekiwanego przez miliony poddanych. Uznał więc, że najpierw musi skłonić naukowców do wynalezienia sposobu ochrony przed nową bronią, uzasadniając swoje żądania tym, że jakieś inne mocarstwo mogło stworzyć już podobną broń albo skopiować ją, wysyłając do Jahar szpiegów lub informatorów z zadaniem wykradzenia naszych sekretów. Zapewne ku jego wielkiemu zdziwieniu i niewątpliwemu

zawstydzeniu pewien człowiek, asystent w laboratorium Phor Taka, stworzył wkrótce substancję, która rozprasza i unieszkodliwia promienie emitowane przez nową broń. Związkiem, który ma błękitną barwę, pokryto metalowe elementy statków, broni i uprzęży wojowników.

– Mimo to Tul Axtar nadal zwlekał, upierając się, że najpierw trzeba wyprodukować ogromną ilość miotaczy oraz zbudować potężną flotę, na których zostaną zamontowane. Twierdzi, że wtedy wyruszy na podbój całego Barsoom.

Teraz pojąłem w pełni zniszczenie statku patrolowego nad Helium nocy, której uprowadzono Sanoma Torę. Kiedy Nur An opowiedział mi później, że Tul Axtar wysyłał do Tjanath prototypy statków z zadaniem atakowania tutejszej floty, zrozumiałem dlaczego nasz błękitny statek wzbudził taką konsternację. Najbardziej dręczyła mnie jednak myśl, która w moich myślach przyćmiewała niemal sprawę ratowania Sanoma Tory: olbrzymia flota Helium startowała właśnie gdzieś w rzadkiej atmosferze umierającej planety, aby zaatakować Jahar. Tak przynajmniej myślałem, nie mając powodu, by wątpić, że zarządca pałacu Tor Hatana przekazał moją wiadomość Wodzowi. Grozą przejmowała mnie świadomość, że tkwiłem bezradnie skuty w lochach Tjanath, podczas gdy moi rodacy lecieli na spotkanie zguby. Widziałem na własne oczy skutki działania nowej broni i wiedziałem, że Nur An nie snuł próżnych marzeń, twierdząc że Tul Axtar mógł podbić za jej pomocą świat. Istniał jednak sposób ochrony przed nią. Gdybym tylko odzyskał wolność, mógłbym nie tylko ostrzec flotę Helium i ocalić ją przed nieuchronną klęską, ale szukając również Sanoma Tory w Jahar, zdołałbym może odkryć sekret ochrony przed bronią stworzoną przez Phor Taka.

Wolność! Wcześniej zdawała mi się tylko najbardziej upragnioną rzeczą na świecie; teraz stała się koniecznością.



## ROZDZIAŁ 5

# SKAZANI NA ŚMIERĆ

Nie upłynęło wiele czasu, kiedy w naszej celi zjawili się wojownicy i rozkuwszy mnie, wyprowadzili z lochu. Było ich tylko dwóch, a kiedy prowadzili mnie na górne piętro pałacu zauważyłem ich niedbałość i brak dyscypliny; uznałem wtedy jednak, że oznaczało to tylko, iż urzędnicy zmienili zdanie i miałem zostać uwolniony.

Pałac jeda Tjanath nie miał w sobie nic nadzwyczajnego. W porównaniu z siedzibami niektórych dostojników Helium wydawał się wręcz ubogi, choć chyba jeszcze nigdy nie zwracałem tak drobiazgowej uwagi na wszelkie szczegóły architektury, przejścia i korytarze, zachowanie, stroje i ozdoby mijających nas ludzi. Mimo skrytej nadziei na uwolnienie, uważałem bowiem to miejsce za więzienie, a ludzi za strażników, a ponieważ pragnąłem tylko stamtąd uciec, postanowiłem odnotować w pamięci każdy szczegół, który mógł okazać się przydatny, gdyby nadarzyła się sposobność.

Podobne myśli zaprzętały mi głowę, kiedy przez szerokie drzwi wprowadzono mnie przed wojownika w obsypanej klejnotami uprzęży. Spojrzawszy na niego, wiedziałem od razu, że stoję przed jedem Tjanath, Haj Osisem.

Kiedy moja eskorta zatrzymała się, przyjrzał mi się bacznie z podejrzliwością, która jest jego najwyraźniejszą cechą.

– Jak się nazywasz i skąd pochodzisz? – zapytał.

– Jestem Hadron z Hastor, padwar floty Helium – odpowiedziałem.

– Przyleciałeś tu z Jahar tamtejszym statkiem – rzucił oskarżycielskim tonem. – Towarzyszyła ci kobieta z Jahar. Czy możesz temu zaprzeczyć?

Opowiedziałem szczegółowo o wszystkim, co złożyło się na moje przybycie do Tjanath. Zrelacjonowałem również historię Tavii i muszę mu przyznać, że przynajmniej wysłuchał mnie cierpliwie, choć nie mogłem pozbyć się wrażenia, że mówiłem do człowieka uprzedzonego do mnie tak bardzo, że nic co mógłbym powiedzieć, nie zmieniłoby jego przekonania.

Otoczający jeda wodzowie i dworzanie wyrażali swoją postawą jawne niedowierzanie, aż doszedłem do wniosku, że lęk przed Tul Axtarem o władnął nimi do tego stopnia, iż nie potrafili rozsądzić racjonalnie żadnej sprawy wiążącej się z poczynaniami jeddaka Jahar. Strach napęłnił ich podejrzliwością, która kazała im postrzegać wszystko w zniekształconym świetle.

Kiedy skończyłem, Haj Osis kazał mnie wyprowadzić. Zamknięto mnie na jakiś czas w niewielkim pomieszczeniu obok, podczas gdy jed naradzał się zapewne ze swoimi doradcami.

Kiedy wprowadzono mnie znów przed jego oblicze, poczułem że atmosfera w sali tronowej stała się ciężka od wrogich uczuć. Zatrzymałem się po raz drugi przed podwyższeniem z rzeźbionym tronem, na którym zasiadał Haj Osis.

– Prawa Tjanath są sprawiedliwe – oznajmił jed, wbijając we mnie gniewne spojrzenie. – A władca Tjanath miłosierny. Wrogowie naszego miasta otrzymają sprawiedliwy wyrok, ale nie mogą spodziewać się miłosierdzia. Człowieku, który twierdzisz, że jesteś Hadronem z Hastor! Zostałeś uznany za szpiega naszego najbardziej zawziętego wroga, Tul Axtara z Jahar. A wobec tego, ja – Haj Osis, jed Tjanath – skazuję cię na Zagładę. Skończyłem.

Skinął władczo ręką, każąc strażnikom wyprowadzić mnie z sali.

Wyrok był nieodwołalny. Mój los był przypieczętowany. Odwróciłem się w milczeniu i wyszedłem, odprowadzany przez eskortę. Aby bronić honoru

Helium powiem tyle, że szedłem pewnym krokiem z uniesioną wysoko głową. Po powrocie do lochów zapytałem dowódcę eskorty o Tavię, ale nawet jeśli coś o niej wiedział, nie chciał podzielić się tym ze mną i wkrótce zakuto mnie znowu w mrocznym lochu obok Nur Ana.

– I jak poszło? – zapytał.

– Zagłada – odparłem.

Wyciągnąłem w ciemności zakutą w kajdany dłoń i położyłem ją na mojej.

– Przykro mi przyjacielu – powiedział.

– Człowiek ma tylko jedno życie – odparłem. – I nie powinien skarżyć się, o ile może oddać je w słusznej sprawie.

– Zginiesz dla kobiety – stwierdził.

– Dla kobiety z Helium – poprawiłem go.

– Możliwe, że zginieemy razem – powiedział.

– Co masz na myśli?

– Pod twoją nieobecność, zjawił się tu posłaniec zarządcy pałacu, radząc mi pojednać się z przodkami, ponieważ czeka mnie wkrótce Zagłada.

– Ciekawe, czym ona jest – powiedziałem.

– Nie wiem – odparł. – Z trwożliwego szeptu, jakim o niej wspominają, wnioskuję jednak, że to coś naprawdę przerażającego.

– Myślisz, że chodzi o tortury? – zapytałem.

– Możliwe – odpowiedział.

– Dowiedzą się, że mężczyźni z Helium wiedzą nie tylko, jak żyć, ale i jak umierać – oświadczyłem.

– Mam nadzieję, że ja również pokażę, na co mnie stać – stwierdził Nur An. – Nie dam im satysfakcji i nie pokażę po sobie cierpienia. Mimo wszystko, chciałbym wiedzieć wcześniej, czym jest ta Zagłada, żeby lepiej przygotować się na jej spotkanie.

– Nie poddawajmy się ponurym myślom – zaproponowałem. – Zachowujmy się jak mężczyźni i myślimy tylko o tym, jak pokrzyżować szyki naszym wrogom i uciec stąd.

- Obawiam się, że to niemożliwe – powiedział.
- Jedyłą moją odpowiedzią będą słynne słowa Johna Cartera – odpowiedziałem. – Jeszcze żyję!
- Ślepa filozofia absolutnej odwagi – stwierdził z podziwem. – Mimo wszystko, daremna.
- Przysłużyła mu się nieraz – obstawałem przy swoim – pozwalając mu starać się dokonać niemożliwego i odnieść sukces. Pamiętaj, Nur Anie, jeszcze nie zginęliśmy. Ciągle żyjemy!
- Cieszcie się tym, póki możecie – powiedział burkliwy głos z korytarza. – Niedługo przestanie to być prawdą.

Mówiący te słowa wszedł do celi. Okazał się nim strażnik, któremu towarzyszył jeszcze jeden żołnierz. Zastanawiałem się, ile z naszej rozmowy słyszeli, zaraz jednak nabrałem otuchy, ponieważ następne słowa wojownika zdradziły, że do ich uszu nie doszło nic poza moim stwierdzeniem, że jeszcze żyliśmy.

- Co chciałeś powiedzieć mówiąc mu, aby pamiętał, że jeszcze żyjecie? – zapytał.

Udałem, że nie dosłyszałem pytania. Wojownik nie powtórzył go, podszedł za to prosto do mnie i rozkuł mnie. Odwróciwszy się, żeby zdjąć kajdany Nur Anowi, stanął plecami do mnie. Ta niewybaczalna beztroska nie uszła mojej uwagi. Drugi wojownik stał beczynnie w drzwiach, kiedy strażnik pochylił się nad kłódką na łańcuchu Nur Ana.

Przodkowie mi sprzyjali! Nie spodziewałem się podobnej okazji, choć czekałem jeszcze, jak wielki banth szykujący się do skoku. Odczekałem, aż strażnik uwolnił Nur Ana, a kiedy z mojego towarzysza niewoli spadł łańcuch, rzuciłem się na plecy wojownika. Upadł jak długi na kamienną posadzkę, przygnieciony moim ciężarem, a wtedy wyrwałem mu sztylet z pochwy i wbiłem mu go w plecy między łopatkami. Zdążył wprawdzie krzyknąć, ale nie obawiałem się wcale, że dźwięk dotrze w górę

z mrocznych podziemi Tjanath i ostrzeże innych strażników na górnych kondygnacjach.

Towarzysz strażnika widział za to i słyszał wszystko. Przesadził celę jednym skokiem z mieczem w dłoni. Teraz miałem przekonać się, jak odważny był Nur An.

Cała walka trwała krótko, niczym grom z jasnego nieba, każdemu można by więc wybaczyć, gdyby sparaliżowała go przez chwilę raptowność mojego ataku, Nur An nie okazał jednak ani chwili zwłoki, która mogła okazać się zabójcza w skutkach. Zupełnie jakbyśmy to zaplanowali, kiedy skoczyłem na wojownika, rzucił się do przodu na spotkanie jego towarzysza, stając z gołymi rękami przeciwko długiemu mieczowi.

Ciemność celi zmniejszyła przewagę uzbrojonego strażnika. Widział sylwetkę, która ruszyła mu na spotkanie, a w gorączce chwili i panującym wokół mroku nie zauważył, że Nur An nie miał broni. Zawahał się, zatrzymał i cofnął, żeby przygotować się na atak z ciemności. W tej samej chwili wyszarpnąłem z pochwy miecz zabitego strażnika i zaatakowałem go pod nieco innym kątem niż Nur An.

Po chwili starliśmy się i odkryłem, że strażnik całkiem dobrze władał mieczem; mimo to, kiedy tylko skrzyżowaliśmy ostrza, wiedziałem, że góruję nad nim umiejętnościami. On również musiał zdać sobie z tego sprawę, ponieważ przeszedł do obrony, najwyraźniej zamierzając uciec do korytarza. Postanowiłem jednak nie dopuścić do tego, zacząłem więc nacierać tak zaciekle, że nie ośmielił odwrócić się do mnie plecami i pobiec. Nie wzywał też pomocy, zapewne dlatego, iż wiedział, że nie zdałoby się to na nic.

Nur An i ja walczyliśmy o życie z desperacją uwięzionych zwierząt. Nie było mowy o drobiazgowym przestrzeganiu szlachetnych zasad walki. Chodziło o życie: nasze lub strażnika. Wiedząc o tym, Nur An zerwał krótki miecz ze zwłok zabitego wojownika i chwilę później drugi żołnierz leżał w kałuży własnej krwi.

- Co teraz? – zapytał Nur An.
- Znasz pałac? – powiedziałem.
- Nie – odparł.

– A zatem musimy polegać na tej skromnej wiedzy, jaką udało mi się zebrać – stwierdziłem. – Przebierzmy się w uprząż strażników. Może to wystarczy, żebyśmy dotarli na jedno z górnych pięter. Bez znajomości lochów próba ucieczki pod ziemią byłaby skazana na porażkę.

– Racja – powiedział i po paru chwilach wyszliśmy na korytarz, na pierwszy rzut oka wyglądając jak wojownicy Haj Osisa. Przekonany, że do pewnego stopnia najlepszym sposobem na uniknięcie zauważenia będzie śmiałość działania, ruszyłem prosto w stronę parteru pałacu, nie próbując w żaden sposób poruszać się ukradkiem lub zachowywać ostrożności.

– Głównej bramy pilnuje liczna straż – powiedziałem. – Próbując wyjść tamtędy bez znajomości przepisów dotyczących poruszania się po budynku, popełnilibyśmy samobójstwo.

– Co proponujesz? – zapytał.

– Parter to ruchliwe miejsce i korytarze pełne są ludzi. Część górnych kondygnacji na pewno jest rzadziej uczęszczana. Poszukamy kryjówki wyżej i może uda nam się wykorzystać jakiś balkon, żeby opracować realny plan ucieczki.

– Dobrze! – powiedział. – Prowadź!

Wyszliśmy z podziemi po krętej pochylni, mijając dwie kondygnacje, zanim dotarliśmy na parter. Nie spotkaliśmy po drodze nikogo, za to kiedy wyszliśmy do korytarza pałacu, otoczył nas tłum ludzi: oficerowie, dworzanie, służba i kupcy wędrowali w tę i z powrotem wykonując rozmaite obowiązki lub w interesach, które ściągnęły ich do pałacu. Sama liczba ludzi okazała się dla nas najlepszym kamuflażem.

Po przeciwnej stronie korytarza, nieco z boku, znajdowało się łukowate przejście, za którym kolejna pochylnia wiodła w górę. Zacząłem

przepychać się niezwłocznie przez tłum, po czym przeszliśmy z Nur Anem pod łukiem i weszliśmy na rampę.

Ledwie ruszyliśmy w górę, natknęliśmy się na schodzącego nią młodego oficera. Kiedy mijaliśmy się, obrzucił nas tylko szybkim spojrzeniem i odetchnąłem z ulgą, uświadomiwszy sobie, że nasze przebranie okazało się skuteczne.

Druga kondygnacja pałacu okazała się mniej zatłoczona, mimo wszystko jak na mój gust było tu jeszcze zbyt wielu ludzi, ruszyliśmy więc dalej, na trzecie piętro, którego korytarze okazały się niemal opuszczone.

Wyjście z rampy znajdowało się obok przecięcia dwóch wielkich korytarzy. Zatrzymaliśmy się tu na chwilę, żeby zorientować się w okolicy. Korytarzem, z którego wyszliśmy, z obu stron zbliżali się do nas jacyś ludzie, ale poprzeczny do niego z jednej strony wyglądał na opuszczony, ruszyliśmy tamtędy. Korytarz był bardzo długi; najwyraźniej ciągnął się przez całą długość pałacu. Z obu stron widzieliśmy co pewien czas drzwi, niektóre otwarte, inne zamknięte lub uchylone. Za niektórymi z otwartych zauważyliśmy ludzi, inne pomieszczenia z kolei wyglądały na puste. Zapamiętywaliśmy starannie ich położenie, idąc powoli korytarzem i przyglądając się uważnie wszelkim szczegółom, które mogły okazać się przydatne.

Pokonaliśmy około dwóch trzecich drogi do końca korytarza, kiedy jakieś sto stóp przed nami pojawił się w nim jakiś człowiek. Okazało się, że był to oficer, widocznie dowódca straży. Zatrzymał się pośrodku korytarza, podczas gdy z tych samych drzwi wynurzył się szereg wojowników, którzy ustawili się dwójkami i ruszyli w naszą stronę przed zamykającym kolumnę oficerem.

Nie ośmieliłem się zaryzykować tego testu naszego przebrania. Po prawej stronie mieliśmy otwarte drzwi, za którymi nikogo nie zauważyłem. – Za mną! – powiedziałem do Nur Ana i nie przyspieszając, weszliśmy swobodnym krokiem do komnaty. Kiedy Nur An przeszedł

przez próg, zamknąłem za nim drzwi i dopiero wtedy ujrzałem po drugiej stronie pomieszczenia patrzącą na nas młodą kobietę.

– Co tu robicie? – zapytała.

Sytuacja była naprawdę niezręczna. W korytarzu na zewnątrz słyszałem szcęk ekwipunku zbliżających się wojowników i wiedziałem, że dziewczyna na pewno również go słyszała. Gdyby cokolwiek w moim zachowaniu wzbudziło jej podejrzliwość, wystarczyło, żeby wezwała pomocy. Nie miałem najmniejszego pojęcia, w jaki sposób dwaj strażnicy mogli uzasadnić swoją obecność w tym pomieszczeniu. Na ile wiedziałem, mogło okazać się, że weszliśmy do komnat księżniczki królewskiego rodu, co bez stosownego pozwolenia mogło skończyć się dla zwykłego wojownika śmiercią. Myślałem szybko, a może wręcz wcale: często podejmujemy właściwe działania pod wpływem impulsu, przypisując później trafną decyzję racjonalnemu działaniu.

– Przyszliśmy po dziewczynę – rzuciłem obcesowo. – Gdzie ona jest?

– Jaką dziewczynę? – zapytała zdziwiona.

– Nowego więźnia – odpowiedziałem.

– Więźnia? – zrobiła jeszcze bardziej zdziwioną minę.

– Oczywiście – wtrącił Nur An. – Po więźnia. Gdzie ona jest?

Omali się nie uśmiechnąłem, wiedząc, że Nur An nie miał bladego pojęcia, co zamierzałem.

– Nie ma tu żadnej dziewczyny – powiedziała kobieta. – To pokoje księcia, małego synka Haj Osis.

– Ten głupiec dał nam niewłaściwe wskazówki – powiedziałem. – Przepraszamy za to najście. Kazano nam sprowadzić Tavię, dziewczynę, którą trzymają gdzieś w pałacu.

Strzelałem na oślep. Nie wiedziałem wcale, czy Tavia rzeczywiście była uwięziona, ale domyślałem się tego po tym, jak potraktowano mnie.

– Nie ma jej tu – powiedziała kobieta. – I lepiej będzie, jeśli wy również zaraz wyjdziecie. Inaczej, jeśli was tu znajdą, będzie z wami krucho.



Nur An stojąc przy mnie, mierzył ją uważnym spojrzeniem, po czym podszedł bliżej.

– Przodkowie! – zawołał cicho. – Toż to Phao!

Dziewczyna cofnęła się, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. Z wolna pojawił się w nich błysk rozpoznania.

– Nur An! – powiedziała.

Nur An podszedł do niej i ujął jej dłoń.

– Przez te wszystkie lata myślałem, że nie żyjesz! – oznajmił. – Kiedy statek wrócił, kapitan zameldował, że ty i część pozostałych zginęliście.

– Kłamał – powiedziała. – Sprzedał nas w niewolę. Ale co ty tu robisz w stroju żołnierza Tjanath?

– Trafiłem do lochów – odparł mój towarzysz. – To samo spotkało tego wojownika. Uwięzili nas w podziemiach pałacu, a dziś miała nas czekać Zagłada. Udało nam się jednak uśmiercić przysłanych po nas wojowników, a teraz próbujemy się stąd wydostać.

– Nie szukacie więc naprawdę tej Tavii? – zapytała.

– Owszem, szukamy – odpowiedziałem. – Trafiła tu w tym samym czasie, co ja.

– Może uda mi się wam pomóc – stwierdziła Phao. – A może uda się nam wszystkim uciec razem – dodała żalosnym głosem.

– Nie ucieknę stąd bez ciebie, Phao – oświadczył Nur An.

– Przodkowie nareszcie okazali mi łaskę – powiedziała dziewczyna.

– Gdzie jest Tavia? – zadałem pytanie.

– We wschodniej wieży – odparła Phao.

– Możesz nas tam zaprowadzić albo zdradzić, jak się tam dostać? – zapytałem.

– Zaprowadzenie was do niej nic by wam nie dało – rzekła. – Drzwi są zamknięte na klucz, a przed nimi stoi straż. Ale jest inna droga.

– Jaka? – zapytałem.

– Wiem, gdzie są klucze – oznajmiła. – I wiem coś jeszcze, co może nam się przydać.

– Niech cię przodkowie chronią i wynagrodzą – powiedziałem. – A teraz powiedz, gdzie znaleźć klucze.

– Muszę zaprowadzić was tam osobiście – stwierdziła. – Ale będziemy mieli większe szanse powodzenia, jeśli nie będzie nas zbyt wiele. Proponuję, żeby Nur An tu został. Ukryję go w miejscu, gdzie go nie znajdą. Potem zaprowadzę cię do Tavii i jeśli okaże się to możliwe wrócimy tutaj. Zajmuję się pokojami księcia i nikt poza mną tu nie przychodzi oprócz regularnych wizyt dwa razy dziennie rano i wieczorem. Mogę was tu długo ukrywać i karmić, aż wreszcie uda się nam może wymyślić wykonalny plan uciezki.

– Zdajemy się na ciebie, Phao – oświadczył Nur An. – Choć gdyby miało dojść do walki, wolałbym towarzyszyć Hadronowi.

– O ile się uda, unikniemy walki – powiedziała dziewczyna. Podeszła szybko do drzwi po drugiej stronie pokoju i otworzyła je, odsłaniając wnętrze wielkiej szafy. – Zostań tu do naszego powrotu – powiedziała. – Nie ma powodu, aby ktokolwiek otwierał te drzwi, a na ile wiem, od kiedy tu mieszkam, nikt poza mną nie zaglądał do wnętrza szafy.

– Nie podoba mi się zbytnio myśl o ukrywaniu się – stwierdził Nur An, krzywiąc twarz w grymasie. – Ostatnio musiałem jednak robić sporo rzeczy, które mi nie odpowiadają.

Bez zbędnych słów podszedł do szafy i zanurzył się w jej wnętrzu. Na chwilę zanim Phao zamknęła drzwi, ich spojrzenia zetknęły się ze sobą, a w głębi obu wyczytałem coś, co sprawiło, że zacząłem zastanawiać się nad prawdziwością opowieści Nur Ana o kobiecie odebranej mu przez Tul Axtara. Podobne sprawy nie obchodziły mnie jednak i nie dotyczyły czekającej nas sprawy.

– Oto mój plan, wojowniku – powiedziała Phao, wróciwszy do mnie. – Kiedy tu weszliście, powiedzieliście, że szukacie uwięzionej w pałacu

Tavii. Uwierzyłam wam, choć nie było jej tu. Pójdziemy do Yo Seno, klucznika, i opowiem mu tę samą historyjkę, że wysłano cię po Tavię. Jeśli uwierzy, wszystko pójdzie gładko, ponieważ pójdzie po nią sam i przekaże ją pod twoją opiekę.

– A jeśli nie uwierzy? – zapytałem.

– To zwierzę – powiedziała. – I lepiej będzie, jeśli zginie niż jeśli pozwolimy mu żyć. A zatem będziesz wiedział, co robić.

– Rozumiem – rzekłem. – Prowadź.

Gabinet klucznika znajdował się na czwartym piętrze pałacu, niemal dokładnie nad pokojami małego księcia. Phao zatrzymała się przed drzwiami i przyłożywszy mi wargi do ucha wyszeptała ostatnie zalecenia.

– Wejść pierwsza z jakąś błahą sprawą – powiedziała. – Możesz wejść chwilę później, ale nie zwracaj na mnie uwagi. Nie możemy sprawiać wrażenia, że przyszliśmy razem.

– Rozumiem – rzekłem i odszedłem o kilka kroków, żeby nikt mnie nie zauważył, kiedy drzwi się otworzą. Później dowiedziałem się, że poprosiła Yo Seno, aby kazał dorobić nowy klucz do jednych z wielu drzwi w pokojach dzieciennych.

Odczekałem chwilę, po czym również wszedłem do gabinetu. Znalazłem się w ciemnym, pozbawionym okien pomieszczeniu o ścianach obwieszonych kluczami wszelkich wyobrażalnych kształtów i wielkości. Za sporym biurkiem siedział mężczyzna o wyglądzie grubianina, który na mój widok podniósł wzrok i zmarszczył z niezadowoleniem brwi.

– Czego? – zapytał.

– Przyszedłem po Tavię – powiedziałem. – Tę uwięzioną kobietę z Jahar.

– Kto cię przysłał? Czego od niej chcesz? – chciał wiedzieć.

– Dostałem rozkaz przyprowadzić ją do Haj Osisa – odparłem.

Obrzucił mnie podejrziwym spojrzeniem.

– Masz ten rozkaz na piśmie? – zapytał.

– Oczywiście że nie – wyjaśniłem.– To zbędne; przecież nie mam wyprowadzić jej z pałacu, a tylko przeprowadzić z jednego pomieszczenia do drugiego.

– Muszę mieć rozkaz na piśmie – uciał.

– Haj Osis nie będzie zadowolony, kiedy dowie się, że odmówiłeś wykonania jego polecenia – stwierdziłem.

– Nie odmawiam – odpowiedział Yo Seno. – Nie waż się tak twierdzić. Nie mogę przekazać ci więźnia bez rozkazu na piśmie. Pokaż mi upoważnienie, a wydam ci klucze.

Widziałem, że nasz plan zawiódł. Trzeba było uciec się do innych środków. Szybkim ruchem wyciągnąłem długi miecz. – Oto moje upoważnienie! – krzyknąłem, rzucając się w jego stronę.

Z przekleństwem na ustach, sięgnął po miecz, ale zamiast stanąć do walki, cofnął się szybko, odgradzając się ode mnie biurkiem, po czym odwrócił się i uderzył płazem miecza w miedziany gong.

Skoczyłem w jego stronę, słysząc dobiegający z pokoju obok szcęk metalu i tupot biegnących stóp. Yo Seno, wciąż się cofając, wykrzywił usta w sardonicznym uśmiechu. Nagle światła zgasły i pozbawiony okien pokój pograżył się w ciemności. Delikatne palce ujęły mnie za dłoń a cichy głos szepnął do ucha:

– Za mną.

Phao pociągnęła mnie szybko na bok, w wąską szczelinę, dokładnie w chwili, kiedy drzwi po drugiej stronie pokoju otworzyły się szeroko, ukazując widoczne wyraźnie na tle oświetlonego pokoju za nimi sylwetki sześciu wojowników. Potem przed moją twarzą zamknęły się jakieś drzwiczki i znalazłem się w kompletnej ciemności. Phao nadal trzymała mnie za dłoń.

– Cicho! – szepnęła miękko.

Zza drzwiczek docierały do nas gniewne, podniecone głosy. Inny głos przebił się nad nie, pytając władczy tonem:

– Co się tu dzieje?

Rozległy się mamrotane pod nosem odgłosy bólu i przekleństwa żołnierzy zderzających się z meblami i wpadających na siebie nawzajem.

– Dajcie światło! – zawołał głos, a chwilę później dodał: – Tak lepiej.

– Gdzie Yo Seno? Tu jesteś, parszywy tłuściochu! Co tu się stało?

– Na Issus! Zniknął! – Ten głos należał do Yo Seno.

– Kto taki? – zapytał drugi głos. – Dlaczego nas wzywałeś?

– Zaatakował mnie jakiś wojownik, który zjawił się tu, żądając wydania klucza do pokoju, w którym Haj Osis trzyma córkę... – wyjaśnił Yo Seno. Nie dosłyszałem końca zdania.

– No i gdzie on jest? – zapytał rozmówca.

– Zniknął! Klucz też! Nie ma klucza! – głos klucznika omal nie przeszedł w skowyt.

– Szybko, do pokoju, gdzie trzymają dziewczynę – zawołał pierwszy rozmówca, niewątpliwie dowódca straży. Niemal od razu usłyszałem, jak żołnierze wybiegli z pomieszczenia.

Dziewczyna obok mnie poruszyła się lekko i usłyszałem jej cichy śmiech.

– Nie znajdą klucza – powiedziała.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Ponieważ to ja go mam – odpowiedziała.

– Na niewiele nam się przyda – stwierdziłem smętnie. – Teraz będą pilnować drzwi i nie uda nam się z niego skorzystać.

Phao znowu się roześmiała.

– Klucz jest nam niepotrzebny – oznajmiła. – Zabrałam go tylko po to, żeby ich zmylić. Zaczną pilnować drzwi, a my dostaniemy się tam inną drogą.

– Nie rozumiem – powiedziałem.

– To przejście prowadzi między ścianami działowymi do pomieszczenia, gdzie trzymają Tavię. Wiem, bo kiedy trzymano mnie w tamtym pokoju,

Yo Seno korzystał z tej drogi, żeby do mnie przychodzić. To bydlę. Mam nadzieję – dla twojego dobra, o ile ją kochasz – że nie był jeszcze u niej.

– Nie kocham jej – oznajmiłem. – To tylko przyjaciółka.

Ale słowa zdawały się wydobywać ze mnie mechanicznie i ledwie zdawałem sobie sprawę, z tego, co mówię, ponieważ ogarnęło mnie nieznanne mi do tej pory uczucie. Poczułem je, kiedy Phao zasugerowała, że Yo Seno mógł odwiedzać Tavię korzystając z ukrytego przejścia. Doznałem poczucia niemal bliskiego spazmów, po którym byłem zupełnie innym człowiekiem. Dotychczas, gdybym uśmiercił Yo Sano w walce, czułbym tylko satysfakcję; teraz chciałem rozszarpać go na strzępy, okaleczyć i sprawić, aby cierpiał. Nigdy przedtem nie doznałem tak bestialskich pragnień. To uczucie było odrażające, a jednak pławiłem się w nim z rozkoszą.

– Co się stało? – zawołała Phao. – Chyba poczułam jak drżysz.

– Owszem – przyznałem.

– Dlaczego? – zapytała.

– To przez Yo Seno – odparłem. – Ale pospieszmy się. Jeśli to przejście prowadzi do pokoju, w którym trzymają Tavię, muszę dotrzeć do niej jak najszybciej. Kiedy Haj Osis dowie się o zniknięciu klucza, każe przenieść ją gdzie indziej.

– Nie dowie się, o ile Yo Seno i padwar zdołają temu zapobiec – powiedziała Phao. – Gdyby dotarło to do uszu jeda, obu mogłoby to kosztować życie. Zaczekają, aż przyjdiesz, żeby zabić cię i zabrać ci klucz. Ale czekają przed drzwiami więzienia, a ty dotrzesz tam inną drogą.

Mówiąc to, ruszyła ciemnym, wąskim przejściem, prowadząc mnie za dłoń. Phao musiała powoli wymacywać przed nami drogę, ponieważ korytarz zakręcał pod kątem prostym równoległe do ścian pomieszczeń, między którymi prowadził, zaś nad drzwiami prowadziły liczne schody, a wreszcie trafiliśmy na drabinę prowadzącą na górny poziom.

Zatrzymaliśmy się w końcu.

– To tutaj – szepnęła. – Posłuchajmy najpierw, żeby upewnić się, że w pokoju nie ma nikogo poza nią.

Zupełnie nic nie widziałem w otaczającej nas ciemności i nie domyślałem się nawet, skąd Phao wiedziała, że dotarliśmy do celu.

– Wszystko w porządku – powiedziała wkrótce, naciskając równocześnie drewniany panel. Przez powstałą w ten sposób szparę ujrzałem fragment okrągłego pomieszczenia o wąskich, zakratowanych oknach. Naprzeciw wejścia ujrzałem leżącą na stercie futer i jedwabi kobietę. Widziałem tylko nagie ramię, maleńkie ucho i zmierzwione włosy, ale na pierwszy rzut oka wiedziałem, że należały do Tavii.

Weszliśmy, po czym Phao zasunęła za nami panel. Choć staraliśmy się zachować ciszę, Tavia, rozbudzona odgłosem naszego wejścia, podniosła się i spojrzała na nas, a rozpoznawszy mnie poderwała się z posłania. Ze zdumienia otworzyła szeroko oczy, a wargi złożyła do okrzyku, który stłumiłem ostrzegawczym gestem kładąc sobie na ustach palec wskazujący. Podszedłem do niej, a ona rzuciła mi się na spotkanie, niemal przy tym biegnąc. Spojrzałem jej w oczy i ujrzałem w nich coś, czego nie widziałem jeszcze w oczach żadnej kobiety, przynajmniej w stosunku do mnie. Nawet gdybym nie dowierzał w jej przyjaźń, wszelkie wątpliwości rozwiąłyby się w tej chwili; wierzyłem jednak i zdumiałem się tylko, widząc, jak głębokie było jej oddanie. Gdyby Sanoma Tora kiedykolwiek tak na mnie spojrzała, ujrzałbym w jej oczach miłość, ale z Tavią nie rozmawiałem nigdy o miłości i wiedziałem, że łączyła nas tylko przyjaźń. Zawsze byłem zbyt zaabsorbowany swoją pracą, aby zawierać bliższe przyjaźnie, nie wiedziałem więc do tej pory, jak wspaniałe jest to uczucie.

Kiedy spotkaliśmy się na środku pokoju, podniosła na mnie oczy mokre od łez.

– Hadronie – szepnęła ochryplym z emocji głosem, a ja otoczyłem ręką jej szczupłe barki, przyciągnąłem ją do siebie i zupełnie bezwiednie, pod

wpływem impulsu, pocałowałem w czoło. W jednej chwili odsunęła się ode mnie i zacząłem obawiać się, że źle zrozumiała ten gest przyjaźni, ale jej następne słowa dodały mi otuchy.

– Myślałam, że już cię nigdy nie zobaczę, Hadronie – powiedziała. – Bałam się, że cię zabili. Skąd się tu wziąłeś w stroju wojownika z Tjanath?

Opowiedziałem pokrótce o tym, co zaszło, od kiedy nas rozdzielono i jak, przynajmniej na razie, udało mi się uniknąć Zagłady. Chciała wiedzieć co to takiego, ale nie potrafiłem odpowiedzieć na jej pytania.

– To coś przerażającego – powiedziała Phao.

– Ale co? – zapytałem.

– Nie wiem – odparła. – Wiem tylko, że jest straszna. W najgłębszych lochach pałacu znajduje się głęboki dół; niektórzy twierdzą nawet, że nie ma on wcale dna. Stale dobiegają stamtąd okropne odgłosy: jęki i zawodzenie. Tam właśnie wrzuca się skazanych na Zagładę, w taki sposób, żeby upadek ich nie zabił. Muszą dotrzeć na dno żywi, żeby doświadczyć wszystkich mąk i pełnej grozy czekającej ich Zagłady. O tym, że ich męka niemal nie ma końca świadczy fakt, że odgłosy kaźni nigdy nie ustają bez względu na to, jak wiele czasu upłynęło między egzekucjami.

– Ale tobie udało się uciec! – zawołała Tavia. – Moje prośby zostały wysłuchane. Dniami i nocami modliłam się do przodków, żeby cię ocalili. Gdybyś jeszcze zdołał uciec teraz z tego nienawistnego miejsca. Masz jakiś plan?

– Mamy plan, który może spełnić się przy pomocy Phao. Nur An, o którym ci opowiedziałem, ukrywa się w szafie w jednym z pokojów małego księcia. Udamy się tam przy pierwszej okazji, a Phao ukryje naszą trójkę, dopóki nie pojawi się sposobność ucieczki.

– Nie powinniśmy dłużej zwlekać – powiedziała Phao. – Ruszajmy zaraz.

Kiedy odwróciliśmy się w stronę panelu, przez który weszliśmy, zauważyłem że był uchylony, choć wcześniej byłem pewny, że Phao



zamknęła go za nami. Równocześnie mógłbym przysiąc, że zauważyłem czyjeś oko przyciśnięte do wąskiej szczeliny, zupełnie jakby ktoś obserwował nas z mroku ukrytego przejścia.

Przesadziłem pokój jednym skokiem i odsunąłem panel. Ścisnąłem w dłoni miecz, gotów do zadania ciosu, ale w korytarzu nie było nikogo.

# ROZDZIAŁ 6

## ZAGŁADA

Idąc w trójkę, z Phao na czele i Tavią między nami, przeszliśmy ciemnym korytarzem z powrotem do gabinetu Yo Seno. Kiedy dotarliśmy do panelu zamykającego tajne przejście, Phao zatrzymała się i nasłuchiwalismy uważnie wszelkich dźwięków, które mogłyby świadczyć o czyjejs obecności w pomieszczeniu, ale w gabinecie panowała grobowa cisza.

– Uważam, że bezpieczniej będzie, jeśli zostaniesz tu z Tavią do nocy – powiedziała Phao. – Pójdę do siebie i jak gdyby nigdy nic będę zajmować się swoimi obowiązkami. Kiedy w pałacu ucichnie, te piętra będą niemal opustoszałe. Będę mogła przyjść po was wtedy, a ryzyko, że ktoś nas zauważy będzie o wiele mniejsze niż gdybym próbowała przeprowadzić was teraz.

Przyznaliśmy, że plan był dobry, pożegnała się więc z nami na jakiś czas i przesunęła lekko panel, żeby przyjrzeć się pomieszczeniu za nim. Okazało się całkiem puste. Phao wyszła z korytarza, zasuwając drzwiczki za sobą. Otoczył nas znowu mrok.

Zdawałoby się, że długie czekanie w ciemności powinno ciągnąć się w nieskończoność, ale było inaczej. Umościliśmy się na podłodze, jak najwygodniej mogliśmy, oparci plecami o ścianę, i nachyliwszy się na tyle blisko, żeby móc rozmawiać szeptem, bawiliśmy się o wiele lepiej niż wydawałoby się to możliwe, ciesząc się zarówno rozmową jak i przerywającymi ją długimi okresami milczenia. Mieliśmy wrażenie, że nie upłynęło wcale dużo czasu, kiedy panel przesunął się znowu i w słabym

świetle gabinetu klucznika ujrzeliśmy Phao. Gestem kazała nam iść za sobą i podążyliśmy w ciszy jej śladem. Korytarz na zewnątrz był pusty, podobnie jak zejście na niższą kondygnację oraz korytarz, na który wychodziło. Szczęście zdawało się sprzyjać nam na każdym kroku i miałem na ustach modlitwę dziękczynną, kiedy Phao pchnęła drzwi do pokojów księcia i zaprosiła nas gestem do środka.

W tej samej chwili serce we mnie zamarło, ponieważ wszedłszy do środka ujrzałem po obu stronach czekających na nas wojowników. Krzyknąłem ostrzegawczo, stając przed Tavią i cofając się zaraz w stronę drzwi. Równocześnie z korytarza dobiegł mnie szczęk broni i tupot stóp. Obejrawszy się, stwierdziłem, że z drzwi do pomieszczenia po drugiej stronie korytarza wysypali się inni wojownicy.

Otoczyli nas. Byliśmy zgubieni. W pierwszej chwili pomyślałem, że Phao zdradziła nas, wprowadzając w pułapkę, z której nie było ucieczki. Zagnali nas z powrotem do pokoju i otoczyli. Dopiero wtedy zauważyłem Yo Seno. Stał z szyderczym uśmiechem na twarzy, a gdyby nie to, że Tavia zapewniała mnie, że nie zrobił jej krzywdy, rzuciłbym się od razu na niego, choćby zaraz potem miał przebić mnie tuzin mieczy.

– I co teraz?! – drwił. – Chcieliście mnie oszukać? To nie takie łatwe. Domyśliłem się prawdy, poszedłem za wami i podsłuchiłem wasze plany, kiedy omawiałeś je z tą kobietą. A teraz mamy was wszystkich. – Odwrócił się do jednego z wojowników i wskazał na szafę po drugiej stronie pokoju. – Przyprowadzić tego drugiego – rozkazał.

Strażnik podszedł do drzwi i otworzył je. Naszym oczom ukazał się Nur An, który leżał związany i zakneblowany na podłodze.

– Zdjąć mu więzy i knebel – polecił Yo Seno. – Nie zdoła już ostrzec pozostałych i udaremnić moich planów.

Nur An podszedł do nas pewnym krokiem z uniesioną wysoko głową i wypisanym na twarzy wyrazem wyniosłej pogardy.

Staliśmy w czwórkę przed Yo Seno, na którego twarzy szyderczy uśmiech ustąpił grymasowi piorunującej nienawiści.

– Skazano was na Zagładę – oznajmił. – To wyrok dla szpiegów. Nie ma straszniejszej kary. Gdyby to było możliwe, wymierzono by ją waszej dwójce, aby odpłacić wam za zamordowanie dwóch naszych towarzyszy. – Zmierzył wzrokiem najpierw mnie, potem Nur Ana.

Znaleźli więc zabitych przez nas strażników. Cóż z tego? Najwyraźniej nasza sytuacja nie mogła się zbytnio pogorszyć. Czekala nas Zaglada, a to było najgorsze, co mogli nam zrobić.

– Macie coś do powiedzenia? – zapytał Yo Seno.

– Ciągle żyjemy – powiedziałem głośno i roześmiałem mu się prosto w twarz.

– Niedługo będziecie błagać przodków o śmierć, a nieprędko się jej doczekacie – syknął klucznik. – Pamiętaj, że nikt nie wie, jak długo trwa Zaglada. Nie możemy zwiększyć waszych cierpień fizycznych, ale żebyście dręczyli się myślą o tym, pozwól że przypomnę: wysyłamy was na Zagładę bez wiedzy o tym, co czeka wasze współniczki – tu skinął ręką w stronę Tawii i Phao.

Trafił w sam punkt. Nie mógł znaleźć lepszego sposobu, żeby mi dokuczyć. Nie chciałem jednak dać mu satysfakcji oglądania moich prawdziwych uczuć, roześmiałem mu się więc znowu w twarz. Cierpliwość klucznika sięgnęła chyba swych granic, ponieważ odwrócił się raptownie do padwara straży i kazał natychmiast nas wyprowadzić.

Kiedy zabierano nas z pokoju, Nur An pożegnał się zuchowato z Phao.

– Żegnaj, Tawio! – zawołałem. – I pamiętaj: ciągle żyjemy!

– Ciągle żyjemy, Hadronie! – odpowiedziała. – Ciągle żyjemy! – po czym zniknęła mi z oczu, kiedy popychano nas korytarzem.

Sprowadzono nas pochylnią do najgłębszych pałacowych podziemi, a następnie do wielkiej komory, w której ujrzałem Haj Osisę siedzącego na tronie w otoczeniu wodzów i dworzan, jak podczas przesłuchania.

Naprzeciw niego, na środku pomieszczenia, wisiała wielka żelazna klatka zwisająca z osadzonego w suficie solidnego bloku. Żołnierze zapędzili nas do niej brutalnie, zamknęli drzwi i zabezpieczyli je wielką kłódką. Ciekawiło mnie, o co w tym wszystkim chodziło i czy miało to jakiś związek z Zagładą. Tymczasem tuzin żołnierzy przesunął umieszczoną pod klatką wielką klapę. Owiało nas zimne, lepkie powietrze i poczułem chłód, który zdawał się przenikać mnie do szpiku kości, zupełnie jakbym spoczywał w zimnych ramionach śmierci. Do moich uszu dotarły słabe, głuche jęki i zawodzenia i uświadomiłem sobie, że wisielišmy nad jamą, w której czekała Zagłada.

Nikt spośród obecnych nie odezwał się ani słowem. Na znak Haj Osisa żołnierze zaczęli opuszczać powoli klatkę do jamy. Zimno i wilgoć były tu bardziej dotkliwe i wyraźne, zaś upiorne dźwięki zdawały się rozbrzmiewać ze zdwojoną siłą.

Zsuwaliśmy się coraz niżej w mroczną otchłań, w zestawieniu z przeraźliwym pandemonium dobiegających z dołu niesamowitych odgłosów, zapominając o grozie komory na górze.

Nie domyślam się nawet, jak głęboko nas opuszczono, choć Nur An uznał, że na co najmniej tysiąc stóp. Zauważylišmy wreszcie wokół słabą poświatę. Zawodzenie i jęki zmieniły się w nieprzerwany ryk. Zdawało się, że im niżej schodziliśmy, tym bardziej ich odgłos przypominał huk wiatru i pędzącej wody.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, dno klatki umocowane widocznie z jednej strony na zawiasach i zamykane przy pomocy zasuw, którą można było otworzyć z góry, otworzyło się pod nami. Stało się to tak szybko, że ledwie mieliśmy czas na domysły, zanim wpadlišmy w bystry nurt wody.

Kiedy wypłynąłem na powierzchnię, okazało się, że widzę otoczenie. Gdziekolwiek się znaleźlišmy, miejsce nie było pogrążone w nieprzeniknionym mroku, ale oświetlone słabą poświatą.

Prawie od razu na wyciągnięcie ręki ode mnie wyskoczyła z wody głowa Nur Ana. Silny prąd znosił nas dalej i uświadomiłem sobie od razu, że porwała nas wielka podziemna rzeka, jedna z tych, do których odpłynęła reszta wód naszej umierającej planety. Daleko z przodu dostrzegąłem zarysowaną niewyraźnie w słabym świetle linię brzegu, zawołałem więc do Nur Ana, żeby płynął za mną i ruszyłem w jej stronę. Woda była zimna, ale nie na tyle, żebym zaczął się martwić. Nie wątpiłem, że uda nam się dotrzeć do brzegu.

Kiedy dotarliśmy do celu i wyczołgaliśmy się z wody na skalisty brzeg, nasz wzrok zdążył przyzwyczać się już do słabego światła i zaczęliśmy rozglądać się ze zdumieniem. Grota była naprawdę ogromna! Daleko nad nami, w świetle drobin radu, którymi upstrzona była skała tworząca ściany i sklepienie groty, widać było jej sklepienie, ale przeciwny brzeg rwącego nurtu był poza zasięgiem wzroku.

– A zatem to jest Zagłada! – powiedział głośno Nur An.

– Wątpię, czy w Tjanath wiedzą, czym ona naprawdę jest – odparłem. – Na podstawie ryku rzeki i zawodzenia wiatru wyobrazili sobie po prostu coś naprawdę strasznego.

– Może największe cierpienia ofiar polegają na domysłach na temat tego, co czeka je w tej okrytej grozą jamie – zasugerował. – Tymczasem najgorsze, co może przynieść wykonanie kary, to śmierć przez utopienie.

– Albo z głodu – podsunąłem.

Nur An skinął głową.

– Mimo wszystko, szkoda, że nie mogę wrócić tam choćby po to, żeby ich wyśmiać i widzieć ich rozczarowanie, kiedy okaże się, że Zagłada wcale nie jest taka straszna – powiedział.

– Co za potężna rzeka – dodał po chwili milczenia. – Może to dopływ Iss?

– A może sama Iss – powiedziałem.

– Znaleźliśmy się więc na pierwszym etapie ostatniej pielgrzymki do zaginionego Morza Korus w Dolinie Dor – stwierdził ponurym głosem.  
– Może to i cudowne miejsce ale nie chcę tam jeszcze trafić.

– To przerażające miejsce – odparłem.

– Cicho – ostrzegł mnie. – To bluźnierstwo.

– Nie, od kiedy John Carter i Tars Tarkas zerwali z Doliny Dor zasłonę tajemnicy i obalili mit o Issus, bogini życia wiecznego.

Nawet usłyszawszy ode mnie całą dramatyczną historię o fałszywym bóstwie Marsa, Nur An zachował sceptycyzm, tak silnie są w nas zakorzenione przesady oparte na religii.

Obaj byliśmy zmęczeni po walce z silnym nurtem, a pewnie też wskutek wyczerpania nerwowego próbą, jakiej nas poddano. Pozostaliśmy więc na skalistym brzegu tajemniczej rzeki, odpoczywając. Nasza rozmowa zesła w końcu na temat, zaprzatający nas obu, którego jednak unikaliśmy: los Tavii i Phao.

– Szkoda, że ich również nie skazano na Zagładę – stwierdziłem. – Zostalibyśmy przynajmniej u ich boku i moglibyśmy je chronić.

– Obawiam się, że nigdy ich już nie zobaczymy – orzekł ponuro Nur An.  
– Co za okrucieństwo losu! Spotkać Phao tylko po to, żeby zaraz znów ją bezpowrotnie utracić.

– Istotnie, dziwne zrządzenie losu, że znalazłeś ją w Tjanath po tym, jak odebrał ci ją Tul Axtar. Widać on również ją stracił.

Przyglądał mi się przez chwilę z nieco zdziwioną miną, po czym wyraz jego twarzy rozpuścił się.

– Phao nie jest tą kobietą, o której ci opowiadałem – wyjaśnił. – To moja pierwsza miłość, którą kochałem o wiele wcześniej. Kiedy ją straciłem, myślałem, że nie polubię już żadnej kobiety, ale w moim życiu pojawiła się ta druga. Wiedząc, że Phao odeszła na zawsze, znalazłem pewną pociechę w nowej miłości, ale teraz rozumiem, że to nie było to samo. Żadne uczucie nie mogło zastąpić tego, co czułem do Phao.

– Już raz straciłeś ją bezpowrotnie, ale odnalazłeś – przypomniałem. –  
Może znowu będzie ci to dane.

– Chciałbym podzielać twój optymizm – stwierdził.

– Poza nim niewiele mamy na pociechę – odpowiedziałem.

– Racja! – orzekł, po czym dodał ze śmiechem: – Ciągłe żyjemy!

Niedługo, wypoczęci, ruszyliśmy brzegiem z nurtem rzeki, wybrawszy ten kierunek choćby dlatego, że zejście było łatwiejsze niż wspinaczka. Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, dokąd mogła nas doprowadzić: może do Korus, a może do Omeanu, ukrytego morza, po którym pływały statki Pierworodnych.

Przedzieraliśmy się przez rumowiska skalne i szliśmy gładzszymi odcinkami płaskiego żwiru, trzymając ciągle ten sam przypadkowy kurs, nie wiedząc dokąd idziemy ani nie znając żadnego celu, do którego moglibyśmy starać się dotrzeć. Zauważyliśmy trochę roślin, groteskowych i dziwnych, z powodu braku światła słonecznego niemal pozbawionych kolorów. Rosły tu drzewiaste twory o niezwykłych, kanciastych gałęziach, odłamujących się pod najmniejszym dotknięciem, a ponieważ drzewa te nie przypominały wcale zwyczajnych drzew, miały też kwiaty niepodobne do niczego w świecie na zewnątrz. Podziemna kraina różniła się od zamieszkałego świata tak samo jak wytwory wyobraźni różnią się od rzeczywistości.

Moje rozmyślenia na temat flory tej niezwyklej krainy zostały nagle przerwane, kiedy obeszliliśmy wychodzący w rzekę cypel i stanęliśmy dokładnie przed najszykardniejszym stworzeniem, jakie w życiu widziałem: wielkim, białym jaszczurem o szerokiej paszczy, dość wielkiej, aby jednym kęsem pochłonać człowieka. Na nasz widok gad zasyczał gniewnie i ruszył groźnie w naszą stronę.

Nieuzbrojeni i zdani na łaskę każdego stworzenia, które zechciałoby nas zaatakować, dokonaliśmy jedyne rozsądnego wyboru: wycofaliśmy się i przyznaję bez wstydu, że zrobiliśmy to szybko.



Obiegliśmy cypel i skręciliśmy ostro, oddalając się od rzeki. Podłoże wznosiło się stromo i wdrapując się, oglądałem się od czasu do czasu za siebie, żeby zobaczyć, co robi ścigający nas stwór. Gad, w pełni widoczny, ruszył za nami wokół cypla i stał nieopodal, rozglądając się, jakby nas szukał. Choć nie byliśmy daleko, zdawało się, że nas nie widzi i nabrałem przekonania, że zwierzę miało słaby wzrok. Nie chcąc jednak zdawać się na ten domysł, wspinałem się dalej, aż dotarliśmy na szczyt stromizny. Spojrzawszy w dół na drugą stronę, ujrzałem dość długi odcinek gładkiego żwiru, ciągnący się w mrok przy brzegu rzeki. Czułem, że gdyby udało nam się zejść po drugiej stronie bariery i dotrzeć do tego odcinka płaskiego terenu, moglibyśmy wymknąć się potworowi. Obejrawszy się po raz ostatni, zobaczyłem, że jaszczur nadal stał w miejscu, spoglądając to w jedną stronę, to w drugą, jakby nas szukał.

Nur An wspinał się tuż za mną i zsunęliśmy się zaraz przez krawędź skarpy, a choć poobcieraliśmy się przy tym na chropowatych skałach, stanęliśmy w końcu na żwirze. Uznawszy, że udało nam się uniknąć zagrożenia, pobiegliśmy szybko w dół rzeki. Zrobiliśmy nieco ponad pięćdziesiąt kroków, kiedy Nur An potknął się o coś. Pochyliłem się, żeby pomóc mu wstać i zobaczyłem, że przeszkodą, na którą trafił, była gnijąca uprząż wojownika. Chwilę później zauważyłem sterczącą ze żwiru rękojeść. Chwyciłem za nią i pociągnąłem mocno. Okazała się należeć do dobrze zachowanego długiego miecza i przyznaję, że czując go w dłoni odzyskałem więcej pewności siebie niż byłoby to możliwe w każdym innym przypadku. Broń, wykonana jak każde ostrze na Barsoom z nierdzewiejącego metalu, była wciąż równie solidna, jak w chwili, kiedy została porzucona przez właściciela.

– Patrz! – powiedział Nur An, wskazując ręką. Nieco dalej zobaczyliśmy kolejną uprząż i inny miecz. Tym razem znaleźliśmy dwa ostrza: krótki i długi miecz, które wziął Nur An. Przestaliśmy biec. Zawsze uważałem, że

niewiele jest na Barsoom stworzeń, przed którymi musieliby uciekać dwaj uzbrojeni wojownicy.

Idąc dalej po równym żwirze próbowaliśmy rozwikłać zagadkę porzuconej broni, która stała się jeszcze bardziej tajemnicza, kiedy zauważyliśmy mnóstwo kolejnych znalezisk. Tu i ówdzie uprząż całkiem zgniła i nie zostało po niej nic oprócz metalowych elementów. Gdzie indziej była stosunkowo nowa i nienaruszona. Niedługo dostrzegliśmy przed sobą biały kopiec, ale w słabym świetle jaskini nie widzieliśmy początkowo, z czego był zbudowany. Kiedy w końcu dotarło to do nas, ogarnęła nas groza: mieliśmy przed sobą stertę ludzkich kości i czaszek. Pomyślałem wtedy, że trafiliśmy właśnie na wyjaśnienie zagadki porzuconej broni i uprzęży. To było legowisko wielkiego jaszczura. To tutaj gromadził nieszczęsne istoty, udające się w dół rzeki, ale w jaki sposób trafili tu również uzbrojeni ludzie? Opuszczono nas do groty bez broni, zapewne tak samo jak całą resztę skazanych na Zagładę. Skąd wzięli się pozostali? Nie wiem i bez wątplenia nigdy się tego nie dowiem. Od samego początku było to dla nas zagadką i pozostanie nią do końca życia.

Idąc dalej, trafialiśmy na rozrzucone po okolicy uprzęże i broń, choć zdecydowanie więcej było tych pierwszych.

Uzupełniłem ekwipunek o dobry krótki miecz i sztylet, podobnie jak Nur An. Pochylałem się właśnie, żeby przyjrzeć się kolejnej znalezionej broni: krótkiemu mieczowi o pięknie zdobionej gardzie i rękojeści, gdy nagle Nur An zawołał ostrzegawczo.

– Łap za broń, Hadronie! Zbliża się!

Zerwałem się na nogi i okręciłem, nie wypuszczając miecza z dłoni. Biały jaszczur zbliżał się do nas ze sporą prędkością, otwierając szeroko paszczę i sycząc złowieszczo. Widok był tak okropny, że nawet dzielny człowiek odwróciłby się i rzucił do ucieczki. Tak właśnie, jak jestem przekonany, postępowały dotychczas wszystkie jego ofiary. Ale te dwie nie zamierzały uciekać. Zwierzę było tak blisko, że możliwe, iż podświadomie

zdawaliśmy sobie sprawę, że wszelka ucieczka byłaby daremna. Tak czy owak nie ruszyliśmy się z miejsca. Nur An ścisnął w dłoni długi miecz, ja zaś oglądane przed chwilą ozdobne krótkie ostrza. Od razu zdałem sobie sprawę, że nie była to broń, która dawałaby mi jakiegokolwiek szansę w starciu z olbrzymią bestią.

Mimo wszystko, nie mogłem pozwolić, żeby broń się zmarnowała, zwłaszcza ze względu na moje dawne wyczyny, którymi kiedyś się szczyciłem.

Oficerowie i zwykli mieszkańcy Helium zakładają się często o wielkie stawki o to, z jaką precyzją uda im się rzucić krótkim mieczem i sztyletem, i nieraz widziałem, jak w trakcie godziny znaczne sumy zmieniały właściciela. Okazywałem w tym jednak taką wprawę, że wygrane wzbogaciły znacznie mój żołąd, a moja sława urosła do tego stopnia, że nie mogłem już znaleźć chętnych do zmierzenia się ze mną umiejętnościami.

Żadnemu z moich rzutów nie towarzyszyła równie żarliwa prośba do przodków o precyzję, jak kiedy cisnąłem trzymanym w dłoni mieczem w paszczę zbliżającego się potwora. Rzut nie był wcale dobry i w Helium straciłbym pewnie pieniądze, ale sądzę, że w tym akurat przypadku ocalił mi życie. Zamiast polecieć jak trzeba, prosto, czubkiem do przodu, miecz obrócił się powoli do góry i poszybował pod kątem około czterdziestu pięciu stopni, zwrócony czubkiem nieco w dół. Tak też wbił się w szczękę zwierzęcia, podczas gdy solidna rękojeść poniesiona impetem do przodu zaklinowała się na podniebieniu jaszczura.

Zwierzę było bezradne. Czubek miecza przebił mu język, wbijając się w kość żuchwy; tymczasem rękojeść utkwiała w górnej szczęce zaraz za potężnymi kłami. Jaszczur nie mógł wyrwać miecza ani do przodu ani do tyłu i zatrzymał się na chwilę, sycząc w konsternacji. Równocześnie natarliśmy na niego z Nur Anem, doskakując z dwóch stron do upiornie białego cielska. Zwierzę próbowało bronić się ogonem i pazurami, ale

okazaliśmy się dla niego za szybcy i wkrótce leżało w kałuży purpurowej krwi, podrygując spazmatycznie w ostatecznej agonii.

Purpurowa krew stworzenia miała w sobie coś szczególnie odpychającego i obrzydliwego nie tylko z wyglądu; jej smród omal nie przyprawiał mnie o mdłości i oddaliliśmy się z Nur Anem niezwłocznie z miejsca naszego zwycięstwa. Opłukaliśmy miecze w rzece, po czym ruszyliśmy dalej w pozbawioną celu wędrówkę.

Stojąc nad wodą, zauważyliśmy w nurcie ryby i oddalivszy się na wystarczającą odległość od legowiska jaszczura, postanowiliśmy poświęcić chwilę na uzupełnienie zapasów i napełnienie żołądków.

Żaden z nas nie łapał jeszcze nigdy ryb ani ich nie jadł, ale wiedzieliśmy z historii, że można było to robić. Posługując się na co dzień mieczami, uznaliśmy naturalnie, że to one posłużą nam najlepiej do zdobycia stawy, zanurzyliśmy się więc w nurcie ściskając miecze w dłoni, gotowi narznąć ryb do woli. Gdziekolwiek jednak się zwróciliśmy, nie było ich. Stale widzieliśmy je gdzie indziej, ale nie w zasięgu naszych ostrzy.

– Może ryby nie są wcale takie głupie, na jakie wyglądają – stwierdził Nur An. – Pewnie widzą, jak się zbliżamy i nie wierzą w nasze dobre zamiary.

– Gotów jestem przyznać ci rację – odparłem. – Spróbujmy podstępu.

– Jakiego? – zapytał.

– Chodźmy na brzeg – powiedziałem. Rozejrzawszy się chwilę w dole strumienia, znalazłem wiszącą nad nurtem skalną półkę. – Będziemy kłaść się tu na zmianę, wysuwając za krawędź tylko oczy i czubek miecza – powiedziałem. – Nie możemy rozmawiać ani ruszać się, żeby nie spłoszyć ryb. Może w ten sposób uda nam się złapać jedną.

Zdążyłem porzucić już myśl o generalnej rybnej rzezi.

Ku mojemu zadowoleniu, plan zadziałał i wkrótce każdy z nas złapał wielką rybę.

Naturalnie, jak wszyscy ludzie wolimy gotowane mięso, ale będąc wojownikami przyzwyczailiśmy się do wszelkich rodzajów jedzenia, posililiśmy się więc surową rybą prosto z rzeki tajemnic.

Posiłek, choć niezbyt smaczny, sprawił, że poczuliśmy się najedzeni i wzmocnieni. Upłynęło sporo czasu, od kiedy spaliśmy, a choć nie mieliśmy pojęcia, czy na powierzchni Barsoom była nadal noc czy wstał już świt, uznaliśmy że najlepiej będzie odpocząć. Nur An wyciągnął się na ziemi, a ja czuwałem. Kiedy obudził się, nadeszła moja kolej na drzemkę. Sądzę, że żaden z nas nie spał dłużej niż jeden zod, ale odpoczynek posłużył nam równie dobrze jak posiłek i jestem pewny, że nigdy nie czułem się bardziej rześko niż w chwili, kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę.

Nie wiem jak długo wędrowaliśmy po posiłku, ponieważ nasza droga stała się bardzo monotonna. Niewiele zmieniało się w otaczającym nas, podziemnym krajobrazie, a towarzystwa dotrzymywały nam tylko nieustanny huk rzeki i zawodzenie wiatru.

Nur An pierwszy zauważył pewną zmianę. Chwycił mnie za ramię i wskazał ręką przed siebie. Szedłem chyba z oczami wbitymi w grunt, w przeciwnym wypadku zauważyłbym równocześnie to samo, co on.

– Światło dzienne! – zawołałem. – To słońce!

– To nie może być nic innego! – przytaknął.

Przed nami widniał wielki łuk światła. Tylko tyle mogliśmy dostrzec z miejsca, z którego go wypatrzyliśmy. Puściliśmy się do przodu, nieomal biegnąc, pragnąc jak najprędzej znaleźć jakieś wyjście i potwierdzić nasze nadzieje, że naprawdę ujrzeliśmy światło słońca a rzeka w niewytłumaczalny i tajemniczy sposób wypływała tu na powierzchnię Barsoom. Podobnie jak mój towarzysz wiedziałem, że to niemożliwe, a mimo to obaj byliśmy świadomi również, jak wielkie okazałoby się nasze rozczarowanie w zetknięciu z prawdziwą przyczyną tego zjawiska.

Zbliżywszy się do wielkiej plamy światła, dostrzegaliśmy coraz wyraźniej, że rzeka wypływała tu z ciemnej groty na światło dnia, a stanąwszy przy krawędzi potężnego portalu ujrzelśmy scenę, która wypełniła nam serca ciepłem i radością. Przed nami rozciągała się kotlina, wprawdzie niewielka i otoczona jak wzrokiem sięgnąć potężnymi urwiskami, za to pełna życia i bujnej roślinności, urocza i skąpana w ciepłym świetle słońca.

– To nie wygląda jak powierzchnia Barsoom – stwierdził Nur An. – Ale jest prawie równie dobre.

– Na pewno jest stąd jakieś wyjście – oznajmiłem. – Musi być. W przeciwnym wypadku wytniemy je sobie.

– Racja, Hadronie! – zawołał. – Wytniemy sobie wyjście! Dalej, chodźmy!

Przed nami brzegi ryczącej rzeki porastała bujna roślinność: wysokie drzewa sięgały daleko nad powierzchnię wody ulistnionymi gałęziami, drobne fale obmywały szkarłatną jasną trawę, a wszędzie wokół kwitły zachwycające kwiaty i krzewy wszelkich barw i kształtów. Widziałem tu rośliny, jakich nie można było znaleźć na powierzchni. Zauważyłem formy podobne do znanych mi już roślin oraz inne, całkowicie nieznanne, a choć wszystkie były piękne, część wydawała mi się jednak dziwaczna.

Ponieważ wyłoniliśmy się przed chwilą z mrocznych trzewi planety, pejzaż przed nami wydał nam się niezwykle piękny, a choć odczucie wzmacniał kontrast z podziemiami, to taki widok nieczęsto dane jest oglądać współczesnym mieszkańcom Barsoom. Nasuwał myśl o ogrodzie ocalałym tu z pradawnej epoki, kiedy nasz świat był jeszcze młody, a klimat sprzyjał rozwojowi roślinności, która od tamtej pory zdążyła praktycznie wyginąć na całej planecie. Tu, w głębokiej kotlinie otoczonej strzelistymi urwiskami, atmosfera była niewątpliwie znacznie gęstsza niż na powierzchni. Skalne ściany odbijały w dół promienie słoneczne, magazynując też zapewne ciepło podczas chłodniejszych nocy. Na dodatek

było tu pod dostatkiem wody, która przesiąkając przez wierzchnią warstwę gleby i pod nią z łatwością mogła zostać wykorzystana przez naturę do zasilenia roślinności.

Przez kilka minut staliśmy zauroczeni niezwykle widokiem, po czym zauważywszy apetyczne owoce, wiszące wielkimi kiściami na niektórych drzewach oraz obsypane jagodami krzewy, przedłożyliśmy doznania cielesne nad duchowe i ruszyliśmy, żeby uzupełnić posiłek z surowego rybiego mięsa tymi kuszącymi darami natury.

Zanurzwszy się w roślinność, zauważyliśmy rozwieszony między drzewami i krzewami cienkie nitki zwiewnej substancji. Choć sprawiały wrażenie tak delikatnych, że omal niewidzialnych, okazały się wystarczająco mocne, żeby utrudnić przejście. Zaskakująco trudno było je zerwać, a kiedy drogę zagroziło nam tuzin albo więcej, musieliśmy użyć sztyletów, żeby wyciąć sobie przejście.

Zrobiliśmy w ten sposób tylko kilka kroków, kiedy drogę zagroziła nam nowa, niespodziewana przeszkoda: wielki pająk, sprawiający wrażenie jadowitego, który biegł w naszą stronę do góry nogami uczepiony tuzinem nóg jednego z koronkowych pasm, służącego mu jednocześnie za ścieżkę i podporę. O ile jego wygląd mógł służyć nam za miernik jadowitości stworzenia, jego jad musiał być naprawdę zabójczy.

Zbliżało się do mnie z wyraźnie wrogimi zamiarami, schowałem więc pospiesznie sztylet i sięgnąłem po krótki miecz, którym zadałem szkaradnemu stworzeniu cios. Cofnęło się, więc drasnąłem je tylko czubkiem ostrza. Pająk otworzył na to odrażającą paszczę i wydał przeraźliwy wrzask, tak bardzo nie pasujący do jego wielkości i natury znanych mi stworzeń jego rodzaju, że doznałem prawdziwego wstrząsu. Ze wszystkich stron odpowiedział mu momentalnie niezmierny chór podobnych zawołań i stado odrażających insektów wyroiło się błyskawicznie, biegnąc w naszą stronę po koronkowych nitkach. Najwyraźniej przemieszczały się wyłącznie w tej pozycji i w ten sposób,

ponieważ tuzin odnóży wyrastał z tułowia w górę, nadając pająkom niesamowity wygląd.

Obawiając się, że mogą być jadowite, wycofaliśmy się prędko do wylotu groty, a ponieważ pająki nie mogły opuścić pajęczyny, byliśmy wkrótce całkowicie bezpieczni. Kuszące owoce, które okazały się niedostępne, wyglądały teraz jeszcze bardziej ponętnie.

– Droga w dół rzeki jest dobrze strzeżona – powiedział Nur An ze smutnym uśmiechem. – Może to jakaś wskazówka, że na jej końcu znajdziemy coś atrakcyjnego.

– Obecnie najbardziej atrakcyjną rzeczą dla mnie są te owoce – odpowiedziałem. – Spróbuję znaleźć jakiś sposób, żeby je zdobyć.

Przesunąłem się w prawo, z dala od rzeki, i zacząłem rozglądać za wejściem do lasu wolnym od pajęczyn. Zauważyłem zaraz miejsce, w którym widać było wyraźnie szeroką na cztery do pięciu stóp ścieżkę, wyciętą widocznie przez ludzi. Nad jej końcem wisiały jednak tysiące nici, których dotknięcie dałoby rzeszom rozgniewanych pajaków sygnał do rzucenia się na nas całym rojem. Chociaż najbardziej obawialiśmy się, że mogły okazać się jadowite, zaopatrzone w okrutne kły paszcze wskazywały, że bez względu na to, czy miały w sobie jad czy nie, w większej liczbie pająki mogły stanowić prawdziwe zagrożenie.

– Zauważyłeś, że nici zdają się wisieć wyłącznie nad wejściem na ścieżkę? – zapytałem Nur Ana. – Nie widzę ich dalej, choć są tak zwiewne, że nawet z bliska można ich nie dostrzec.

– Nie widzę żadnych pajaków – stwierdził Nur An. – Może uda nam się wyciąć w tym miejscu przejście.

– Spróbujmy – powiedziałem, sięgając po długi miecz.

Zrobiłem parę kroków do przodu i przeciąłem kilka pasm. Błyskawicznie z krzaków i drzew po obu stronach ścieżki wyłoniła się chmara pędzących po niciach pajaków. Tam, gdzie pajęczyny nie zostały zerwane, pająki krążyły w tę i z powrotem nad ścieżką, mierząc nas



jadowitym spojrzeniem paciorkowatych oczu i obnażając groźnie wielkie, lśniące kły.

Przecięte pasma unosiły się w powietrzu, aż opadły pod ciężarem zbliżających się pajaków, które dotarły tylko do zerwanych końcówek, ale nie dalej. Zawisły na nich, wpatrując się w nas gniewnie lub krążyły podekscytowane w górę i w dół, ale żaden nie opuścił swojej nici.

Kiedy przyglądałem się im, te akrobacje podsunęły mi pewien pomysł.

– Po przecięciu sieci stają się bezradne – powiedziałem do Nur Ana. – A zatem, jeśli zerwiemy wszystkie pajęczyny, nie dotrą do nas.

Powiedziawszy to, ruszyłem przed siebie, zamachnąłem się mieczem nad głową i opuściłem go, zrywając resztę nici. Stworzenia podniosły natychmiast piekielny jazgot. Kilka z nich, oderwanych moim ciosem od sieci, leżało na brzuchach z nogami w powietrzu. Sprawiały wrażenie kompletnie bezradnych, a choć wrzeszczały głośno i wywijały nerwowo kończynami, najwyraźniej nie były w stanie poruszyć się. Z kolei pajaki wiszące po obu stronach ścieżki nie mogły nas teraz dosięgnąć. Uśmierciłem krótkim mieczem stworzenia leżące na ścieżce i idąc przodem zanurzyłem się w las. Nie widziałem przed nami pajęczyn i droga wydawała się czysta, ale zanim poszliśmy dalej, odwróciłem się jeszcze, żeby po raz ostatni spojrzeć na unieszkodliwione pajęczaki i przekonać się, co zamierzały zrobić. Przestały wrzeszczeć i zaczynały znikać powoli w listowiu, najwyraźniej wracając do legowisk. Ponieważ wyglądało na to, że nie stanowiły już dla nas zagrożenia, poszliśmy dalej ścieżką. Na drzewach i krzakach przy ścieżce nie było ani jednej jagody czy owocu, choć widzieliśmy, że rosły obficie tuż poza zasięgiem rąk, za barierą koronkowych nici, których tak szybko nauczyliśmy się unikać.

– Wygląda na to, że tę ścieżkę wydeptali ludzie – stwierdził Nur An.

– Ktokolwiek i kiedykolwiek to zrobił – odpowiedziałem – nie ulega wątpliwości, że nadal z niej korzysta. Sam brak owoców w sąsiedztwie wystarczająco dobrze o tym świadczy.

Mijaliśmy ostrożnie zakręty ścieżki, niepewni, kiedy natkniemy się na nowe zagrożenie ze strony ludzi lub zwierząt. Niedługo ujrzeliśmy przed sobą coś, co wyglądało na prześwit między drzewami, a chwilę później wyszliśmy na polanę. Przed nami, w odległości niecałego haada, wznosiła się wyniosła budowla, ponury gmach wzniesiony widocznie z czarnych, wulkanicznych skał. Czarny mur wznosił się na wysokość około trzydziestu stóp, przerwany jednym, jedynym otworem: małą furtką, położoną niemal prosto przed nami. Konstrukcja wyglądała na mur zewnętrzny, za którym wznosiły się inne gmachy o dziwnych i groteskowych kształtach; nad wszystkim zaś dominowała strzelista wieża, ze szczytu której w spokojne niebo wznosiła się kręta smuga dymu.

Nowy punkt obserwacyjny dawał nam lepszy widok na kotlinę i teraz lepiej niż przedtem widzieliśmy wskazówki tego, że leżała ona w kraterze jakiegoś olbrzymiego, dawno wygasłego wulkanu. Od muru i budynków, które wskazywały na istnienie niewielkiego, warownego miasta, oddzielało nas kilka rosnących tu i ówdzie drzew, większość terenu zajmował jednak teren uprawny, poprzecinany archaicznymi rowami nawadniającymi, od wieków nieużywanymi na powierzchni i zastąpionymi przez podziemne systemy nawodnienia, kiedy kurczące się zasoby wody wymusiły na nas odpowiednie sposoby jej oszczędzania.

Pewny, że stojąc w miejscu niczego się nie dowiemy, ruszyłem śmiało w stronę miasta.

– Dokąd idziesz? – zapytał Nur An.

– Dowiedzieć się, kto mieszka w tym ponurym miejscu – odparłem. – Mają tu pola i ogrody, więc muszą mieć i żywność, a to będzie jedyna rzecz, o jaką ich poproszę.

Nur An potrząsnął głową.

– Sam widok tego miejsca działa przygnębiająco – powiedział. Mimo wszystko wiedziałem, że i tak pójdzie ze mną. To właśnie zrobił, ponieważ

jest wspaniałym towarzyszem, na którego lojalności zawsze można polegać.

Pokonaliśmy około dwóch trzecich dystansu dzielącego nas od miasta, zanim zauważyliśmy jakiegokolwiek oznaki życia. Na murze nad wejściem pojawiło się kilka postaci. Trzymały w dłoniach długie, cienkie chusty, którymi zdawały się powiewać w pozdrowieniu. Kiedy podeszliśmy bliżej, dostrzegłem, że były to młode kobiety. Wychyliły się przez parapet i uśmiechały się do nas, przywołując nas gestami.

Kiedy podeszliśmy do muru na odległość głosu, zatrzymałem się.

– Co to za miasto? – zapytałem. – I kto nim rządzi?

– Wejdźcie, wojownicy, a zaprowadzę was do naszego jeda! – zawołała jedna z dziewczyn. Była bardzo ładna i jak wszystkie jej towarzyszki uśmiechała się do nas słodko.

– To miejsce wcale nie jest tak ponure, jak ci się wydawało – powiedziałem cicho do Nur Ana.

– Myliłem się – odpowiedział. – Zdaje się, że trafiliśmy na miły i gościnny lud. Wejdziemy?

– Chodźcie! – zawołała kolejna z dziewcząt. – Za tym ponurym murem czeka jedzenie, wino i miłość.

Jedzenie! Dla jedzenia zapuściłbym się w o wiele bardziej złowieszcze miejsce.

Ruszyliśmy długim krokiem w stronę furtki, która przesunęła się powoli. Za nią, po drugiej stronie czarnej brukowanej ulicy wznosiły się budynki z czarnej wulkanicznej skały. Ulica sprawiała wrażenie opuszczonej. Furtka zamknęła się za nami z cichym stuknięciem zamka i ni stąd ni zowąd ogarnęło mnie niedobre przecucie, które kazało mi sięgnąć ręką w stronę rękojeści długiego miecza.

## ROZDZIAŁ 7

### PAJĄK Z GHASTA

Staliśmy przez chwilę niezdecydowani, rozglądając się po pustej ulicy, kiedy naszą uwagę przyciągnęły wąskie schody po wewnętrznej stronie muru, na którego szczycie widzieliśmy witające nas dziewczęta.

Cała szóstka schodziła właśnie na ulicę. Śliczne twarze witały nas promiennym uśmiechem, który momentalnie rozwiął ponurą atmosferę otoczenia, podobnie jak wschodzące słońce rozprasza mroki nocy, zastępując je światłem, ciepłem i radością.

Piękne uprząże, ozdobione wieloma skrzącymi się klejnotami, podkreślały urodę ich nieskazitelnej figury. Kiedy podeszły bliżej, ujrzałem w myślach Tavię. Nie ulegało wątpliwości, że naszym gospodyniom nie brakowało urody, ale daleko było im jeszcze do niej!

Nawet teraz pamiętam wyraźnie, że mimo wszystkich zdarzeń rozpraszających moją uwagę, uderzyło mnie w tamtej chwili, że to Tavię a nie Sanoma Torę ujrzałem w myślach. Zganiłem się surowo i od tej pory widziałem już twarz i sylwetkę Sanoma Tory, przy czym nie dopuściłem się tym żadnej zdrady wobec Tavii i jej przyjaźni, którą postrzegałem jako jeden z najszlachetniejszych i najcenniejszych skarbów mego życia.

Znalazszy się na ulicy, dziewczęta podeszły do nas radośnie.

– Witajcie w szczęśliwym mieście Ghasta! – powiedziała głośno jedna. – Na pewno jesteście głodni po długiej wędrówce. Chodźcie, nakarmimy was, ale najpierw zostanieie przyjęci i przywitani przez wielkiego jeda naszego miasta, ponieważ goście są tu prawdziwą rzadkością.

Idąc za nimi, zwróciłem uwagę na opuszczony wygląd miasta. W żadnym z mijanych budynków nie zauważyłem znaku życia; nie spotkaliśmy też żadnej istoty ludzkiej, dopóki nie znaleźliśmy się na otwartym placu, w samym środku którego wznosił się potężny, zwieńczony strzelistą wieżą budynek, który ujrzelśmy po wyjściu z lasu. Natknęliśmy się tu na parę osób, kobiet i mężczyzn, którzy poruszali się ze spuszczonego wzrokiem i przygarbionymi ramionami, sprawiając wrażenie smutnych i przybitych. Ich krok nie miał w sobie żadnej energii, a cała postawa zdawała się wskazywać bezdenną rozpacz. Stanowili prawdziwy kontrast w zestawieniu z wesołymi, szczęśliwymi dziewczynami, prowadzącymi nas radośnie w stronę głównej bramy budynku, który uznałem za pałac jeda. Pilnowali jej przysadziści wojownicy, nalani żołnierze o oleistej skórze, których wygląd nie przypadł mi do gustu. Kiedy podeszliśmy bliżej, z wnętrza gmachu wyłonił się dowódca. O ile to w ogóle możliwe, był jeszcze grubszy i bardziej tłusty od swoich podwładnych, ale uśmiechnął się do nas i uklonił na powitanie.

– Witajcie! – zawołał. – Niech pokój naszego miasta spocznie na przybyszach wchodzących w jego bramy.

– Poślij do Ghrona, naszego jeda – zwróciła się do niego jedna z dziewcząt. – Przekaż mu, że prowadzimy dwóch wojowników, którzy pragną oddać mu honor, zanim skorzystają z naszej gościnności.

Oficer wysłał wojownika, żeby powiadomić jeda o naszym przybyciu, nas samych wprowadzono zaś do środka pałacu. Sprzęty w budynku były uderzająco piękne, ale ich wzory i kształty okazały się niesamowicie wręcz fantastyczne. Z miejscowego drewna pozyskanego z lasu za murami wykonano tu z kunsztem liczne, wspaniale zdobione meble, w których widać było naturalny połysk rozmaitych naturalnych barw, podkreślonych tu i ówdzie delikatnym barwieniem i polerowaniem. Najbardziej uderzającą ozdobą pałacowego wnętrza była jednak zapewne wspaniale barwiona tkanina pokrywająca ściany i sufit. Sprawiała wrażenie niewiarygodnie

lekkiej i utkanej ze srebra, a jej splot był tak gęsty, że – jak miałem się później dowiedzieć – można było nosić w niej wodę. Była przy tym tak wytrzymała, że rozerwanie jej graniczyło z niemożliwością.

Pastelowymi barwami namalowano na niej najniezwyklesze sceny, jakie może podsunąć wyobraźnia: były tam pająki z głowami pięknych kobiet i kobiety z głowami pajaków, kwiaty i drzewa tańczące pod wielkim czerwonym słońcem oraz wielkie jaszczury podobne do tego, na którego natknęliśmy się w mroku grotty podczas wędrówki z Tjanath. Żadna z przedstawionych postaci nie wyglądała tak, jak ją ukształtowała natura, zupełnie jakby całość była dziełem jakiegoś obłąkanego umysłu.

Kiedy czekaliśmy w wielkim holu, czwórka dziewcząt odtńczyły dla nas niezwykły taniec, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Jego kroki i figury były równie fantastyczne i dziwne, jak dekoracje sali, w której go wykonywano, mimo to miał w sobie przy tym pewien rytm i sugestywność falujących ruchów gibkich ciał, które wypełniły nas poczuciem satysfakcji i dobrego samopoczucia.

Patrząc na dziewczyny, tłusty padwar zwilżył grube wargi, a choć widział je niewątpliwie przy wielu okazjach, wyglądało na to, że ich taniec wywierał na niego mocniejszy wpływ niż na nas. Możliwe jednak, że jego myśli nie zaprzętała żadna Phao lub Sanoma Tora.

Sanoma Tora! Posagowe piękno jej szlachetnego oblicza pojawiło się przez chwilę w mojej pamięci, po czym zaczęło powoli blednąć. Próbowałem przypomnieć je sobie, ujrzeć raz jeszcze te wąskie, dumne wargi i zimne, opanowane spojrzenie, ale wspomnienie rozmyło się i zgasło, a zamiast niego ujrzałem parę prześlicznych, wilgotnych od łez oczu, idealną twarz i zmierzwione włosy.

Żołnierz powrócił, mówiąc, że jed przyjmie nas od razu. Udaliśmy się przed jego oblicze w towarzystwie samych dziewcząt. Tłusty padwar został przy bramie, choć mógłbym przysiąc, że wcale nie miał na to ochoty.

Sala, w której przyjął nas jed, znajdowała się na drugim piętrze pałacu. Pomieszczenie było wielkie i pełne jeszcze bardziej groteskowych sprzętów niż te, które mijaliśmy po drodze. Meble miały tu dziwne kształty i rozmiary, żaden z nich nie harmonizował z pozostałymi, a mimo to całość tworzyła nie do końca odpychający efekt harmonicznego dysharmonii.

Jed siedział na ogromnym tronie z wulkanicznego szkła. Możliwe, że był to najbogatszy i najbardziej niezwykły mebel, jaki w życiu widziałem, wspaniały okaz rękodzieła z Ghasta, ale przyciągnął mój wzrok tylko na chwilę, ponieważ nic nie mogłoby oderwać na długo uwagi od osoby samego jeda. Na pierwszy rzut oka Ghron przypominał raczej owłosioną małpę niż człowieka. Masywnie zbudowany, o szerokich i ciężkich, przygarbionych barkach oraz długich ramionach pokrytych kędzierzawym czarnym włosiem, co dodawało mu niezwykłego wyglądu, ponieważ na Barsoom nie istnieje rasa ludzi o owłosionych ciałach. Twarz miał szeroką i płaską, a oczy rozstawione tak szeroko, że sprawiały wrażenie osadzonych w kącikach twarzy. Kiedy zatrzymaliśmy się przed nim, wykrzywił usta w grymasie, który uznałem wprawdzie za uśmiech, sprawił on jednak, że wyglądał teraz jeszcze straszniej.

Zgodnie ze zwyczajem złożyliśmy miecze u jego stóp i oznajmiliśmy, jak się nazywamy i skąd pochodzimy.

– Hadron z Hastor i Nur An z Jahar – powtórzył. – Ghron, jed tego miasta, wita was. Niewielu mamy gości, zatem kiedy zaszczyca nas swą wizytą dwóch tak sławnych wojowników, traktujemy to jako niezwykle wydarzenie. Rzadko docierają tu wieści ze świata zewnętrznego. Opowiedzcie o waszej wędrówce i o tym, co dzieje się na powierzchni Barsoom.

Zachowywał się i wysławiał jak troskliwy gospodarz, chcący podjąć serdecznie i zgodnie z obyczajem obcych w mieście gości, ale nie mogłem pozbyć się przeczącego temu wrażenia zasugerowanego przez szpetne oblicze Ghrona, choć starałem się grać rolę wdzięcznego gościa.

Opowiedzieliśmy o sobie i udzieliliśmy wielu informacji o znanych nam regionach Barsoom, a podczas przemówienia Nur Ana zacząłem rozglądać się po zgromadzonych w wielkiej sali ludziach. Stały tu głównie kobiety, w tym wiele pięknych i młodych. Mężczyźni byli na ogół tłuści, nalani, o oleistej skórze, a w ich oczach i ustach dostrzegłem pewne rysy okrucieństwa, które próbowałem przypisać pierwszemu przygnębiającemu wrażeniu, jakie wywarły na mnie ponure i czarne budynki oraz opustoszałe ulice.

Kiedy skończyliśmy swoje wystąpienie, Ghron oznajmił, że na naszą cześć przygotowano bankiet i osobiście poprowadził pochód z sali audiencyjnej przez długi korytarz do wielkiej sali bankietowej, pośrodku której stał wielki stół, zastawiony w całości olśniewającą kompozycją z kwiatów i owoców lasu, przez który tu dotarliśmy. Po jednej stronie stołu stały okazałe trony, po drugiej dwa mniejsze – dla mnie i Nur Ana. Po obu stronach od nas usiadły dziewczęta, które witały nas w mieście, a do których obowiązków należało – jak się zdawało – zabawianie gości.

Szaleńczy wygląd zastawy pasował do reszty pałacowych sprzętów. Ani jeden talerz, puchar czy półmisek nie miał tych samych kształtów, wielkości czy wyglądu co inny, i wszystkie zdawały się służyć zupełnie innym celom niż te, do których ich użyto. Wino podano mi na płytkim trójkątnym spodku, mięso zaś położono na wysokim pucharze o smukłej nóżce. Byłem jednak zbyt wygłodzony, żeby zwracać uwagę na podobne drobiazgi oraz, jak miałem nadzieję, nazbyt obeznany z zasadami uprzejmego zachowania, aby zdradzać odczuwane zdziwienie.

Podobnie jak w innych częściach pałacu, ściany pokrywała tu srebrzysta koronkowa tkanina, która wzbudziła mój podziw w chwili, kiedy wszedłem do budynku. Zafascynowała mnie do tego stopnia, że wspomniałem o tym siedzącej po mojej prawej stronie dziewczynie.

– Podobnego materiału nie ma nigdzie na całym Barsoom – zauważyłem.



- O tak, wyrabia się go tylko i wyłącznie tutaj.
- Jest bardzo piękny – stwierdziłem. – Inne narody dobrze by za niego zapłaciły.
- Gdybyśmy tylko mogli do nich dotrzeć – powiedziała. – Niestety, nie mamy kontaktu ze światem zewnętrznym.
- Z czego została utkana? – zapytałem.
- Kiedy weszliście do doliny Hohr, zobaczyliście piękny las sięgający brzegów rzeki Syl – odpowiedziała. – Na pewno widzieliście w nim owoce, a ponieważ doskwierał wam głód, próbowaliście je zebrać. Wtedy zaatakowały was wielkie pająki biegnące po srebrnych niciach, delikatniejszych niż kobiece włosy.
- Tak – powiedziałem. – Dokładnie tak było.
- Materiał tkamy właśnie z sieci tych szkaradnych stworzeń. Jest mocny jak skóra i wytrzymały jak skały, z których wzniesiono nasze miasto.
- Czy zajmują się tym tutejsze kobiety? – chciałem wiedzieć.
- Nie – odparła. – Robią to niewolnicy, kobiety i mężczyźni.
- Skąd ich bierzecie, skoro nie utrzymujecie kontaktów ze światem zewnętrznym? – zapytałem.
- Wielu trafia tu rzeką z Tjanath, gdzie skazano ich na Zagładę, inni z miejsc położonych dalej w górze rzeki, choć nie wiemy dokładnie, skąd ani dlaczego. To milczący ludzie, którzy nie chcą zbyt wiele mówić. Niektórzy przybywają z dolnego biegu rzeki, ale są naprawdę nieliczni i zwykle do tego stopnia przerażeni swoimi przejściami, że nie da się z nich wyciągnąć żadnych informacji.
- A czy ktoś odchodzi stąd w dół rzeki? – zapytałem, ponieważ właśnie w tym kierunku chcieliśmy udać się z Nur Anem w poszukiwaniu wolności. Ciągle żywiłem bowiem nadzieję, że uda nam się dotrzeć do doliny Dor i zaginionego morza Korus, skąd na pewno zdołalibyśmy się wydostać, jak zrobili to wcześniej John Carter i Tars Tarkas.

– Może paru ludzi – odpowiedziała. – Nie wiemy jednak, co się z nimi stało, ponieważ nikt nie wrócił.

– A czy jesteście tu szczęśliwi? – dopytywałem.

Na ślicznych wargach pojawił się wymuszony uśmiech, ale odniosłem wrażenie, że przeszedł ją dreszcz.

Uczta była wyszukana, a jedzenie znakomite. Po drugiej stronie stołu, gdzie siedział jed, słychać było sporo śmiechu, ponieważ otoczenie obserwowało go bacznie, a kiedy opowiedziawszy jakiś dowcip zaczynał śmiać się, jak miał w zwyczaju, reszta towarzystwa wtórowała mu hałaśliwie.

Kiedy biesiada miała się ku końcowi, do sali weszła trupa tancerzy. Na ich widok niemal zaparło mi dech w piersiach, ponieważ wszyscy – z jednym wyjątkiem – mieli straszliwie zdeformowane ciała. Wyjątkiem była najpiękniejsza na świecie dziewczyna; najpiękniejsza i z najsmutniejszą twarzą, jaką w życiu widziałem. Tańczyła jak bogini, a wokół niej podskakiwały i czołgały się nieszczęsne istoty, których kalectwo powinno być raczej powodem współczucia niż śmiechu. Jasne było, że wybrano ich do tej roli właśnie po to, aby dostarczyć widowni okazji do wylania na nich drwin i szyderstw. Zdawało się, że widok kalek wzbudzał w Ghronie wręcz histeryczną wesołość, a żeby bawić się jeszcze lepiej i jeszcze bardziej upodlić tańczących nieszczęśników, za każdym razem kiedy znaleźli się w pobliżu stołu, ciskał w nich jedzeniem i półmiskami.

Próbowałem nie patrzeć na nich, ale ich kalectwo miało w sobie coś fascynującego, co przyciągało wzrok i wkrótce zacząłem dostrzegać wyraźnie, że większość deformacji była sztuczna i to jakiś chory umysł kazał połamać ich i powyginać w ten sposób, a spojrzawszy na drugi koniec stołu na wykrzywioną w histerycznym śmiechu odrażającą twarz Ghrona, zacząłem domyślać się, kto był sprawcą ich nieszczęścia.

Kiedy w końcu wyszli, wniesiono trzy wielkie puchary wina, dwa czerwone i jeden czarny. Niosący je niewolnik postawił czarny przed Ghronem, a czerwone przede mną i Nur Anem. Ghron wstał, a za nim wszyscy biesiadnicy.

– Za pomyślność naszych czcigodnych gości – oznajmił jed, po czym podniósł puchar do ust i osuszył go do dna.

Oczywiste było, że ta mała ceremonia miała zakończyć ucztę i że mieliśmy wypić za zdrowie naszego gospodarza. Podniosłem puchar. Po raz pierwszy podano mi coś w odpowiednim naczyniu i ucieszyłem się, że w końcu mogłem się napić, nie ryzykując rozlania większości płynu na siebie.

– Za zdrowie i potęgę Ghrona, wielkiego jeda! – powiedziałem i wzorem gospodarza osuszyłem puchar.

Nur An poszedł za moim przykładem, wygłaszając stosowne słowa, kiedy poczułem ogarniający mnie znienacka letarg i na chwilę przed utratą przytomności zrozumiałem, że podano mi zatrute wino.

Kiedy doszedłem do siebie, leżałem na gołej podłodze jakiegoś pomieszczenia, którego osobliwe kształty sugerowały, że stanowiło część łuku okręgu położonego na styku dwóch koncentrycznych kół, przez co węższy koniec zakrzywiał się do środka, z kolei szerszy – na zewnątrz. W tym ostatnim osadzono pojedyncze zakratowane okno; poza nim w żadnej ze ścian nie było widać żadnych drzwi ani innego otworu. Mur pomieszczenia pokrywała ta sama srebrna tkanina, którą widziałem na ścianach i suficie w pałacu jeda. Nieopodal leżał Nur An, najwyraźniej ciągle zamroczony podanym nam w winie środkiem.

Rozejrzałem się znowu. Wstałem i podszedłem do okna. Daleko w dole ujrzałem dachy miasta. Widocznie zamknięto nas w wieży w środku pałacu, ale jak tu trafiliśmy? Na pewno nie przez okno, położone dwieście stóp nad miastem. Kiedy rozważałem to z pozoru nierozwiązywalne zagadnienie,

Nur An odzyskał przytomność. Na początku nie odzywał się, leżąc po prostu i patrząc na mnie ze smętnym uśmiechem na wargach.

– Co tam? – zapytałem.

Potrząsnął głową.

– Ciągłe żyjemy – stwierdził posępnym głosem. – Ale to chyba wszystko, co da się powiedzieć o naszej sytuacji.

– Znaleźliśmy się w pałacu szaleńca, Nur Anie – powiedziałem. – Nie mam ani cienia wątpliwości. Wszyscy żyją tu w ciągłym strachu przed Ghronem, a to, co dziś zobaczyłem, każe mi myśleć, że ich odczucia są uzasadnione.

– Mimo wszystko sędzę, że zobaczyliśmy jeszcze niewiele albo wręcz nic – odparł Nur An.

– Zobaczyłem dosyć – oznajmiłem.

– Te dziewczęta były takie piękne – stwierdził po chwili milczenia. – Nie mogłem uwierzyć, że takie piękno i dwulicowość mogłyby istnieć jednocześnie w tej samej istocie.

– Może były tylko opornymi narzędziami w ręku okrutnego pana – zasugerowałem.

– Tak też wolę myśleć – oświadczył.

Skończył się dzień i zapadła noc, a nikt do nas nie przyszedł. Tymczasem dokonałem pewnego odkrycia. Oparwszy się przypadkiem o ścianę na wąskim krańcu pomieszczenia, zauważyłem, że była bardzo ciepła, wręcz gorąca. Wywnioskowałem z tego, że środek wieży zajmował przewód komina, z którego wydobywał się zauważony przez nas dym. Ściana tego komina stanowiła tylny mur naszej celi. W tamtej chwili jednak to odkrycie nie miało dla nas jeszcze żadnego znaczenia.

Cela nie miała oświetlenia, a ponieważ na niebie był tylko Cluros i to po drugiej stronie wieży, pomieszczenie pogrążyło się w niemal całkowitym mroku. Siedzieliśmy, pogrążeni w ponurych rozmyślaniach nad naszą sytuacją, zajęci każdy własnymi strapieniami, kiedy usłyszałem

w dole zbliżające się kroki. Rozbrzmiewały coraz bliżej, aż ucichły w sąsiednim pomieszczeniu, położonym widocznie tuż za ścianą. Chwilę później rozległ się zgrzyt i u dołu jednej z bocznych ścian pojawiła się kreska światła. Rozszerzała się, aż uświadomiłem sobie, że podniosła się cała ściana działowa. W otworze ujrzelśmy najpierw obute w sandały stopy wojowników, po czym pojawiły się w nim powoli całe sylwetki dwóch muskularnych i wysokich, uzbrojonych mężczyzn.

Mieli ze sobą kajdany, którymi skuli nam ręce za plecami. Nie odezwali się ani słowem, ale jeden nich gestem kazał nam pójść za sobą, wyszliśmy więc gęsiego z celi, podczas gdy drugi żołnierz zamykał nasz mały pochód. Weszliśmy w ciszy na spadzistą, spiralną rampę, po której zeszedliśmy do głównego budynku. Eskorta prowadziła nas jednak jeszcze niżej i wiedziałem, że znaleźliśmy się w pałacowych podziemiach.

Podziemia! Zadrzałem wewnątrz. Wolałem już wieżę, ponieważ od zawsze czułem wrodzony lęk przed zamknięciem w lochu. Możliwe, że tutejsze lochy miały okazać się bezdennie mroczne, pełne szcurków i gadów.

Pochylnia kończyła się we wspaniale wyposażonym pomieszczeniu, gdzie zebrało się z grubsza to samo towarzystwo obu płci, które wcześniej tego dnia brało z nami udział w uczcie. Obecny był również Ghron na swym tronie. Tym razem nie uśmiechał się, kiedy weszliśmy do sali. Zdawał się nie zauważać naszej obecności. Siedział pochylony do przodu z oczami utkwionymi w czymś po drugiej stronie pokoju, w którym zastygła śmiertelna cisza, rozerwana znienacka przesywającym wrzaskiem udręki. Krzyk ten stanowił tylko preludium do serii podobnych odgłosów agonii.

Spojrzałem szybko w stronę, skąd dochodziły krzyki i gdzie utkwilo spojrzenie Ghrona. Ujrzałem nagą kobietę przymocowaną łańcuchami do stojącego przed ścianą ognia rusztu. Najwyraźniej umieszczono ją tam

właśnie, kiedy weszliśmy i jej pierwszy krzyk rozdzierającej udręki przyciągnął moją uwagę.

Ruszt osadzono na kółkach, dzięki czemu oprawca mógł przesuwając go na dowolną odległość od ognia albo obrócić, wystawiając w ten sposób na działanie płomieni drugą stronę ciała ofiary.

Powędrowałem wzrokiem z powrotem do publiczności i zobaczyłem, że większość dziewcząt siedziała, patrząc gniewnie przed siebie ze wzrokiem utkwionym w tej przerażającej scenie. Nie chciałem wierzyć, że czerpały z niej przyjemność i wiem, że tak nie było. Wszystkie były niechętnymi ofiarami okrutnych kaprysów chorego umysłu Ghrona, ale podobnie jak biedaczka na ruszcie, były całkowicie bezradne.

Najbardziej szatańskim wymysłem kierującego mękami umysłu, oprócz samej tortury, była całkowita cisza zachowywana przez wszystkich widzów, w zestawieniu z którą krzyki i jęki ofiary działały widocznie jeszcze skuteczniej na obłąkany umysł jeda.

Widowisko przyprawiało mnie o mdłości i odwróciłem wzrok. Wkrótce jeden z wojowników, którzy nas tu przyprowadzili, dotknął mojej ręki i gestem kazał mi pójść za sobą.

Poprowadził nas do drugiego pomieszczenia, gdzie ujrzelśmy sceny o wiele straszliwsze niż pieczenie człowieka żywcem. Nie potrafię tego opisać, bowiem sama myśl o nich wzbudza niewymowny ból w mojej pamięci. Na długo zanim doszliśmy na miejsce, słyszeliśmy dobiegające stamtąd wrzaski i przekleństwa. Zachowując całkowite milczenie, strażnicy wprowadzili nas do środka. Tu właśnie znajdowała się sala grozy, gdzie jed Ghasta tworzył potworne deformacje do okrutnego tańca kalek.

Strażnicy, nie przerywając milczenia, wyprowadzili nas z tego przerażającego miejsca. Nasz przewodnik zaprowadził nas teraz do bogato umeblowanego pokoju, gdzie na otomanach spoczywały dwie z pięknych dziewcząt, które powitały nas w Ghasta.

Po raz pierwszy od wyjścia z naszej celi jeden ze strażników przerwał milczenie.

– One wam wszystko wyjaśnię – wskazał na dziewczyny. – Nie próbujcie uciekać. Stąd jest tylko jedno wyjście. Zaczekamy na zewnątrz.

Po czym zdjął nam kajdany i wraz z towarzyszem opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi.

Jedna z dziewczyn okazała się tą samą, która podczas uczyty siedziała po mojej prawej stronie. Zrobiła na mnie wrażenie inteligentnej i uprzejmej, zwróciłem się więc do niej.

– Co to wszystko znaczy? – zapytałem. – Dlaczego nas uwięziono? Po co nas tu przyprowadzili?

Pokazała mi, żebym podszedł do otomany, na której leżała, a kiedy podszedłem bliżej, zaprosiła mnie, żebym usiadł obok.

– To, co zobaczyliście dziś wieczór, to trzy drogi, jakie przed wami stoją – powiedziała. – Przypadliście Ghronowi do gustu, pozwoli wam więc dokonać wyboru.

– Nie do końca rozumiem – odpowiedziałem.

– Widziałeś ofiarę na ruszcie? – zapytała.

– Tak – odparłem.

– Chcesz, żeby spotkało cię to samo?

– Raczej nie.

– Widziałeś nieszczęśników, którym łamią i wyginają kości, żeby dołączyli do tańca kalek? – pytała dalej.

– Widziałem – oświadczyłem.

– A teraz widzisz przepych tego pokoju – i mnie. Co wybierzesz?

– Nie wydaje mi się, żeby tej ostatniej alternatywie nie towarzyszyły jakieś warunki – oznajmiłem. – A przez to mogłaby wydać się mniej atrakcyjna niż się wydaje. W przeciwnym razie nie byłoby wątpliwości, co bym wybrał.

– Masz rację – odpowiedziała. – Są pewne warunki.

– Jakie? – zapytałem.

– Zostaniesz oficerem straży w pałacu i będziesz zadawał męki podobne do tych, które widziałeś na własne oczy. Będziesz też posłuszny wszelkim kaprysom twojego pana.

Wyprostowałem się.

– Wolę ogień – odpowiedziałem.

– Wiedziałaś, że to powiesz – powiedziała smutnym głosem. – Mimo wszystko miałam jednak nadzieję, że postąpisz inaczej.

– To nie przez ciebie – oświadczyłem zaraz. – Chodzi o warunki, których nie przyjąłby żaden człowiek honoru.

– Wiem – oznajmiła. – Gdybyś się na nie zgodził, zaczęłabym gardzić tobą tak, jak całą resztą.

– Czy jesteś tu nieszczęśliwa? – zapytałem.

– Oczywiście – odparła. – Tylko szaleniec byłby szczęśliwy w tym okropnym miejscu. W całym mieście mieszka może sześćset osób, a żadna z nich nie wie, co to szczęście. Setka to dworzanie jeda, cała reszta to niewolnicy, choć właściwie wszyscy jesteśmy tu niewolnikami, poddanymi szalonym kaprysom i zachciankom panującego nad nami szaleńca.

– Nie da się stąd uciec? – chciałem wiedzieć.

– Nie.

– Ja ucieknę – oświadczyłem.

– W jaki sposób?

– Przez ogień – odpowiedziałem.

Wzdrygnęła się.

– Nie wiem, dlaczego tak bardzo mi na tobie zależy – powiedziała. – Chyba dlatego, że od początku poczułam do ciebie sympatię. Nawet pomagając zwabić cię do miasta dla ludzkiego pająka, chciałam ostrzec cię, żebyś tu nie wchodził. Bałam się jednak, tak samo, jak boję się śmierci. Szkoda, że nie jestem tak odważna jak ty, żeby uciec stąd przez ogień.



Odwróciłem się do Nur Ana, który przysłuchiwał się naszej rozmowie.

– Podjąłeś decyzję?– zapytałem.

– Oczywiście – odparł. – Człowiek honoru może wybrać tylko jedno.

– Dobrze! – stwierdziłem głośno, po czym zwróciłem się do dziewczyny.

– Powiadomisz Ghrona o naszej decyzji? – spytałem.

– Zaczekajcie – odpowiedziała. – Poproście go o czas do namysłu. Wiem, że ostatecznie nic wam to nie da, ale mimo wszystko... och, pozostało we mnie jeszcze ziarno nadziei, którego nie zniszczy nawet bezdenna rozpacz.

– Zgadza się – powiedziałem. – Zawsze jest nadzieja. Niech Ghron myśli, że jesteś bliska namówienia nas, abyśmy wybrali wygodne życie w luksusie, które zaoferował nam obok śmierci lub tortur, i że uda ci się, jeśli dostaniesz jeszcze trochę czasu. Tymczasem może zdołamy wymyślić jakiś sposób ucieczki.

– To niemożliwe – powiedziała.

## ROZDZIAŁ 8

### PHOR TAK ZJHAMA

Wróciwszy do celi w wieży, zaczęliśmy z Nur Anem omawiać wszelkie szaleńcze plany ucieczki, jakie przyszły nam do głów. Z niewyjaśnionych przyczyn nie założono nam znowu kajdan, co dawało nam przynajmniej taką swobodę działania, na jaką pozwalało nasze więzienie. Możecie mi wierzyć, że wykorzystaliśmy ją w pełni, poddając drobiazgowym oględzinom każdy cal podłogi i ścian, jak wysoko sięgaliśmy, nasze wspólne wysiłki nie znalazły jednak żadnego sposobu na podniesienie ściany zagradzającej jedyną drogę ucieczki, jeśli nie liczyć okna. Tego ostatniego nie wykluczaliśmy wcale z naszych planów, choć było zaopatrzone w solidne kraty i położone dwieście stóp nad powierzchnią.

Kiedy spróbowaliśmy je wygiąć, ciężkie pionowe pręty krat oparły się naszym wspólnym wysiłkom, choć Nur An jest potężnym człowiekiem, a mnie zawsze chwalono za niezwykłą muskulaturę. Pręty były osadzone nieco zbyt blisko siebie, żebyśmy zdołali przecisnąć się między nimi, ale gdyby udało nam się usunąć choć jeden, otwór byłby wystarczająco duży. Tylko po co? Możliwe, że Nur An miał tę samą odpowiedź, co ja: aby, kiedy zniknie wszelka nadzieja, a jedyną alternatywą stanie się śmierć na ruszcie, przechytrzyć Ghrona i rzucić się z wysokiego okna w dół.

Cokolwiek jednak myśleliśmy, zachowywaliśmy to dla siebie, a kiedy zacząłem drażyć w zaprawie pod jednym z prętów bolcem sprzączki w uprzęży, Nur An bez zbędnych pytań zaczął robić to samo u góry. Działaliśmy w milczeniu, nie bojąc się, że ktoś nas na tym przyłapie,

ponieważ od kiedy trafiliśmy do celi, nikt do niej nie wchodził. Mur unosił się raz dziennie o kilka cali i wsuwano pod nim jedzenie, ale nie widzieliśmy, kto je przynosił, i nikt nie próbował komunikować się z nami od pierwszej nocy, kiedy zabrano nas do pałacowych podziemi aż do chwili, kiedy udało nam się wreszcie obluzować pręt na tyle, że mogliśmy z łatwością wyjąć go z muru.

Nigdy nie zapomnę, jak niecierpliwie wyczekiwaliśmy nadejścia nocy, żeby wyjąć go z okna i zbadać mur wieży w jego okolicach, ponieważ przyszło mi do głowy, że moglibyśmy przedostać się tędy na powierzchnię czy też raczej na dach pałacu, skąd udałoby się nam może przejść po kryjomu na mury miasta. Z myślą o tej ewentualności postanowiłem podrzeć pokrywającą ściany tkaninę na pasy i sporządzić z nich linę, po której mieliśmy opuścić się za mur.

Kiedy zbliżał się wieczór, zaczęło docierać do mnie, do jakiego stopnia moje nadzieje zależały od tego zamiaru. Zdawało się, że plan był już niemal zrealizowany, zwłaszcza gdyby udało mi się wykorzystać możliwość zrobienia liny, w tym dostatecznie długiego odcinka, po którym zeszlibyśmy z okna do podstawy wieży, pokonując tym samym wszelkie przeszkody. O zmierzchu podzieliłem się swoimi przemyśleniami z Nur Anem.

– Świetnie! – powiedział. – Zajmijmy się od razu przygotowaniem. Materiał jest mocny i wąski pasek z powodzeniem utrzyma nas obu. Na jednej ścianie jest go dosyć, żeby zrobić wszystkie potrzebne nam liny.

Przystępując do usuwania materiału z jednej z większych ścian celi, byliśmy niemal pewni powodzenia, zaraz jednak trafiliśmy na pierwszą przeszkodę. Tkanina umocowana była od góry i dołu gwoździami o wielkich łebkach, osadzonymi tak blisko siebie, że opierały się wszelkim próbom ich wyrwania. Choć cienki i lekki, materiał zdawał się całkowicie niezniszczalny i próby rozerwania go niemal całkowicie nas wyczerpały, musieliśmy w końcu przyznać się do porażki.

Zapadła szybka marsjańska noc i mogliśmy stosunkowo bezpiecznie wyjąć pręt z okna i rozejrzeć się poza celą, choć nie zostało w nas wiele nadziei, więc podciągając się na parapet i wystawiając głowę i barki za okno, nie spodziewałem się wcale zobaczyć nic zachęcającego.

Pod sobą miałem ponure, mroczne miasto, którego czerń rozpraszało tylko parę słabych świateł padających przede wszystkim z okien pałacu. Przesunąłem dłonią po położonej w zasięgu ręki powierzchni muru i serce znów we mnie zamarło. Skała wulkaniczna, gładka prawie jak szkło, doskonale oszlifowana i ułożona, nie dawała najmniejszego oparcia dla rąk. Nawet owad miałby problem z przyczepieniem się do gładkiej powierzchni.

– To na nic – orzekłem, wciągając głowę z powrotem do celi. – Mur jest gładki jak kobieca pierś.

– A co jest na górze? – zapytał Nur An.

Wychyliłem się znowu, tym razem patrząc do góry. Tuż nade mną był okap dachu: nasze więzienie znajdowało się na najwyższej kondygnacji. Szalony impuls, zrodzony być może z rozpacz, kazał mi zbadać wieżę od tej strony.

– Trzymaj mnie za kostki! – powiedziałem. – Trzymaj mocno, na wszystkich przodków!

Uczepiłem się dwóch pozostałych prętów i podniosłem do pozycji stojącej na parapecie, podczas gdy mój towarzysz chwycił mnie za kostki. Wyciągniętymi palcami sięgałem szczytu okapu. Opuściłem się na parapet i szepnąłem do Nur Ana:

– Spróbuję dostać się na dach.

– Po co? – spytał.

Roześmiałem się.

– Nie wiem – przyznałem – ale jakaś podświadoma myśl nie daje mi spokoju i każe mi go zbadać.

– Gdybyś spadł, przynajmniej unikniesz ognia – stwierdził. – Pójdę wtedy za twoim przykładem. Powodzenia, przyjacielu!

Stanąłem ponownie na parapecie i wyciągnąłem ręce do góry, aż zacisnąłem palce na krawędzi dachu. Podciągnąłem się powoli; dwieście stóp poniżej czekał dach pałacu i śmierć. Należę do bardzo silnych ludzi i tylko siłacz mógł mieć tu jakiekolwiek szanse powodzenia, ponieważ płaski dach dawał w najlepszym razie bardzo niepewny chwyt; w końcu jednak udało mi się przełożyć łokieć przez krawędź dachu, po czym powoli wciągnąłem do góry całe ciało i leżałem zdyszany na wieńczących smukłą wieżę bazaltowych płytach.

Odoczywałem kilka chwil, po czym podniosłem się. Namiętna, szalona Thuria pędziła po bezchmurnym niebie; Cluros, jej oziębły, wyniośle obojętny małżonek zataczał swój wysoki łuk; w dole widziałem dolinę Hohr niczym jakąś pradawną baśniową krainę czarów, nade mną srożyły się urwiska, otaczające ten świat szaleńca.

Nagle moją twarz owiało gorące powietrze, przypominając, że głęboko w podziemiach Ghasty trwała orgia tortur. Z czarnego wylotu komina za mną dobiegł ledwo słyszalny krzyk. Zadrzałem, ale moja uwaga skupiła się na szerokim otworze, do którego podszedłem. Z wylotu wznosiły się niemal nieznośnie gorące fale rozgrzanego powietrza. Spalanie było tak dobre, że dymu było niewiele, za to komin wyrzucał spaliny z porażającą prędkością. Odniosłem niemal wrażenie, że gdybym skoczył na nie, zdołałyby mnie unieść.

Wtedy w mojej głowie zrodził się pewien pomysł, możliwe, że szalony i niewykonalny; mimo to nie opuszczał moich myśli, kiedy opuściłem się ostrożnie poza krawędź dachu i wróciłem do bezpiecznej celi.

Miałem właśnie zacząć tłumaczyć go Nur Anowi, kiedy przerwały mi odgłosy z sąsiedniego pomieszczenia. Chwilę później ściana zaczęła się podnosić. Sądziłem, że znowu przyniesiono nam jedzenie, ale tym razem mur uniósł się wyżej niż było trzeba, żeby przesunąć pod nim miski ze strawą, a chwilę później u podstawy muru ujrzeliśmy kobiece stopy i nogi. Dziewczyna pochyliła się i weszła do celi. Rozpoznałem ją

w świetle z sąsiedniego pomieszczenia: była to ta sama, której Ghron polecił przekonać mnie do swojej woli. Na imię miała Sharu.

Nur An prędko umieścił pręt z powrotem w oknie i kiedy dziewczyna weszła do celi, nic nie wskazywało na to, że cokolwiek było nie tak lub że jeden z nas niedawno ją opuścił. Na w pół uniesiona ściana wpuszczała do środka światło i spojrzawszy na mnie dziewczyna zauważyła z pewnością, że powędrowałem wzrokiem do pomieszczenia obok.

– Nie róbcie sobie nadziei – powiedziała ze smętnym uśmiechem. – Na niższym piętrze czekają na was strażnicy.

– Dlaczego tu przysłaś, Sharu? – zapytałem.

– Przysłał mnie Ghron – odpowiedziała. – Nie może doczekać się waszej decyzji.

Myślałem szybko. Naszą jedyną nadzieją było współczucie ze strony dziewczyny, której poprzednie zachowanie wskazywało co najmniej na przyjazne nastawienie.

– Gdybyśmy mieli tylko noże i igłę – powiedziałem ścisząc głos do szeptu – pojutrze rano moglibyśmy udzielić Ghronowi odpowiedzi.

– Jak mam uzasadnić tę dalszą zwłokę? – zapytała po chwili zastanowienia.

– Powiedz mu, że naradzamy się z przodkami – powiedział Nur An. – I że nasza decyzja zależy od tego, co powiedzą.

Sharu uśmiechnęła się. Wyjęła nóż z zawieszanej na pasie pochwy i położyła go na podłodze, po czym położyła obok igłę z kieszeni na uprząży.

– Przekonam go, żeby zaczekał – oznajmiła. – W głębi serca miałam nadzieję, że zechcesz ze mną zostać, Hadronie, ale cieszę się, że nie pomyliłam się w ocenie twojego charakteru. Zginiesz, ale zginiesz nieskalany, jak przystoi odważnemu człowiekowi. Żegnaj! Po raz ostatni widzę cię żywym, ale zachowam twój obraz w sercu, dopóki nie odejdę przed oblicze przodków.

Wyszła. Mur opadł na miejsce i zostaliśmy sami w półmroku księżycowej nocy. Teraz jednak mieliśmy dwie najbardziej potrzebne nam w tej chwili rzeczy: nóż i igłę.

– Na co nam one? – zapytał Nur An, kiedy podniosłem oba przedmioty z podłogi.

– Zobaczysz – odpowiedziałem i bez chwili zwłoki zacząłem odcinać materiał ze ścian celi, po czym, stanąwszy na barkach Nur Ana, zająłem się zrywaniem tkaniny z sufitu. Pracowałem szybko, wiedząc, że nie mieliśmy zbyt wiele czasu na realizację mojego planu. Może i był on szalony, ale mieścił się w granicach wykonalności.

Pracowałem w ciemności, kierując się bardziej dotykiem niż wzrokiem i chyba tylko natchnieniu ze strony jakiejś siły wyższej zawdzięczam, że udało mi się w ogóle zrealizować mój plan.

Przez resztę nocy i cały następny dzień pracowaliśmy bez odpoczynku z Nur Anem, szyjąc ogromny worek z materiału pokrywającego ściany i sufit celi. Z resztek spleliśmy długie liny. Kiedy znowu zapadła noc, nasze dzieło było ukończone.

– Niech nam szczęście sprzyja – powiedziałem.

– Twój szalony plan jest godny umysłu samego Ghrona – stwierdził Nur An. – Mimo wszystko, daje nam pewne szanse powodzenia.

– Jest noc. Nie możemy dłużej zwlekać – oznajmiłem. – Jednego możemy być pewni: uciekniemy stąd czy nie, uda nam się uniknąć ognia. Tak czy owak, oby przodkowie spojrzeli łaskawie z miłością na Sharu, której przyjaźni zawdzięczamy samą możliwość ucieczki.

– Nie przyjaźni, a miłości – poprawił mnie Nur An.

Ponownie dokonałem ryzykownego wejścia na dach, zabierając ze sobą jedną z lin. Zrzuciłem ją ze szczytu Nur Anowi, a ten przywiązał do niej wielki worek, który wciągnąłem ostrożnie na dach. Choć wytrzymałszy niż wyprawiona skóra zitidary, był lekki jak piórko. Następnie spuściłem

znowu linę i pomogłem wspiąć się Nur Anowi, który po drodze włożył na miejsce wyjęty z okna pręt.

Do dna worka przyczepiliśmy wcześniej pewną ilość zakończonych pętlami sznurków, przez które przewlekliśmy teraz najdłuższą linę, obejmującą cały obwód wieży. Umocowaliśmy ją następnie pod wystającym okapem, wiążąc na niej ruchomy węzeł, aby w razie potrzeby móc zerwać ją błyskawicznie jednym szarpnięciem.

Następnie zaczęliśmy przesuwając pętle wzdłuż opasującej wieżę liny, aż otwór worka znalazł się dokładnie nad wylotem przewodu kominowego pieca śmierci. Stanęliśmy po obu stronach komina i podnieśliśmy worek, który zaczął wypełniać się buchającym z wnętrza rozgrzanym powietrzem. Po krótkim czasie był już na tyle pełny, że utrzymywał się w górze. Zostawiłem wtedy Nur Anowi pilnowanie go i zacząłem przesuwając pętle, ustawiając je w równej odległości od siebie, dzięki czemu worek znalazł się dokładnie nad osią komina. Wreszcie przewlokłem przez nie kolejną linę i związałem jej końce, po czym przypięliśmy się do niej po przeciwnych stronach worka za pomocą haków w uprząży, które są częścią ekwipunku każdego wojownika na Barsoom. Zasadniczo służą one do spuszczenia grup abordażowych na pokład lecących w dole statków, w praktyce jednak wykorzystuje się je na niezliczone sposoby, w tym w wielu nagłych wypadkach.

Teraz czekaliśmy: Nur An gotów zerwać węzeł mocujący linę pod okapem, ja po przeciwnej stronie z nożem Sharu w dłoni, aby przeciąć liny po mojej stronie.

Nasz wielki worek napełniał się gorącym powietrzem. Początkowo nieco sflaczały, kołysał się i podskakiwał, wkrótce jednak rozciągnął się w górę i na boki. Materiał naprężył się tak mocno, że obawiałem się, iż pęknie. Worek ciągnął i szarpał mocujące go liny; mimo to czekałem nadal.

Pod nami, w kotlinie Hohr ledwie było czuć wiatr, może nawet nie było go wcale, co ułatwiało nasze brawurowe przedsięwzięcie.



Worek, który zdążył urosnąć niemal do rozmiarów naszej celi, wyrzucił się do góry i targał niecierpliwie linami, nie mogąc doczekać się, aż wzleci w powietrze. Zdziwiony, że jednak wytrzymał, dałem znak Nur Anowi.

Zsunął węzeł z liny, równocześnie przeciąłem ją po drugiej stronie. Oswobodzony, wielki worek podskoczył w górę, ciągnąc nas za sobą. Unosił się ze zdumiewającą prędkością, aż kotlina zmieniła się w niewielkie zagłębienie w wielkiej powierzchni leżącego pod nami świata.

Wkrótce porwał nas jakiś wiatr i możecie mi wierzyć, iż zauważywszy, że oddalamy się od okrutnego miasta, dziękowaliśmy z całego serca wszystkim przodkom. Wiatr przybierał na sile, dmąc silnie na północny wschód, ale dopóki zabierał nas z dala od rzeki Syl i kotliny Hohn, niewiele nas obchodziło, gdzie w końcu trafimy.

Wydostawszy się poza krater dawnego wulkanu tworzący podstawę kotliny, w której leży ponure miasto Ghasta, ujrzeliśmy pod sobą w blasku księżyca surowy, wulkaniczny krajobraz. Pejzaż sprawiał dziwaczne i zapierające dech w piersiach, nierealne wrażenie: zdawało się, że głębokie rozpadliny i spiętrzone sterty bazaltu tworzyły niepokonaną dla człowieka barierę. Możliwe, że tłumaczy to, dlaczego od niezliczonych wieków kotlina Hohn trwała nieodkryta w tym dalekim i opuszczonym zakątku Barsoom.

Wiatr wzmagał się. Unosiliśmy się na sporej wysokości, niesieni ze sporą prędkością, zauważyłem jednak, że opadaliśmy powoli w miarę, jak gorące powietrze zaczynało stygnąć. Nie miałem pojęcia, jak długo jeszcze mogło utrzymać nas w górze, ale miałem nadzieję, że wystarczy go, abyśmy przynajmniej wydostali się poza granice leżącej pod nami niegościnniej krainy.

Z nadejściem świtu unosiliśmy się już tylko kilkaset stóp nad powierzchnią; wulkaniczna kraina została daleko za nami, a jak okiem sięgnąć wokół ciągnęły się piękne, falujące wzgórza, porośnięte skąpo

zagajnikami odpornych na suszę drzew steel, na których drewnie wzniesiono cywilizację Barsoom.

Przelecieliśmy o pięćdziesiąt sofadów nad szczytem niskiego wzgórza i ujrzeliśmy w dole lśniący biały budynek. Podobnie jak wszystkie miasta i samotne budowle na Barsoom otoczony był wysokim murem, poza tym jednak pod każdym względem różnił się znacznie od tradycyjnej architektury naszego świata. Gmachu, na który składało się kilka budynków, nie wieńczyły wieże, kopuły i minarety, stanowiące znak charakterystyczny wszystkich miast na Barsoom, które dopiero w ostatnich wiekach zaczęły ustępować powoli płaskim lądowiskom świata podróży powietrznych. Budynki, sięgające różnych wysokości, zakończone były płaskimi dachami; wyglądało na to, że żaden z nich nie sięgał powyżej czwartej kondygnacji. Między nimi a murem zewnętrznym, oraz na kilku otwartych dziedzińcach rosło wiele drzew i krzaków, otoczonych szkarłatnym trawnikiem i dobrze utrzymanymi ścieżkami. Widok był naprawdę niezwykły i piękny, jednak zwabieni niedawno do śmiertelnej pułapki urokami kotliny Hohr i nieodpartymi powabami ślicznotek z Ghasta, nie zamierzaliśmy ponownie dać się zwieść zewnętrznym pozorom. Postanowiliśmy przelecieć nad czarownym pałacem i postarać się wylądować dalej na otwartej przestrzeni.

Ale los chciał inaczej. Wiatr stracił na sile i zaczęliśmy prędko opadać. W ogrodach pod nami zauważyliśmy ludzi, a kiedy oni też nas spostrzegli, najwyraźniej nie wiedzieli, co robić. Pobiegli w stronę najbliższych wejść do pałacu i kiedy wylądowaliśmy w końcu na dachu jednej z wyższych części budowli, w zasięgu wzroku nie było żadnej istoty ludzkiej.

Kiedy oswobodziliśmy się z pętli, w których siedzieliśmy, uwolniony od naszego ciężaru worek wzbił się na pewną wysokość w powietrze, okręcił się i spadł zaraz za murem. Służył nam dobrze, a teraz przypominał wręcz żywe stworzenie, które poświęciło się, aby nas ocalić.

Nie mieliśmy jednak zbyt wiele czasu na sentymentalne żale, ponieważ niemal od razu w niewielkim otworze w dachu, na którym wylądowaliśmy, pojawiła się czyjaś głowa, za którą wyłoniło się ciało odziane w tak skąpą uprząż, że zdawało się wręcz nagie. Należało do starca o kształtnej głowie, pokrytej przeredzonymi siwymi kędziorami.

Oznaki fizyczne wieku podeszłego należą na Barsoom do takiej rzadkości, że od razu zwracają na siebie uwagę. Naturalna długość życia czerwonych ludzi sięga często tysiąca lat, ale przez cały ten czas nasz wygląd zmienia się niewiele lub wręcz wcale. Owszem, wielu ginie na długo zanim dożyje starości; ale zdarzają się i tacy, którzy przekraczają spodziewaną długość życia oraz inni, którzy nie dbają o siebie należycie. Obie grupy stanowią jedyne i nieliczne przykłady postarzałych fizycznie ludzi na Barsoom; najwyraźniej do nich zaliczał się stojący przed nami niski starzec.

Na jego widok Nur An wydał okrzyk zdziwienia.

– Phor Tak! – zawołał.

– Ejże! – roześmiał się wysokim falsetem starzec. – A cóż to za przybysz z nieba zna starego Phor Taka?

– To ja, Nur An! – zawołał mój towarzysz.

– No, no! – odpowiedział Phor Tak. – Nur An, jeden z ulubieńców Tul Axtara.

– Podobnie jak kiedyś ty, Phor Taku.

– O nie, już nie – odparł starzec, niemal krzycząc. – Ten tyran wycisnął mnie jak soczysty owoc i odrzucił skórkę. Ha! Myślał, że jest pusta, ale codziennie proszę przodków, aby pozwolili mu się przekonać, jak bardzo się mylił. Mówię ci to bez obaw, Nur Anie, ponieważ jesteś w mojej mocy i zapewniam cię, że nie pożyjesz dość długo, aby zanieść mu informacje o moim miejscu pobytu.

– Nie masz się czego obawiać – zapewnił go Nur An. – Ja również wycierpiałem niejedno przez nikczemność Tul Axtara. Tobie pozwolono

przynajmniej opuścić stolicę w pokoju, a mój majątek skonfiskowano, mnie samego zaś skazano na śmierć.

– Coś takiego! A zatem ty także go nienawidzisz – stwierdził głośno starzec.

– To zbyt słabe określenie na moje odczucia względem niego – odpowiedział mój przyjaciel.

– To dobrze – powiedział Phor Tak. – Widząc, jak lądowaliście, uznałem, że chyba przodkowie zesłali mi ciebie do pomocy. Teraz wiem, że naprawdę tak było. Czy ten wojownik również pochodzi z Jahar? – dodał, skinąwszy głową w moją stronę.

– Nie, Phor Taku – odparł Nur An. – To Hadron z Hastor, szlachetnie urodzony mieszkaniec Helium. On również został poszkodowany przez Tul Axtara.

– Świetnie! – zawołał starzec. – Teraz jest nas trzech. Do tej pory miałem do pomocy tylko kobiety i niewolników, ale z dwoma młodymi i silnymi, doświadczonymi wojownikami zwycięstwo zdaje się leżeć niemal w zasięgu ręki.

Kiedy rozmawiali, przypomniałem sobie część historii opowiedzianej mi przez Nur Ana w lochach Tjanath, dotyczącą Phor Taka i jego miotacza promieni dezintegrujących, które okazały się zabójcze dla załogi patrolowca Helium w noc uprowadzenia Sanoma Tory. Rzeczywiście, dziwne zrządzenie losu rzuciło mnie do siedziby człowieka znającego sekret, który mógł okazać się tak ważny dla Helium i całego Barsoom. Dziwna i kręta była ścieżka, którą wiódł mnie los, choć wiedziałem, że prowadzili mnie po niej przodkowie a wszystko miało skończyć się dobrze.

Wysłuchawszy części naszej historii, Phor Tak uznał, że na pewno byliśmy głodni i zmęczeni, zatem jako dobry gospodarz sprowadził nas do środka pałacu, po czym wezwał służbę, kazał wykapać nas i nakarmić, a następnie pozwolić wypocząć, jak długo uznamy za stosowne.

Podziękowaliśmy mu za tę uprzejmość i troskę, z której chętnie skorzystaliśmy.

Dni, które nastąpiły, były ciekawe i korzystne. Phor Tak, żyjący dotychczas w otoczeniu kilku oddanych niewolników, którzy udali się wraz z nim na wygnanie, był zachwycony naszym towarzystwem i pomocą, jakiej mogliśmy udzielić mu w eksperymencie, którego szczegóły zdradził nam dopiero, kiedy był pewny naszej lojalności.

Opowiedział nam o swojej wędrówce po opuszczeniu Jahar i o tym, jak natknął się przypadkiem na ten opustoszały od dawna zamek, po którego budowniczych i mieszkańcach nie zostały żadne ślady poza ich kośćmi. Twierdził, że gdy go odkrył, dziedziniec zasłany był szkieletami, a w głównej bramie piętrzyły się kości dwudziestu wojowników, świadcząc o zażartej walce, jaką stoczono tu z jakimś nieznanym wrogiem; z kolei w wielu komnatach na górnych kondygnacjach znalazł szkielety kobiet i dzieci.

– Sądzę, że zamek najechała jakaś horda zielonoskórych, która nie zostawiła nikogo przy życiu – powiedział. – Dziedzińce i ogrody były zarośnięte chwastami, a wewnątrz pełne kurzu, poza tym jednak nie było większych zniszczeń. Nazwałem to miejsce Jhama i tu pracuję nad dziełem mojego życia.

– To znaczy? – zapytałem.

– Zemstą na Tul Axtarze – odparł starzec. – Dałem mu dezintegratory oraz związek, który chroni przed ich promieniowaniem statki i broń Jahar, a teraz dam mu coś jeszcze. Coś, co będzie takim samym przełomem w sztuce wojennej jak promienie dezintegrujące, i co strąci poskręcane wraki floty Jahar na skały, sięgnie w najgłębsze zakamarki pałacu Tul Axtara i pogrzebie go pod jego gruzami.

Nie trzeba było wiele czasu spędzonego w Jhama, abyśmy nabrali z Nur Anem przekonania, że wskutek lat ponurych rozmyślań nad krzywdami wyrządzonymi mu przez Tul Axtara, umysł Phor Taka popadł w co

najmniej lekki obłąd. Choć z natury był przyjemnego usposobienia, sprawiał wrażenie owładniętego maniacką wręcz żądzą zemsty, bez najmniejszego względu na skutki dla niego samego i innych. Pod tym jednym względem nie przemawiały do niego żadne rozsądne argumenty i uznawszy nas od początku za potencjalnych wykonawców swoich planów, wpadał w szal za każdym razem, kiedy poruszałem temat wyjazdu.

Męczony pragnieniem, aby ruszyć w dalszą drogę do Jahar na ratunek Sanoma Torze, siłą rzeczy kiepsko znosiłem to przymusowe opóźnienie. Phor Tak był jednak nieugięty i nie chciał zezwolić na mój wyjazd, a całkowite oddanie niewolników pozwalało mu zmusić nas do wykonywania jego woli. Objął im przy nas, że byliśmy wprawdzie jego gośćmi, których mieli traktować z szacunkiem, jak długo nie spróbujemy opuścić zamku bez pozwolenia. Gdyby jednak przyłapali nas na próbie ucieczki, mieli nas zabić.

Rozmówiliśmy się z Nur Anem na ten temat. Okazało się, że od Jahar oddzielały nas cztery tysiące haadów trudnego i niegościnnego terenu. Bez statku i thoatów mieliśmy niewielkie szanse, aby dotrzeć do miasta na czas, żeby pomóc Sanoma Torze, o ile w ogóle udałoby nam się tam trafić. Uznaliśmy wobec tego, że lepiej będzie poczekać, starając się zrobić na naukowcu wrażenie, iż chętnie mu pomagamy, z nadzieją że uda nam się w końcu skorzystać z jego pomocy i wsparcia. Powiodło nam się i wkrótce zaskarbiliśmy sobie zaufanie Phor Taka do tego stopnia, że zaczęliśmy żywić nadzieję, iż zdradzi nam swoje najgłębsze sekrety i podzieli się z nami wiedzą o niszczycielskim urządzeniu, które szukał dla Tul Axtara.

Muszę przyznać, że interesował mnie przede wszystkim ów wynalazek, ponieważ byłem pewny, że aby użyć go przeciw Tul Axtarowi, musiał znaleźć sposób na przetransportowanie go do Jahar. Tu widziałem dla siebie szansę na dotarcie do stolicy Jahar.

Przebywaliśmy w Jhama około dziesięciu dni. Przez cały ten czas Phor Tak zdradzał oznaki najwyższej drażliwości, a kiedy nie przebywał zamknięty w najgłębszych zakamarkach tajnego laboratorium, praktycznie stale trzymał nas przy sobie.

Dziesiątego dnia przy kolacji sprawiał wrażenie jeszcze bardziej rozstrojonego. Kiedy, jak zwykle, opowiadał bez końca o swojej nienawiści do Tul Axtara, jego twarz przybrała wyraz szaleńczej furii.

– Nic nie mogę zrobić! – wykrztusił wreszcie, omal nie krzyżąc. – Nic nie mogę zrobić, bo nie mam nikogo, komu mógłbym powierzyć swoją tajemnicę i kto miałby dość rozumu i odwagi, żeby wykonać mój plan. Sam jestem zbyt słaby i stary, żeby przeżyć trudy, które nie znaczą nic dla takich młodzików jak wy, a które są konieczne, jeśli mam spełnić rolę wyzwoliciela Jahar. Gdybym tylko mógł wam zaufać! Gdybym mógł wam ufać!

– Chyba możesz, Phor Taku? – zasugerowałem.

Odniosłem wrażenie, że moje słowa lub ton uspokoiły go nieco.

– No tak! – powiedział głośno. – Czasami rzeczywiście zdaje mi się, że to możliwe.

– Łączy nas wspólny cel – podsunąłem. – A przynajmniej różne cele, które zbiegają się w tym samym punkcie: w Jahar. Połączmy więc siły. Chcemy dostać się do Jahar. O ile nam w tym pomożesz, my pomożemy tobie.

Przez dłuższą chwilę siedział cicho pogrążony w myślach.

– Tak właśnie zrobię – powiedział.

– Chodźcie za mną! – Po czym wstał z krzesła i poprowadził nas w stronę zamkniętych na klucz drzwi, broniących wejścia do tajnego laboratorium.

## ROZDZIAŁ 9

# SKRZYDLATA ŚMIERĆ

Laboratorium Phor Taka zajmowało całe skrzydło budynku i składało się z pojedynczego, olbrzymiego pomieszczenia, wysokiego na pełne pięćdziesiąt stóp. Skupione w jednym rogu stoły, szafy, ławy i instrumenty ginęły w wielkim wnętrzu. Pod sufitem, po całym obwodzie pomieszczenia biegła szyna, na której zawieszono model krążownika powietrznego pomalowany upiornym błękitem z Jahar. Na jednej z ław stał cylindryczny przedmiot długości mniej więcej dłoni. Tylko tyle, poza olbrzymią przestrzenią, rzucało się w oczy po wejściu do środka.

Kiedy Phor Tak wprowadził nas i zamknął drzwi, usłyszałem złowieszczy szczeł przekręcanego w zamku klucza. Sytuacja miała w sobie coś sugestywnie przygnębiającego, wywołanego być może świadomością, że naukowiec był obłąkany i podkreślonego jeszcze bardziej przez tajemniczy wygląd wielkiego pomieszczenia.

Starzec zaprowadził nas do ławy, gdzie stał cylindryczny przedmiot, który przyciągnął moją uwagę, i podniósł go ostrożnym, niemal pieśczośliwym ruchem.

– Oto model urządzenia, które przyniesie Jahar zagładę – oznajmił. – To najwyższe osiągnięcie w całej mojej pracy naukowej. Z wyglądu to tylko niewielki metalowy cylinder, ale w środku mieści się mechanizm czuły i delikatny jak ludzki mózg. Przekonacie się, że działa niemal, jakby kierował się własnym umysłem; zapewniam jednak, że jest całkowicie mechaniczny i można wytwarzać go szybko i tanio w dużych ilościach.



Zanim przystąpię do dalszych wyjaśnień, zademonstruję wam część jego możliwości. Patrzcie!

Trzymając cylinder w dłoni, podszedł do stojącej pod ścianą płytkiej szafy i otworzył ją, odsłaniając przed nami skomplikowaną tablicę pełną dźwigni, przełączników i przycisków.

– Patrzcie na model statku zawieszony na szynie pod sufitem – polecił, przekręcając jakiś przełącznik. Statek zaczął natychmiast przesuwać się ze sporą prędkością. Phor Tak wcisnął guzik na obudowie cylindra, który wystartował od razu z wyciągniętej dłoni, wykonał szybki zwrot i pomknął prosto na spotkanie statku. Odległość między nimi zmniejszała się powoli; cylinder manewrował ustawiając się stopniowo na kursie statku, po czym poleciał jego śladem, trzymając się ledwie parę stóp za rufą modelu. Naukowiec przesunął niewielką dźwignię na panelu sterowania i statek przyspieszył, skacząc do przodu. Cylinder błyskawicznie przyspieszył; widać było, że nabiera prędkości o wiele szybciej niż statek. W połowie pomieszczenia trafił rufę statku z taką siłą, że model zatrzęsł się cały. Następnie cylinder oddzielił się od niego i poszybował łagodnie w stronę podłogi. Phor Tak wcisnął przełącznik, zatrzymując statek w locie, po czym podbiegł, żeby złapać spadający cylinder.

– Zbudowałem model tak, aby po zetknięciu ze statkiem opadł łagodnie na podłogę – wyjaśnił, wracając do nas. – Z pewnością zrozumieliście już jednak, że wykorzystywana w praktyce bojowej uzbrojona wersja będzie wybuchać po zetknięciu ze statkiem. Spójrzcie na te wypustki, którymi jest pokryty. Kiedy któraś zetknie się z jakimś przedmiotem, model zatrzymuje się i spada. Uzbrojone urządzenie eksploduje, niszcząc przy tym wszystko, na co trafi. Wiecie, że wszelki rodzaj materii we wszechświecie posiada stałą częstotliwość wibracji wewnętrznych. Mechanizm cylindra można nastroić na dowolną częstotliwość. Ten model, na przykład, nastawiony jest na błękitną farbę ochronną, którą pomalowałem statek. Wyobraźcie sobie okręty Jahar unoszące się majestatycznie w formacji bojowej. Z pokładu

statku nieprzyjaciela, z ziemi albo z odległości tak wielkiej, że nawet by mnie nie zauważono, wypuszczam pewną ilość tych urządzeń odpowiadającą liczbie statków, robiąc parę chwil przerwy między kolejnymi falami. Pierwszy pocisk leci w stronę floty i niszczy najbliższy okręt. Lecące za nim rozciągają się w linię, przyciągane ochronnym malowaniem wszystkich statków. Pierwszy statek spada, a choć możliwe, że nie cała powłoka ochronna uległa zniszczeniu, nie zdoła uniknąć kolejnych pocisków, które niszczą statki obok, jeden po drugim, aż cała armada zostanie starta na pył. Unicestwiłem wielką flotę, nie narażając przy tym ani jednego człowieka po mojej stronie.

– Przecież zobaczą nadlatujące pociski i wymyślą jakiś sposób obrony przed nimi – podsunął Nur An. – Sporo można by zatrzymać choćby ogniem broni palnej.

– Pomyślałem i o tym – zaśmiał się skrzekliwie Phor Tak. Odłożył pocisk na ławę i otworzył kolejną szafkę.

Stała w niej pewna liczba naczyń, część szczelnie zamkniętych, inne znowu otwarte – w tych widać było zawartość, którą okazały się farby rozmaitych kolorów. Z niektórych naczyń wystawały trzonki pędzli. Trzonek jednego zdawał się wisieć w powietrzu o kilka cali nad półką, tuż pod nim zaś widać było fragment brzegu naczynia, który również sprawiał wrażenie zawieszzonego w próżni. Phor Tak wsunął dłoń pod ten pozbawiony podstawy brzeg, a kiedy wyjął ją z szafy, trzonek i fragment szkła poszybowały za nią, unosząc się nad palcami zagiętymi, jakby trzymały słój, jaki towarzyszy zwykle brzegom w rodzaju tego, który na moich oczach unosił się mniej więcej o cal nad palcami naukowca.

Starzec podszedł do ławy, gdzie odłożył cylinder, zachowując się, jakby stawiał na niej naczynie, a choć nie widzieliśmy z niego nic poza brzegiem, usłyszałem wyraźnie odgłos identyczny z tym, jaki wydaje stawiany na stole szklany słoik.

Wierzcie mi, byłem mocno zaintrygowany. Moją wyobraźnię rozpaliło jednak jeszcze bardziej to, co nastąpiło potem. Phor Tak chwycił trzonek pędzla i przesunął nim kilka cali nad metalowym pociskiem. Część cylindra, szeroka na około cal i długa na trzy do czterech cali, momentalnie zniknęła. Raz za razem przesunął dalej pędzlem, aż zniknął cały pocisk. Tam, gdzie leżał cylinder, ława była teraz pusta. Phor Tak zawiesił trzonek pędzla z powrotem w powietrzu nad pozbawionym podstawy brzegiem naczynia, po czym odwrócił się do nas z wypisaną na twarzy dziecinną dumą, zupełnie jakby chciał powiedzieć: „No i co wy na to? Prawda, że wspaniałe?”. Musiałem przyznać, że zjawisko wydawało mi się wręcz cudem. To, co zobaczyłem, zbiło mnie całkiem z tropu i zaintrygowało.

– Oto odpowiedź na twoją krytykę skrzydlatej śmierci, Nur Anie – powiedział głośno Phor Tak.

– Nie rozumiem – odparł mój druh ze zdziwieniem na twarzy.

– Jak to?! – spytał starzec. – Nie widziałeś, jak sprawiłem, że urządzenie stało się niewidzialne?

– Przecież zniknęło – zaryzykował Nur An.

Phor Tak roześmiał się wysokim, chrapliwym śmiechem.

– Nie widzisz go, ale wciąż tam jest – powiedział. – Patrz! – Chwycił Nur Ana za dłoń i zaprowadził go do miejsca, w którym leżał cylinder.

Widziałem, jak palce Nur Ana gładziły powierzchnię jakiegoś przedmiotu położoną parę cali nad blatem stołu.

– Na wszystkich przodków! Wciąż tu jest! – zawołał.

– To niesamowite! – stwierdziłem głośno. – Przecież nawet go nie tknąłeś, przesunąłeś tylko trzonkiem pędzla i zniknął.

– Owszem, dotknąłem go – tłumaczył Phor Tak. – Cały czas mieliście pędzel przed oczami, ale nie widzieliście go, ponieważ był pokryty związkami, dzięki którym skrzydlata śmierć stanie się niewidzialna. Zauważ, że z naczynia, w którym przechowuję niewidzialną farbę widać wyłącznie fragment brzegu, który tak się złożyło, nie został nią pokryty.

– Cudowne! – stwierdziłem. – Chociaż widziałem to na własne oczy, podobny cud ledwo mieści mi się w głowie.

– To nie cud a zwykłe zastosowanie znanych mi od stuleci zasad nauki – oznajmił Phor Tak. – Żaden rodzaj fal nie porusza się w linii prostej: światło, wzrok i siła elektromagnetyczna wędrują zakrzywionym torem. Niewidzialna farba zagina na zewnątrz wektor światła odbitego, które docierając do naszych oczu i oddziałując na nerw wzrokowy sprawia, że widzimy. Dzięki temu pokryte nią przedmioty stają się dla nas niewidoczne. Kiedy zacząłem pokrywać nią pocisk, wasz wzrok omijał pomalowane już fragmenty, a kiedy pokryłem całą powierzchnię cylindra, zagięcie wektora odbicia światła sprawiło, że stał się dla was z obu stron całkiem niewidzialny. Dlatego widzieliście tylko ławę, jakby urządzenia w ogóle tam nie było.

Pozorna prostota tego wyjaśnienia zdumiała mnie, a jako żołnierz dostrzegłem oczywiście od razu ogromną przewagę, jaką dałoby kontrolującemu je narodowi posiadanie tych dwóch sekretów nauki. Musiałem zdobyć je dla bezpieczeństwa, a wręcz dla dalszego bytu Helium, a gdyby okazało się to niemożliwe, Phor Tak musiał zginąć, zanim zdążyłby powierzyć sekret swoich piekielnych mocy komuś z innych narodów Barsoom. Miałem nadzieję, że zdołam zaskarbić sobie sympatię starca do tego stopnia, aby namówić go do przekazania obu tajemnic Helium w zamian za pomoc w zemście nad Tul Axtarem.

– Masz tu dwa sekrety, które w dłoniach dobrego i wielkodusznego mocarstwa zapewniłyby światu wieczny pokój, Phor Taku – powiedziałem.

– A na co mi pokój?! – odparł głośno. – Nie jest mi do niczego potrzebny! Chcę wojny. Wojny! Wojny!

– Świetnie – zgodziłem się, świadom, że moje sugestie nie odpowiadały szaleńczym procesom myślowym zachodzącym w jego obłąkanym umyśle. – Niech będzie wojna! Czy jest na Barsoom kraj lepiej do niej przygotowany niż Helium? Chcesz wojny? Zawrzyj z nami sojusz.

– Nie potrzeba mi Helium! – zawołał. – Niepotrzebne mi żadne sojusze! Wywołam wojnę i będę walczył sam. Za pomocą skrzydlatej śmierci mogę unicestwić całe floty, miasta i narody! Zacznę od Jahar! Tul Axtar jako pierwszy poczuje niszczycielską siłę mojej broni! Kiedy armada Jahar runie na dachy miasta, a jego mury zwałą się na głowę tyrana, obrócę się przeciw Tjanath. Następne będzie Helium. Dumne i potężne Helium zdrzży i padnie mi do stóp! Zostanę władcą całego świata, jeddakiem jeddaków! – jego głos zmienił się w przesywający wrzask. Starzec drżał, owładnięty histerią.

Musiał zginąć, nie tylko dla dobra Helium, ale całego Barsoom. Ten obłąkany umysł musiał zniknąć, gdyby okazało się, że nie mogłem pokierować nim dla własnych celów ani wkraść się w jego łaski. Postanowiłem jednak uciec się do wszelkich środków, które mogły przynieść korzystne rozwiązanie tej dziwnej przygody. Wiedziałem, że szaleńcy kierowali się czasem kaprysami i miałem nadzieję, że w jednej z takich chwil starzec zdradzi mi sekret skrzydlatej śmierci oraz niewidzialnej farby. Oznaczało to dla niego chwilowe odroczenie wyroku śmierci; spełnienie moich nadziei równałoby się ułaskawieniu, wiedziałem jednak, że musiałem zachować czujność: najmniejsza sugestia podstępu z mojej strony wzbudziłaby w starym naukowcu podejrzenia, a wtedy wydałbym wyrok śmierci na siebie.

Tej nocy rzucałem się długo na posłaniu, dręczony niepewnością i myślami. Czułem, że musiałem osiąść tajemnice Phor Taka, ale jak miałem tego dokonać? Wiedziałem, że istniały tylko w jego głowie, ponieważ zdradził mi, że nie posiadał żadnych zapisanych planów, przepisów czy specyfikacji któregośkolwiek z wynalazków. Musiałem znaleźć sposób, żeby wyciągnąć je z niego, a najlepszym wydawało się pozyskiwanie jego przychylności. Stąd, w miarę możliwości, musiałem dążyć do realizacji jego planów.

Tuż przed zaśnięciem wróciłem myślami do Sanoma Tory i mojej pilnej misji, która rzuciła mnie na spotkanie najdziwniejszej przygody w całym

moim życiu. Poczulem ukłucie wyrzutów sumienia, uświadomiwszy sobie nagle, że kiedy tak leżałem, snując plany na przyszłość, to nie ona dominowała w moich myślach. Teraz jednak, wraz ze wspomnieniem o niej pojawił się zarys planu, który umożliwiłby mi nie tylko uratowanie jej, ale i zdobycie przychylności Phor Taka. Z ulgą w sercu, zasnąłem.

Następnego rana upłynęło sporo czasu, zanim miałem okazję porozmawiać ze starym wynalazcą. Bez ogródek wszedłem na zajmujący mnie temat.

– Twoją słabością jest brak wiedzy o tym, co się dzieje w Jahar, oraz o wielkości i pozycji floty Tul Axtara – powiedziałem. – Udamy się tam z Nur Anem i zdobędziemy informacje, których potrzebujesz, jeśli twoje plany mają zakończyć się powodzeniem. Tym samym zadamy cios Tul Axtarowi, a równocześnie będziemy mogli zająć się sprawami, które wymagają naszej obecności w Jahar.

– Ale jak tam dotrzecie? – chciał wiedzieć Phor Tak.

– Może użyczyłbyś nam statku? – zaproponowałem.

– Nie mam żadnego – odpowiedział. – Nie znam się na nich. Nie interesują mnie. Nie potrafiłbym nawet takiego zbudować.

Stwierdzenie, że poczułem się wstrząśnięty i zdziwiony, byłoby sporym niedopowiedzeniem. Nawet gdybym żywił do tej pory jakieś wątpliwości co do obłądu starca, to jego oświadczenie o braku wiedzy na temat statków powietrznych rozwiałyby je ostatecznie. Sądziłem bowiem, że wśród korzystających z nich narodów trudno byłoby znaleźć kogoś – mężczyznę, kobietę czy dziecko – kto nie potrafiłby zbudować takiego czy innego latającego pojazdu.

– Zatem jak chciałeś bez statków przewieźć skrzydlatą śmierć w pobliże floty Jahar? Jak zamierzałeś zniszczyć pałac Tul Axtara i obrócić miasto w gruzy?

– Teraz, kiedy mam was do pomocy, mogę postawić was nad niewolnikami, którzy z łatwością wyprodukują tuzin pocisków dziennie.

Zostaną wystrzelone zaraz po zrobieniu ich, a prędzej czy później trafią do Jahar i tamtejszej floty. Na pewno tam trafią, nie ma cienia wątpliwości, nawet gdyby miało im to zająć rok.

– O ile nic nie przetnie im przypadkiem drogi – zasugerowałem. – Ale nawet gdyby tak się stało, jaką przyjemność będziesz miał z zemsty, jeśli nie zobaczysz jej na własne oczy?

– Owszem, myślałem o tym – odparł Phor Tak. – Ale nie można przecież mieć wszystkiego.

– To akurat jest możliwe – stwierdziłem.

– W jaki sposób? – chciał wiedzieć.

– Jeśli zabierzesz pociski na pokład statku i polecisz do Jahar – odpowiedziałem.

– Nie! – stwierdził definitywnie. – Zrobię to po swojemu. Kto dał ci prawo wtrącać się w moje plany?

– Chcę tylko pomóc – powiedziałem, próbując udobruchać go pojednawczym tonem i postawą.

– Jest jeszcze coś, co przemawia za planem Hadrona – dodał Nur An.

– Zmówiliście się przeciwko mnie – stwierdził Phor Tak.

– Ależ skąd! – zapewnił go Nur An. – Nasze sugestie płyną ze szczerzej chęci pomocy.

– Co w takim razie proponujesz? – zapytał starzec.

– Po upadku Jahar rozważasz zniszczenie floty Tjanath i Helium – powiedział mój towarzysz. – Nie możesz oczekiwać, przynajmniej w przypadku floty Helium, że uda ci się to z tak wielkiej odległości i bez wiedzy o liczbie ich statków. Dalej, ich statki nie będą przyciągać twoich pocisków tak samo, jak statki z Jahar, ponieważ nie są pokryte tą błękitną farbą ochronną. A zatem będziesz musiał udać się w okolice Tjanath, a następnie Helium, i dla własnego bezpieczeństwa zabezpieczyć swój statek farbą ochronną, ponieważ niczego nie możesz być pewny, chyba że unicestwiając flotę Jahar i jej dezintegratory znajdziesz się na ziemi.

– Racja – przyznał Phor Tak po namyśle.

– Co więcej – ciągnął Nur An – jeśli wyślesz więcej pocisków niż trzeba, to warstwa ochronna twojego statku z całą pewnością przyciągnie te, które nie trafią w żaden cel, i w ten sposób padniesz ofiarą własnego wynalazku.

– Rujnujesz wszystkie moje plany! – krzyknął nagle Phor Tak. – Dlaczego musiałeś o tym pomyśleć?

– Zginąłbyś, gdybym tego nie zrobił – przypomniał Nur An.

– I co mam teraz zrobić? Nie mam statku i nie potrafię go zbudować.

– Możemy pomóc ci go zdobyć – oznajmiłem.

– W jaki sposób?

Rozmowa Nur Ana z naukowcem podsunęła mi pewien plan, który teraz z grubsza nakreśliłem. Nur An zapalił się do mojego pomysłu, ale Phor Tak nie sprawiał wrażenia przesadnie zainteresowanego. Nie rozumiałem przyczyn jego sprzeciwu i w gruncie rzeczy nie obchodziły mnie zbytnio, ponieważ uznał w końcu, że posłucha moich sugestii.

Do laboratorium przylegała dobrze wyposażona maszynownia, gdzie mozoliliśmy się z Nur Anem przez kilka tygodni, korzystając z pomocy tuzina niewolników, aż udało nam się zbudować najbardziej niezwykły statek powietrzny, jaki widziałem. Zwięźle rzecz ujmując, miał kształt spłaszczonego na obu końcach cylindra, podobnego do modelu skrzydlatej śmierci. Zewnętrzna powłoka mieściła w sobie drugi, mniejszy cylinder; między ich ścianami umieściliśmy zbiorniki wypornościowe. Na obu burtach, dziobie i rufie statku zamontowaliśmy w ścianach i zbiornikach okienka obserwacyjne, które można było zasłonić za pomocą sterowanych z wnętrza pojazdu osłon, zamocowanych na zewnętrznych zawiasach. Statek wyposażony był w dwa włązy umieszczone w podłodze i dwa na górze, które wychodziły na wąską kładkę na grzbiecie kadłuba. Uzbrojenie składało się z dwóch dezintegratorów umieszczonych w wieżyczkach z przodu i na rufie. Nad sterami zamontowaliśmy peryskop,



przesyłający obraz wszystkiego, co pojawiało się w jego polu widzenia, na umieszczony przed pilotem ekran ze szlifowanego szkła. Zewnętrzną powłokę statku pokryliśmy najpierw upiornym błękitem chroniącym go przed promieniami dezintegracji, po czym zamalowaliśmy ją warstwą niewidzialnej farby. W ten sam sposób zabezpieczyliśmy osłony okien, przez co po ich zamknięciu statek stawał się praktycznie niewidzialny, a jedynym widocznym punktem było małe oko peryskopu.

Nie posiadając dostatecznej wiedzy, żeby pokusić się o zbudowanie silnika nowego typu, musiałem zadowolić się znacznie mniej wydajnym, staromodnym napędem.

Wreszcie skończyliśmy pracę. Zbudowaliśmy statek, który z powodzeniem mógł pomieścić cztery osoby, co wydawało się niesamowite, skoro po opuszczeniu osłon widać było tylko małe oko peryskopu, a i ono pozostawało ukryte, dopóki nie obróciło się w stronę patrzącego.

Zauważyłem, że w miarę jak nasza praca zbliżała się do końca, Phor Tak stawał się coraz bardziej nerwowy i rozdrażniony. Czepiał się wszystkiego, a parę razy omal nie przerwał budowy statku.

Ostatecznie byliśmy gotowi do lotu. Zaopatrzyliśmy statek w wodę, żywność i amunicję, a w ostatniej chwili – za co miałem później dziękować przodkom – zamontowałem w nim kompas sterujący.

Jednak kiedy zaproponowałem, żebyśmy polecieeli od razu, Phor Tak zaprotestował, nie chcąc podać powodu tego sprzeciwu.

Prędko straciłem cierpliwość i wypaliłem, że polecimy tak czy owak, z jego zgodą czy bez niej.

Nie wpadł w szal, jak się spodziewałem, a roześmiał się tylko. Coś w tym śmiechu sprawiało, że wydawał się straszniejszy niż gniew.

– Macie mnie za głupca – powiedział. – Sądzicie, że pozwolę wam odejść i zanieść moje tajemnice Tul Axtarowi, ale mylicie się.

– Tak samo, jak ty! – uciałem. – Mylisz się, myśląc że zdradzilibyśmy cię oraz że uda ci się zatrzymać nasz odlot.

– Ależ skąd! – zaśmiał się zgrzytliwie. – Nie muszę powstrzymywać was przed odlotem; wystarczy, że nie dopuszczę, żebyście dolecieli do Jahar czy gdziekolwiek indziej. Kiedy pracowaliście nad tym statkiem, nie próżnowałem. Zbudowałem skrzydlatą śmierć pełnej wielkości i nastawiłem ją na wasz pojazd. Jeśli wylecicie stąd wbrew mojej woli, wyślę ją za wami i zniszczę was. No i co powiecie?

– To, że jesteś starym głupcem – oświadczyłem, zdjęty złością. – Masz szansę skorzystać ze szczerzej pomocy ludzi honoru, a mimo to wolisz mieć w nich nieprzyjaciół.

– Nieprzyjaciół, którzy nie zdołają mi zaszkodzić – przypomniał. – Wasze życie jest w moim ręku. Staraliście się ukryć, co naprawdę chodzi wam po głowach, ale nie dość dobrze. Widziałem dość, żeby przekonać się, że macie mnie za szaleńca. Odniosłem również wrażenie, że nie cofniesz się przed niczym, żeby nie dopuścić do tego, abym użył swojej mocy przeciw Helium. Nie wątpię, że pomożesz mi w starciu z Jahar, a może i Tjanath, ale moim celem jest właśnie Helium, najbardziej dumne i najpotężniejsze imperium na Barsoom. Nawet jeśli będę musiał zniszczyć cały świat, aby osiągnąć swój cel, Helium ogłosi mnie najwyższym jeddakiem.

– A zatem cała nasza praca na darmo? – zapytałem. – Nie użyjemy statku, który zbudowaliśmy?

– Możemy z niego skorzystać – powiedział. – Ale na moich warunkach.

– Jakich? – chciałem wiedzieć.

– Możesz polecieć do Jahar sam, Nur An zostanie tu jako zakładnik. Zginie, jeśli mnie zdradzisz.

Nie dało się go przekonać; nie trafiały do niego żadne argumenty. Próbowałem wyperswadować mu, że w pojedynkę niewiele albo wręcz nic nie zdziałam, ale starzec był nieugięty: miałem lecieć sam albo wcale.



## ROZDZIAŁ 10

# NIECH ROZPALĄ OGIEŃ!

Kiedy wzniosłem się w rozgwieżdżony blask nocnego nieba Barsoom, biały zamek Phor Taka leżał przede mną jak śliczny klejnot skąpany w miękkim świetle Thurii. Leciałem sam: Nur An został jako zakładnik obłąkanego naukowca. Musiałem wrócić tu dla niego; co prawda, Nur An nie wymógł na mnie takiej obietnicy, ale wiedział, że wrócę.

Dwa tysiące pięćset hundred haadów na wschód czekało Jahar, a w nim Sanoma Tora. Półtora tysiąca haadów na południowy zachód były Tjanath i Tavia. Obróciłem dziób statku ku ukochanej kobiecie, gdzie prowadził mnie obowiązek, i niewidzialny pojazd ruszył z pełną prędkością w stronę Jahar.

Myśli nie mogłem jednak kontrolować. Choć próbowałem skupić się na celu mojej przygody, moje myśli wracały uparcie do więziennej wieży, głowy pełnej zmierzwionych włosów i krągłego ramienia, które spoczywało kiedyś na moim. Otrząsnąłem się, próbując uwolnić się od tych wizji towarzyszących nocnej wędrówce, ale obraz stale wracał, a z nim okropne myśli o tym, co mogło przydarzyć się Tavii pod moją nieobecność.

Ustawiłem kompas sterujący na Jahar, którego dokładne położenie podał mi naukowiec, i uwolniony tym samym od konieczności siedzenia przy sterach, zająłem się przeglądem wnętrza statku. Sprawdziłem amunicję do dezintegratora i ułożyłem ją ponownie według swoich planów.

Phor Tak zaopatrzył mnie w trzy typy zbiorników promieni: jedne niszczyły metal, inne drewno, trzecie z kolei – ciało ludzkie. Zabrałem też

coś, czego odmówił mi, kiedy go o to poprosiłem. Dotknąłem kieszeni na uprząży, żeby upewnić się, że nadal miałem przy sobie fiolkę, której zawartość mogła – jak przypuszczałem – okazać się niezmiernie cenna.

Podniosłem osłony okien i poprawiłem ustawienie wentylatorów, ponieważ wewnątrz niezwykłego pojazdu było co najmniej duszne i ciasne dla kogoś przyzwyczajonego do otwartych pokładów szybkich statków zwiadowczych Helium. Następnie przygotowałem sobie posłanie i położyłem się, wiedząc, że kiedy znajdę się nad Jahar, kompas sterujący zatrzyma statek, a gdybym wciąż spał, obudzi mnie alarm. Sen jednak nie chciał nadejść. Myślałem o Sanoma Torze. Miałem przed oczami jej zimne, posągowe oblicze, ale jej wyniosłe spojrzenie rozmywało się stale, zmieniając się w oczy Tavii, rozpromienione radością życia i delikatnym blaskiem przyjaźni.

Zdążyłem oddalić się dobrze od Jhamy, kiedy zerwałem się w końcu z mocnym postanowieniem w sercu, podszedłem do sterów, wyłączyłem kompas sterujący i szybkim ruchem obróciłem dziób statku w stronę Tjanath.

Kości zostały rzucone. Czułem, że powinienem czuć wyrzuty sumienia i odrazę do siebie samego, ale nie odczuwałem nic podobnego. Cieszyłem się na myśl, że pędzę na pomoc przyjaciółce i w najgłębszych zakamarkach serca wiedziałem, że z nich obu to Tavia miała większe prawo do mojej przyjaźni niż Sanoma Tora, która darzyła mnie co najwyżej skąpą uprzejmością.

Nie próbowałem już się kłaść. Nie miałem ochoty na sen; zostałem przy sterach i obserwowałem przemykający w dole pustynny krajobraz. Z nadejściem świtu ujrzałem przed sobą Tjanath. Kiedy zbliżyłem się do miasta, trudno mi było pamiętać, że mogłem zrobić to z pełną bezczelnością, skoro po opuszczeniu osłon mój statek stał się całkiem niewidzialny. Zwolniłem i zatoczyłem koło nad pałacem Haj Osisa. W częściach gmachu zwieńczonych płaskimi dachami widać było

zaspanych strażników. Straż przy głównym hangarze pełnił tylko jeden wojownik.

Unosiłem się nad wschodnią wieżą, wyobrażając sobie Tavię skuloną w dole na posłaniu. Ależ zdziwiłaby się, wiedząc, że byłem tak blisko!

Zszedłem niżej i okrążyłem wieżę, zatrzymując się ostatecznie naprzeciw okien celi, w której trzymano ją wcześniej. Manewrowałem, żeby ustawić jedno z okien statku naprzeciw okna celi, na tyle blisko, żebym mógł zajrzeć do wnętrza. Ale choć unosiłem się w tym samym miejscu przez jakiś czas, nie zobaczyłem nikogo i ostatecznie nabrałem przekonania, że Tavię przeniesiono gdzie indziej. Poczułem rozczarowanie, ponieważ w oczywisty sposób komplikowało to mocno moje plany ratowania jej. Spodziewałem się niewielkich trudności przy przenoszeniu Tavii w nocy przez okno wieży na pokład statku; teraz musiałem całkowicie zmienić plany. Naturalnie, wszystko zależało od tego, czy uda mi się ją znaleźć, a w tym celu musiałem oczywiście zapuścić się do środka pałacu. Od chwili opuszczenia statku, na każdym kroku groziłoby mi wtedy śmiertelne niebezpieczeństwo, a ubrany w skromną uprząż wykonaną przez niewolników Phor Taka, wzbudziłbym podejrzenia pierwszej osoby, która by mnie zauważyła.

Musiałem wejść do pałacu, a żeby zapewnić sobie przy tym choć trochę bezpieczeństwa, potrzebowałem przebrania.

Oslony okien były opuszczone, moim jedynym okiem był peryskop. Obracałem nim powoli, próbując ułożyć jakiś plan, który miałby choć niewielką szansę na sukces.

Kiedy panorama pałacu przesuwała się powoli na ekranie przede mną, ujrzałem na nim główny hangar i pilnującego go samotnego wojownika. Zatrzymałem peryskop. Znalazłem sposób na przedostanie się do wnętrza pałacu i przebranie!

Zacząłem manewrować powoli w stronę hangaru, aż posadziłem statek na jego dachu. Chętnie bym go tam zakotwiczył, ale nie miałem pod ręką

żadnych dostępnych narzędzi. Musiałem zdać się na ciężar statku i mieć nadzieję, że nie zerwie się silny wiatr.

Wiedząc, że z chwilą opuszczenia pokładu stracę osłonę niewidzialności, czekałem wpatrzony w peryskop, dopóki wartownik w dole nie odwrócił się do mnie plecami, po czym wyszedłem przez górny włącz i opuściłem się na dach hangaru od strony, po której stał wartownik. Znalazłem się około czterech stóp od krawędzi dachu, a wartownik stał niemal dokładnie przede mną, obrócony do mnie plecami. Gdyby odwrócił się teraz, zobaczyłby mnie natychmiast i podniósłby alarm, zanim zdążyłbym go zaatakować. Moją jedyną szansą było uciszenie go, zanim zauważy zagrożenie.

Doświadczenia Johna Cartera nauczyły mnie, że zwykle pierwsze pomysły przychodzą nam do głowy pod wpływem inspiracji, podczas gdy zwlekanie z działaniem, żeby przemyśleć sprawę na trzeźwo, może zakończyć się porażką albo opóźnić czyn do tego stopnia, że odbierze nam wszelkie szanse powodzenia.

Poddałem się więc działaniu natchnienia. Podeszedłem bez wahania do krawędzi dachu i zeskoczyłem na szerokie plecy strażnika, ściskając w dłoni wąski sztylet.

Koniec był szybki. Sądzę, że biedak nie wiedział nawet, co go spotkało. Przeciągnąłem ciało do hangaru i zerwałem z niego uprząż, równocześnie niemal automatycznie przyglądając się stojącym w nim statkom. Poza jednym patrolowcem, wszystkie miały na sobie osobiste znaki jeda Tjanath. Statki należały do króla: był tu dobrze uzbrojony reprezentacyjny krążownik, dwa mniejsze statki wycieczkowe, oraz dwuosobowy i jednoosobowy pojazd zwiadowczy. Oczywiście, w zestawieniu ze statkami z Helium nie miały wielkiej wartości, ale byłem przekonany, że stanowiły zdecydowanie szczyt osiągnięć technicznych Tjanath. Posiadając jednak własny pojazd, nie przyglądałem im się dokładniej, tyle tylko, że od zawsze ciekawią mnie wszelkiego rodzaju jednostki latające.

Niedaleko od miejsca, gdzie stałem, było wejście na pochylnię prowadzącą do pałacu. Wiedząc, że sukces zapewni mi tylko śmiałe działanie, podszedłem prosto do niej i zacząłem schodzić. Ze zgrozą ujrzałem, że już za pierwszym zakrętem pochylnia prowadziła prosto przez wartownię, w której na podłodze spoczywało na posłaniach dwudziestu wojowników.

Nie ośmieliłem się zatrzymać; musiałem iść dalej. Może udałoby mi się ominąć ich, nie wzbudzając zainteresowania. Zanim wszedłem do pomieszczenia, zdążyłem rozejrzeć się przez chwilę, widząc w środku wyłącznie żołnierzy, którzy najwyraźniej pogrążeni byli we śnie. Chwilę później wszedłem do środka i odkryłem, że poza nimi nie było tam nikogo. Strażnicy spali co prawda na podłodze, ale z pokoju obok dobiegły mnie jakieś głosy. Przeszedłem szybko przez wartownię i wszedłem na rampę po drugiej stronie.

Kiedy przemykałem przez pokój pełen śpiących żołnierzy, serce zamarło we mnie na chwilę, ponieważ wiedziałem, że gdyby choć jeden z nich obudził się, z pewnością zauważyłby od razu, że nie należałem do jego towarzyszy.

Na niższych kondygnacjach pałacu niebezpieczeństwo było mniejsze, ponieważ w pałacu jeda przebywa tylu ludzi, że nikt nie może znać ich wszystkich z wyglądu, wobec czego widok nieznanomych twarzy jest prawie tak samo zwyczajny jak na ulicach miasta.

Zamierzałem dostać się do pokoju w wieży, gdzie trzymano Tavię, przekonany, że ze statku nie widziałem jednak całego wnętrza i Tavia mogła tam być.

Konstrukcja statku nie pozwalała ściągnąć na siebie jej uwagi bez uniesienia władu i narażania się na zdradzenie swojej obecności, co stwarzałoby zbyt wielkie szanse niepowodzenia, aby usprawiedliwić podobne działanie.



Może powinienem poczekać do nocy, a może okazałem się zbyt niespokojny i wystawiałem się na znacznie większe niebezpieczeństwo niż to było konieczne. Dopiero teraz pomyślałem o tym, strofując się w myślach, ale zaszedłem już za daleko, żeby się cofnąć. Cokolwiek miało się stać, nie było odwrotu.

Idąc w dół i mijając kolejne piętra, starałem się znaleźć znajome szczegóły, które pomogłyby mi trafić do wschodniej wieży, aż wreszcie wyszedłszy do korytarza na kolejnym piętrze, prawie dokładnie przed sobą ujrzałem drzwi, które od razu rozpoznałem: wejście do biura klucznika, Yo Seno.

– Świetnie! – pomyślałem. – Los mi sprzyja.

Podszedłem do drzwi, otworzyłem je i wszedłem do pokoju, zamykając je za sobą. Yo Seno siedział przy biurku. Był sam. Nie podniósł nawet wzroku. Należał do rodzaju ludzi aroganckich – małych ludzi obdarzonych niewielką władzą – którzy lubią obnosić się ze swoją rangą przed podwładnymi. Stąd niewątpliwie brał się jego zwyczaj ignorowania gości przez chwilę czy dwie. Tym razem jednak popełnił błąd. Zamknąwszy cicho drzwi, przeszedłem na drugą stronę pomieszczenia i zamknąłem również wejście do pokoju obok.

Dopiero wtedy, niewątpliwie zaciekawiony, klucznik podniósł wzrok. Nie rozpoznał mnie w pierwszej chwili.

– Po coś tu przyszedł? – zapytał burkliwie.

– Po ciebie, Yo Seno – odpowiedziałem.

Przyglądał mi się przez chwilę z rosnącym zdumieniem, po czym zerwał się na równe nogi, otwierając szeroko oczy.

– To ty? – krzyknął. – Na Issus, to niemożliwe! Przecież ty nie żyjesz!

– Wróciłem z grobu, żeby się na tobie zemścić – powiedziałem.

– Czego chcesz? – zawołał. – Odsuń się! Jesteś aresztowany.

– Gdzie jest Tavia? – zapytałem.

– Skąd mam wiedzieć? – odparł.

– Jesteś klucznikiem, Yo Seno. Kto lepiej niż ty może wiedzieć, gdzie trzymacie więźniów?

– Nawet jeśli wiem, co z tego? Nie powiem – rzucił.

– Powiesz albo zginiesz – ostrzegłem.

Wyszedł zza biurka i stanął blisko mnie. Nagle, bez ostrzeżenia, z o wiele większą szybkością niż gotów byłbym mu przyznać, wyrwał z pochwy długi miecz i ruszył na mnie.

Musiałem odskoczyć do tyłu, żeby uniknąć pierwszego ciosu, ale kiedy zamachnął się po raz drugi, zdążyłem już sięgnąć po własny miecz i przeszedłem do obrony. Yo Seno okazał się całkiem niezłym przeciwnikiem. Potrafił posługiwać się bronią i wiedział, że walczy o życie. Zastanawiałem się początkowo, dlaczego nie wzywał pomocy, po czym doszedłem do wniosku, że inaczej niż przy mojej pierwszej wizycie, w sąsiednim pomieszczeniu nie było nikogo. Walczyliśmy w ciszy, przerywanej tylko zgrzytem metalu o metal, podkreślającym śmiertelny charakter walki.

Chciałem skończyć z nim szybko i napierałem mocno, kiedy użył sztuczki, która omal mnie nie zgubiła. Przyparłem go do biurka, sądząc, że stamtąd mi już nie ucieknie. Nie zauważyłem jednak lewej dłoni za jego plecami ani ciężkiej wazy, której szukał. Chwilę później ujrzałem za to, jak poleciała prosto w moją głowę i zauważyłem lukę w obronie Yo Seno, którą zostawił mierząc we mnie i opuszczając na chwilę miecz. Uchyliłem się przed wazą i przeszedłem do zwarcia, przebijając jego serce mieczem.

Ocierając ostrze z krwi o włosy klucznika, nie mogłem pozbyć się uczucia uniesienia wywołanego faktem, że zabiłem krzywdziciela Phao i w pewnej mierze pomściłem honor mojego przyjaciela, Nur Ana.

Nie było jednak czasu na rozważania. Z korytarza na zewnątrz dobiegały zbliżające się kroki, chwyciłem więc prędko trupa i przeciągnąłem go w stronę panelu zasłaniającego wejście do tajnego przejścia do pokoju

we wschodniej wieży: tego samego, w którym spędziłem chwile szczęścia sam na sam z Tavią.

Pomny raczej na własny pośpiech niż szacunek dla zwłok, zwałem ciało Yo Seno w ciemnym korytarzu, po czym zasunąłem panel za sobą i wymacując w ciemności drogę, ruszyłem w stronę pokoju w wieży z nadzieją, że znajdę w nim Tavię.

Zbliżając się do wyjścia na drugim końcu przejścia, czułem jak serce wali mi w piersi. Nie przywykłem do tego uczucia i nie potrafiłem go wyjaśnić. Wierzyłem, że pod względem fizycznym stanowiłem okaz zdrowia, a choć zdarza się, że zaskoczenie lub zagrożenie powoduje u pewnych mężczyzn, choćby i wyjątkowo odważnych, palpacje serca, sam jeszcze nigdy tego nie doświadczyłem i muszę przyznać, że czułem się mocno zaintrygowany.

Nadzieja na rychłe spotkanie z Tavią sprawiła, że zapomniałem szybko o tym nieprzyjemnym odczuciu i kiedy stanąłem przy wyjściu, wszystkimi myślami skupiłem się na miłych rozważaniach o tym, czego spodziewałem się za ścianą: upragnionym spotkaniu z najlepszą z przyjaciółek.

Miałem już unieść zapadkę i przesunąć panel, kiedy moją uwagę przyciągnęły dobiegające z pokoju głosy. Słyszałem głosy kobiety i mężczyzny, ale nie rozróżniałem słów. Ostrożnie uchyliłem panel na tyle, aby móc zajrzeć do wnętrza pomieszczenia.

Na widok tego, co ujrzałem, waleczna krew zagotowała mi się w żyłach. Młody wojownik w bogatym stroju, stał na środku pokoju, ściskając Tavię za rękę i ciągnąc ją w stronę drzwi. Tavia wyrywała mu się, tłukąc go pięścią.

– Nie bądź głupia! – warknął mężczyzna. – Haj Osis oddał mi ciebie. Los mojej niewolnicy jest lepszy niż większości wolnych kobiet.

– Wolę więzienie lub śmierć! – odparła Tavia.

Phao stała bezradnie z boku, z oczami pełnymi współczucia dla Tawii. Jasne było, że nie mogła nic zrobić w obronie przyjaciółki, ponieważ strój

wojownika wskazywał na jego wysoką rangę. Nie widziałem w tej chwili dokładnie jaką, ponieważ nie interesowało mnie to wcale. Przesadziłem jednym skokiem odległość dzielącą mnie od środka pokoju i chwyciwszy go mocno za ramię, rzuciłem nim do tyłu tak mocno, że upadł jak długi. Od strony Phao i Tavii dobiegł mnie okrzyk zaskoczenia oraz moje imię wypowiedziane miękkim głosem mojej przyjaciółki.

Kiedy wyjąłem miecz, wojownik podniósł się niezgrabnie, ale nie sięgnął po ostrze.

– Głupcze! Idioto! Kanalio! – wrzasnął. – Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś? Nie wiesz, kim jestem?

– Za chwilę ważne będzie to, kim byłeś – odparłem cicho. – Broń się!

– Nie! – powiedział głośno, cofając się. – Nosisz uprząż i odznakę żołnierza straży. Nie możesz podnieść miecza na syna Haj Osisa. Cofnij się, człowieku! Jestem księżę Haj Alt!

– Gdyby tylko Issus sprawiła, abyś okazał się samym Haj Osisem – odpowiedziałem. – Cóż, wiedza, że zabiłem jego potomka będzie przynajmniej jakąś pociechą. Broń się, głupcze, chyba że chcesz zginąć jak sorak!

Cofał się nadal i rozglądał ze wszelkimi oznakami zgrozy wypisanymi na twarzy o rysach słabeusza. Zauważył panel, który nieopatrznie pozostawiłem uchylony, i zanim zdołałem go powstrzymać, wskoczył do przejścia i zamknął go za sobą. Rzuciłem się za nim, ale zamek zdążył się zatrzaskać, a nie wiedziałem, gdzie szukać otwierającego go mechanizmu.

– Szybko, Phao! – zawołałem. – Znasz sekret tego przejścia! Otwórz je! Nie możemy pozwolić, żeby uciekł, inaczej podniesie alarm i wszyscy będziemy zgubieni!

Phao podbiegła do mnie i położyła kciuk na przycisku ukrytym zmyślnie w bogatych rzeźbach pokrywających ściany drewnianych paneli. Czekałem

bez tchu, ale wejście ani drgnęło. Phao naciskała gorączkowo raz po raz, po czym odwróciła się do mnie z gestem bezradności i rezygnacji.

– Gmerał przy zamku od drugiej strony – stwierdziła. – To chytry łotr i na pewno o tym pomyślał.

– Musimy iść za nim – powiedziałem. Uniósłszy miecz i wymierzyłem w panel mocny cios, który zmiażdżyłby o wiele grubsze deski. Udało mi się tylko zarysować powierzchnię, odłupując od niej niewiele grubszy od paznokcia fragment. Za to rysa, jaką przy tym zrobiłem, odsłoniła przed nami straszną prawdę: panel wykonano z forandusu, najłżejszego i najtwardszego metalu znanego na Barsoom. Odwróciłem się. – To na nic – stwierdziłem. – Nie da się przebić forandusu stalą.

Tavia podeszła do nas i stała w milczeniu, patrząc mi w twarz. W oczach wezbrały jej łzy i wargi zaczęły jej drżeć.

– Och, Hadronie! – westchnęła. – Wróciłeś z za grobu! Ale po co wróciłeś tutaj?! Tym razem nie popełnią błędu.

– Wiesz, dlaczego wróciłem, Tawio – odpowiedziałem.

– Powiedz – szepnęła miękki głosem.

– Po przyjaźń – oznajmiłem. – I po najlepszą przyjaciółkę, jaka kiedykolwiek chodziła po tym świecie.

Początkowo zdawała się zdziwiona tymi słowami, po czym jej wargi wykrzywił dziwny uśmiešek.

– Wolę przyjaźń Hadron z Hastor niż jakikolwiek inny dar, który mógłby dać mi świat – oznajmiła.

To było miłe z jej strony i byłem wdzięczny za te słowa, ale nie rozumiałem, dlaczego uśmiechała się przy tym w tak dziwny sposób. Nie miałem jednak czasu na rozwiązywanie zagadek; najważniejszą kwestią było w tej chwili nasze bezpieczeństwo. Przypomniałem sobie o fiolce w kieszeni na uprzęży. Ogarnąłem pokój szybkim spojrzeniem. Zauważyłem w kącie stertę posłań. Może udałoby mi się znaleźć tam coś, co przydałoby się w realizacji moich zamiarów: gdybym miał dość czasu,

zawartość fiołki mogła jeszcze zapewnić nam wszystkim wolność. Przebiegłem przez pokój i zacząłem przetrząsać futra i jedwabie, aż znalazłem trzy kawałki tkaniny najlepiej nadające się do moich celów. Otworzyłem kieszeń, żeby wyjąć z niej fiołkę i w tej samej chwili usłyszałem w korytarzu dudnienie biegnących stóp i szcęk broni.

Za późno! Strażnicy byli już u drzwi. Zapiąłem kieszeń i czekałem. W pierwszej chwili chciałem rzucić się do walki, kiedy tylko wejdą do pomieszczenia, ale porzuciłem ten pomysł jako nie tylko bezużyteczny, ale i szkodliwy, ponieważ mógł skończyć się tylko moją śmiercią, podczas gdy czas mógł dać mi jeszcze szansę do skorzystania z zawartości fiołki.

Drzwi otworzyły się szeroko i w korytarzu na zewnątrz ukazało się pół setki wojowników. Do pomieszczenia wszedł padwar straży, a za nim jego ludzie.

– Poddaj się! – rzucił.

– Nie podniosłem na was broni – odpowiedziałem. – Chodź tu i weź ją.

– Przyznajesz, że to ty napadłeś na księcia Haj Alta? – zapytał.

– Owszem – odparłem.

– Czy te kobiety mają z tym coś wspólnego?

– Nie. Nie znam ich. Przyszedłem tu za księciem, ponieważ myślałem, że znajdę okazję do zabicia go, co od dawna zamierzałem.

– Dlaczego chciałeś go zabić? – zapytał padwar. – Czy masz z nim jakiś zatarg?

– Nie – odrzekłem. – Ktoś mnie do tego wynajął.

– Kto taki? – chciał wiedzieć.

Roześmiałem się mu się w twarz. Powinien wiedzieć, że żaden zawodowy zabójca z Barsoom nie odpowiedziałby na to pytanie. Członkowie tego starożytnego bractwa przestrzegają skrupulatnie kodeksu etyki zawodowej i bardzo rzadko, o ile w ogóle, udaje się przekonać ich lub zmusić do ujawnienia nazwiska zleceniodawcy.

Zauważyłem, że Tavia skupiła na mnie wzrok i zdawało mi się, że dostrzegłem w jej spojrzeniu pytanie, ale byłem pewny, że wiedziała, iż moje kłamstwo miało chronić ją i Phao.

Żołnierze wypchnęli mnie z komnaty i poprowadzili korytarzami i pochylniami w dół pałacu, podczas gdy padwar wypytywał mnie, próbując poznać moją prawdziwą tożsamość. Z ogromną ulgą zauważyłem, że nie rozpoznali mnie i miałem nadzieję, że w dalszym ciągu uda mi się tego uniknąć, choć nie miało to większego znaczenia dla mojego losu. Zdawałem sobie sprawę, że niedoszłemu zabójcy księcia królewskiego rodu groził najsroższy wymiar kary. Obawiałem się jednak, że gdyby mnie rozpoznano, oskarżono by Tavię o współudział w napaści na Haj Alta i ją również czekałaby stosowna męka.

Po krótkim czasie trafiłem znowu do lochu, a los zrządził, że znalazłem się w tej samej celi, którą zajmowaliśmy wcześniej z Nur Anem. Czułem się prawie, jakbym wrócił do domu, choć z pewnymi zmianami. Zostałem znowu sam, przykuty łańcuchem do kamiennej ściany. Moją jedyną nadzieją była fiolka, której nie zauważyli i która nadal spoczywała na dnie kieszeni. Ale nie był to czas ani miejsce na użycie jej zawartości, a nawet gdyby mnie nie skuto, nie miałem pod ręką potrzebnych materiałów.

Nie przebywałem w lochu długo, kiedy zjawili się strażnicy i zdjęli mi kajdany, po czym zaprowadzili do sali tronowej, gdzie na podwyższeniu siedział Haj Osis, otoczony dworskimi dygnitarzami i najwyższymi dowódcami armii.

Stał tam również Haj Alt, a zobaczywszy, jak prowadzą mnie w stronę tronu, zatrzęsł się z wściekłości. Kiedy zatrzymano mnie przed jedym, ten zwrócił się do syna.

- Czy to ten człowiek cię zaatakował? – zapytał.
- To ten kundel – odparł młodzieniec. – Zaskoczył mnie i zadałby mi cios w plecy, gdybym go nie przechytrył.
- Podniósł miecz na osobę księcia? – spytał Haj Osis.

– Owszem, zrobił to i zabiłby mnie tak samo jak Yo Seno, którego zwłoki znalazłem w przejściu między pokojem klucznika a wieżą.

A zatem znaleźli trupa Yo Seno. No cóż, kara za ten czyn z pewnością nie mogła być bardziej dotkliwa niż za napaść na księcia.

W tej chwili do sali tronowej wszedł prędkim krokiem jakiś oficer. Zatrzymał się, zdyszany, u stóp tronu. Stał blisko mnie i zauważyłem, że odwrócił się i obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym odwrócił się znowu do siedzącego na tronie jeda.

– Haj Osisie, władco Tjanath – oznajmił. – Przybywam powiadomić cię jak najszybciej, że w twoim prywatnym hangarze znaleziono właśnie zwłoki wartownika. Człowiek ten był całkiem nagi, a obok niego pozostawiono nieznaną nam uprzęż i broń. Ale stając u stóp twojego tronu rozpoznałem strój zabitego strażnika na ciele tego człowieka – z tymi słowami wymierzył we mnie oskarżycielski palec.

Haj Osis zmierzył mnie uważnie dziwnym spojrzeniem, które miało w sobie coś, co zdecydowanie mi się nie podobało. Widziałem, że przypominał sobie częściowo moją twarz, a po chwili był już całkowicie pewny, kim byłem. Zaklął głośno, a jego głos odbił się echem w wielkiej sali tronowej.

– Na oddech Issus! – krzyknął. – Spójrzcie tylko! Nie poznajecie go? To szpieg z Jahar, który twierdził, że nazywa się Hadron z Hastor. Skazałem go na Zagładę i na własne oczy oglądałem jego egzekucję, a mimo to wrócił do pałacu, mordując moich ludzi i próbując zabić mi syna! Tym razem jednak zginie!

Podniósł się z tronu i uniósł nade mną dłonie, zaciśnięte w powietrzu jak szpony, przez co wyglądał, jak jakiś straszliwy Korfał rzucający klątwę na ofiarę.

– Najpierw jednak dowiemy się, kto go przysłał. Na pewno nie przybył tu z własnej woli, żeby zabić mnie i mojego syna. Stoi za tym czyjś wrogi umysł, pragnący zagłady jeda Tjanath i jego rodu. Przypalać go na wolnym



ogniu i nie pozwólcie mu umrzeć, dopóki nie ujawni nazwiska  
zleceniodawcy. Zabrać go! Niech rozpalą ogień!

# ROZDZIAŁ 11

## NIEWIDZIALNY PŁASZCZ

Kiedy Haj Osis ogłosił na mnie wyrok śmierci, wiedziałem, że jeśli miałem się ratować, musiałem działać od razu, ponieważ w chwili, kiedy pochwycą mnie znów strażnicy, zgaśnie ostatnia nadzieja, widać było bowiem, że tortury i egzekucja miały nastąpić niezwłocznie.

Żołnierze, którzy przyprowadzili mnie tu z lochów, stali o parę kroków za mną. Podwyższenie Haj Osisa wznosiło się nieco wyżej niż trzy stopy ponad poziom posadzki. Nikt nie zagrażał mi drogi do jeda Tjanath, który wygłaszając wyrok podniósł się z tronu i podszedł do krawędzi podestu.

Mój czyn nie trwał tak długo jak opowiadanie o nim. Gdyby było inaczej, nie mógłbym dzielić się z wami tą opowieścią, ponieważ strażnicy złapałoby mnie. Kiedy ostatnie słowo padło z ust Haj Osisa, miałem w głowie gotowy plan i zwinnie jak kot wskoczyłem na podwyższenie obok jeda Tjanath. Mój atak był tak nagły i niepodziewany, że nawet się nie bronił. Jedną ręką chwyciłem go za szyję, a drugą wyjąłem mu sztylet z pochwy, po czym uniosłem go wysoko i zawołałem ostrzegawczym tonem do wszystkich obecnych:

– Cofnąć się albo Haj Osis zginie!

Ruszyli już w moją stronę, ale kiedy dotarło do nich pełne znaczenie mojej groźby, zatrzymali się.

– Twoje życie za moje, Haj Osisie! – powiedziałem. – Chyba, że zrobisz, co każę.

– Co takiego? – zapytał, z twarzą czarną ze zgrozy.

– Czy za tronem jest jakiś pokój? – spytałem.

– Tak – odparł. – Co z tego?

– Zaprowadź mnie tam sam – powiedziałem. – Powiedz swoim ludziom, żeby się odsunęli.

– I mam pozwolić, żebyś mnie zabił, kiedy mnie tam zaciągniesz? – zapytał, drżąc.

– Zabiję cię, jeśli tego nie zrobisz – odparłem. – Posłuchaj, Haj Osisie, nie przybyłem tu zabić ciebie ani twojego syna. Okłamałem padwara twojej straży. Przybyłem tu w innym celu, o wiele ważniejszym niż życie twoje lub twojego potomka. Rób, co mówię, a przysięgam, że włos ci z głowy nie spadnie. Powiedz swoim ludziom, że wejdziemy teraz do twojego gabinetu i przyrzekam nie wyrządzić ci krzywdy, jeśli zostawią nas samych na pięć xatów<sup>[7]</sup>.

Zawahał się.

– Szybko – powiedziałem – Nie mam czasu do stracenia. – Dotknąłem jego gardła czubkiem sztyletu.

– Nie rób tego! – wrzasnął, cofając się. – Zrobię, co każesz. Cofnijcie się wszyscy! – zawołał do swoich ludzi. – Udam się teraz z tym człowiekiem do gabinetu i pod groźbą śmierci zakazuję tam wchodzić przez pięć xatów. Wejdziecie tam po tym czasie, ale nie wcześniej.

Chwyliłem go mocno za uprząż między barkami i przycisnąłem czubek sztyletu pod lewą łopatką, idąc za nim do gabinetu wśród stłoczonych za tronem ludzi, którzy cofnęli się, żeby zrobić nam przejście. Zatrzymałem się w progu i odwróciłem w ich stronę.

– Pamiętajcie, pięć xatów – powiedziałem. – Pięć xatów i ani tala mniej.

Wszedłem do gabinetu, zamykając za sobą drzwi i ryglując je, po czym nadal prowadząc Haj Osisę przed sobą przeszedłem na drugi koniec pomieszczenia i tak samo zabezpieczyłem drugie wejście. Następnie odepchnąłem go na bok.

– Połóż się twarzą w dół – poleciłem.

– Obiecałeś, że mnie nie zabijesz – jęknął.

– I nie zrobię tego, chyba że przyjdą tu przed czasem, a ty będziesz starał się mnie opóźnić, nie słuchając moich poleceń. Zwiążę cię, ale nie zrobię ci krzywdy.

Położył się niechętnie na brzuchu, po czym skrępowałem mu ręce jego własną uprzężą, zasłoniłem oczy i zostawiłem leżącego na posadzce.

Wchodząc do pokoju, obrzuciłem szybkim spojrzeniem sprzęty w środku i zauważyłem dokładnie to, czego w tej chwili potrzebowałem. Pozbywszy się Haj Osisa, podszedłem prędkim krokiem do jednego z okien i zerwałem część wiszącej przed nim jedwabnej kotary. Zasłonę wykonano z dobrej jakości lekkiego jedwabiu; była przy tym bardzo szeroka, ponieważ miała spływać wdzięcznymi fałdami jako kotara pod maskującą okno cięższą tkaniną. Położyłem ją na rzeźbionym biurku, na którym jed Tjanath podpisywał swoje wyroki, i zabrałem się do dzieła. Najpierw wyjąłem fiolkę z kieszeni i otworzyłem ją, po czym zwinąłem jedwab w kulę. Dzięki jego zachwycającej jakości mogłem ścisnąć ją z powodzeniem w obu dłoniach. Związałem kulę luźno paskami tkaniny oderwanymi z innej zasłony i wylałem na nią powoli zawartość fiolki, obracając materiał czubkiem sztyletu Haj Osisa. Pamiętając o ostrzeżeniu Phor Taka, uważałem, żeby ani kropla zawartości fiolki nie padła mi na skórę. Widząc, jak kula znika na moich oczach, zaczynałem rozumieć przyczyny potrzeby zachowania ostrożności.

Wiedziałem, że niewidzialna farba wyschnie niemal od razu po przesiąknięciu przez jedwab, po wylaniu połowy zawartości fiolki czekałem tylko krótką, po czym wymacałem sznurki nadające jej z grubsza sferyczny kształt i przeciąłem je, a następnie strzepnąłem tkaniną, jak mocno potrafiłem. Materiał stał się niewidzialny, poza jednym czy dwoma miejscami, do których nie dotarł związek niewidzialności. Pokryłem je zaraz farbą z fiolki.

Tyle zależało od powodzenia mojego eksperymentu, że niemal obawiałem się poddać go próbie, ale było to konieczne, a za kilka xatów wojownicy Haj Osisa mieli wpaść do gabinetu.

Ułożyłem materiał na sobie w ten sposób, że całkowicie mnie zakrywał. Przez delikatny i cienki splot widziałem pobliskie sprzęty na tyle dobrze, żeby móc się poruszać. Podszedłem do Haj Osisa i zdjąłem mu zasłonę z oczu, cofając się równocześnie. Rozejrzał się prędko z lękiem w oczach.

– Kto to zrobił? – zapytał, po czym mruknął do siebie: – Zniknął.

Milczał przez chwilę, wodząc wzrokiem we wszystkie strony i przeszukując każdy zakątek gabinetu. Następnie w jego spojrzeniu pojawił się wyraz zmieszanej z nadzieją ulgi.

– Szybko! – zawołał donośnym głosem. – Straż! Do mnie! Uciekł!

Odetchnąłem z ulgą. Jeśli nie widział mnie on, to nikt nie mógł mnie zobaczyć: mój plan się powiódł.

Nie ośmieliłem się powrócić do sali tronowej i uciec stamtąd znanymi korytarzami, ponieważ słyszałem już biegnących w stronę gabinetu ludzi, a wiedziałem dobrze, że choć byłem dla nich niewidzialny, mogli mnie wyczuć. Poza tym w pędzie niewidzialne okrycie, a przynajmniej jego część, spadłoby ze mnie, a to oznaczałoby z pewnością śmierć.

Podszedłem prędko do drugich drzwi i odsunąłem zasuwę, po czym otworzyłem je i obejrzałem się na Haj Osisa. Przyglądał się wejściu szeroko otwartymi oczami ze zgrozą i niedowierzaniem. Przez chwilę nie rozumiałem powodu jego zachowania i obejrzałem się, żeby sprawdzić, co go tak przeraziło. Zaraz jednak zrozumiałem i uśmiechnąłem się. Słyszał i widział, jak zasuwę odsunęła się a drzwi otworzyły same, jak za sprawą ducha.

Mgliście domyślał się chyba prawdy, ponieważ odwrócił się zaraz w stronę drugich drzwi i zawołał ostrzegawczo falsetem:

– Nie wchodzić! Nie wchodzić, dopóki nie upłynie pięć xatów! To ja, Haj Osis, wasz jed!

Zamknąłem drzwi za sobą i wciąż się uśmiechając pobiegłem korytarzem w poszukiwaniu pochylni, która doprowadziłaby mnie na górne kondygnacje pałacu, skąd z łatwością trafiłbym do wartowni i hangaru, gdzie zostawiłem statek.

Korytarz, którym szedłem, prowadził prosto do królewskich komnat.

Początkowo trudno mi było przyzwyczać się do niewidzialności i wszedłszy zniemacka do pokoju, w którym przebywało kilku ludzi, w pierwszej chwili chciałem odwrócić się i uciec. Stałem jednak prosto przed jednym z nich, w odległości nie większej niż pięć czy sześć stóp, nie zwracając na siebie jego uwagi, choć patrzył prosto na mnie. Zaraz wróciła mi pewność siebie. Poszedłem dalej z taką nonszalancją, jakbym był we własnej kwaterze w Helium.

Komnaty jeda zdawały ciągnąć się bez końca, a choć wypatrywałem stale wyjścia na któryś z głównych korytarzy pałacu, ustawicznie trafiałem w miejsca, gdzie wcale nie chciałem się znaleźć i gdzie nie miałem nic do roboty. Czasem wiązało się to ze sporą konsternacją, jak w chwili, kiedy wszedłem do przytulnego prywatnego apartamentu w skrzydle kobiet w momencie, w którym z pewnością nie spodziewały się obcego mężczyzny.

Nie chciałem jednak zawrócić, ponieważ nie było czasu do stracenia. Przeszedłem przez to pomieszczenie i ruszyłem dalej krótkim korytarzem, wpadając przy tym z deszczu pod rynnę: trafiłem bowiem do zakazanej komnaty samej jeddary. Szczęśliwie dla tej damy to ja, a nie Haj Osis, złożyłem jej tę niespodziewaną wizytę, ponieważ znajdowała się właśnie w niewymownie kompromitującej pozycji, a po uprząży jej przystojnego gościa wywnioskowałem, że był pałacowym niewolnikiem. Ponieważ nie było stamtąd innego wyjścia, wycofałem się z niesmakiem i czystym przypadkiem wpadłem wkrótce na jeden z głównych korytarzy: tłoczny hol pełen żołnierzy, dworzan i niewolników, mężczyzn, kobiet oraz dzieci

krążących we wszystkie strony we wszelkich możliwych sprawach lub siedzących na rzeźbionych ławach pod ścianami.

Nie przyzwyczałem się jeszcze do mojej nowej i zaskakującej cechy. Widziałem ludzi wokół siebie i wydawało mi się, że w nieunikniony sposób oni również mnie widzieli. Zatrzymałem się przez chwilę w drzwiach prowadzących na korytarz. Zbliżająca się nim niewolnica skręciła nagle w moją stronę. Patrzyła prosto na mnie, choć zdawała się omijać mnie wzrokiem. Przez chwilę poczułem zmieszanie, po czym uświadomiłem sobie, że za chwilę zderzy się ze mną i odsunąłem się szybko. Dziewczyna ominęła mnie, ale widać było, że wyczuła moją obecność, ponieważ przystanęła i rozejrzała się prędko zdziwionym wzrokiem, po czym ku mojej niezmiernej uldze poszła dalej. Nie zauważyła mnie, choć niewątpliwie słyszała, kiedy się odsunąłem. Poczawszy nową pewność siebie, włączyłem się w tłum na korytarzu, meandrując między ludźmi, żeby uniknąć kontaktu z nimi, i cały czas wypatrując bacznie wyjścia na prowadzącą w górę pochylnię. Znalazłem ją szybko i po krótkim czasie dotarłem na wyższe kondygnacje, gdzie po niedługich poszukiwaniach trafiłem do wartowni u podstawy rampy prowadzącej do królewskiego hangaru.

Strażnicy odpoczywali po służbie, oddając się różnym zajęciom. Niektórzy czyścili uprząże i polerowali odznaki, dwaj grali w jetan, podczas gdy inni toczyli niewielkie, opisane cyframi kule w stronę grupy ponumerowanych otworów w fascynującej grze hazardowej o nazwie yano, która jest chyba rówieśniczką cywilizacji na Barsoom. Pomieszczenie pełne było śmiechu i przekleństw. Jak podobne jest zachowanie żołnierzy na całym świecie! Gdyby nie ich uprząż i odznaki, równie dobrze mogłoby to być oddział straży pałacowej z Helium.

Przeszedłem między żołnierzami i wszedłem na rampę prowadzącą do hangaru. U jej szczytu dwóch wartowników omal nie zablokowało

mi dalszej drogi. Przejście między nimi było naprawdę wąskie i obawiałem się, że mnie zauważą. Zatrzymałem się, słysząc mimowolnie ich rozmowę.

– Mówię ci, że zadano mu cios od tyłu – powiedział jeden. – Nie wiedział nawet, co go zabiło.

Zorientowałem się, że rozmawiali o uśmierconym przeze mnie strażniku.

– Ale skąd wziął się tam zabójca? – zapytał drugi.

– Padwar uważa, że mógł to być inny członek straży. Przeprowadzą dochodzenie i przesłuchają nas wszystkich.

– To nie ja – powiedział drugi. – Był moim najlepszym przyjacielem.

– Ani ja.

– Miał podejście do kobiet. Może...

Ich rozmowę przerwały kroki biegnącego rampą wojownika, które odciągnęły również moją uwagę. Znalazłem się w niepewnej pozycji. Pochylnia była wąska, a zbliżający się od tyłu człowiek z łatwością mógł na mnie wpaść. Musiałem natychmiast ominąć straż i wyjść na dach. Między żołnierzem po lewej a ścianą było w sam raz dość miejsca, abym zdołał się precyzyjnie przemieszczać, o ile nie zrobiłby kroku w tył. Z najwyższą ostrożnością, na jaką mogłem się zdobyć, przesunąłem się powoli za nim i możecie mi wierzyć, że ominąwszy go, odetchnąłem z ulgą.

Biegnący po pochylni wojownik dotarł już do wartowników.

– Znaleźli zabójcę strażnika hangaru! – powiedział. – To ten szpieg z Jahar, Hadron z Hastor, skazany na Zagładę razem z innym szpiegiem, Nur Anem. Jakimś cudem udało mu się uniknąć śmierci i wrócił do pałacu Haj Osis. Oprócz strażnika zabił jeszcze Yo Seno, ale ujęto go po tym, jak zaatakował księcia. Teraz znowu uciekł i porusza się swobodnie po pałacu. Padwar wysłał mnie, żebym kazał wam wzmóc czujność. Tego, kto go schwyta, żywego lub martwego, czeka naprawdę wielka nagroda.

– Na moje ostrze, chciałbym zobaczyć, jak próbuje ucieczki! – rzucił jeden z wartowników.

– Nie przyjdzie tu za dnia.



Uśmiechnąłem się, zmierzając szybkim krokiem w stronę hangaru. Nie było łatwo wdrapać się na dach, nie niszcząc przy tym mojej niewidzialnej osłony, ale w końcu udało mi się to. Miałem przed sobą pustą przestrzeń, w której nie było ani śladu statku, ale uśmiechnąłem się znowu pod nosem, wiedząc, że musiał tam być. Rozejrzałem się w poszukiwaniu oka peryskopu, które zdradziłoby mi jego pozycję, ale nigdzie nie było go widać. Nie zmartwiło mnie to zbytnio, ponieważ wiedziałem, że mogło być zwrócone w inną stronę. Musiałem tylko podejść do miejsca, gdzie zostawiłem statek, co też od razu zrobiłem, macając przed sobą rękami.

Przemierzyłem cały dach z jednej strony na drugą, ale nie znalazłem statku. Nie muszę chyba mówić, że byłem naprawdę dezorientowany. Z niezbitą pewnością wiedziałem, gdzie go zostawiłem, ale statku już tam nie było. Może przesunął go wiatr! Z tą myślą przeszukałem inną część dachu, również bez powodzenia. Dopiero teraz poczułem strach i zacząłem przeczesywać systematycznie cały dach, cal po calu, aż nabrałem pewności, że spotkała mnie najgorsza możliwa katastrofa: statek zniknął! Ale gdzie? Niewidzialna farba rzeczywiście miała swoje wady. Mógł być całkiem blisko i prawdopodobnie tak właśnie było, ale nie widziałem go. Od południowego zachodu wiał delikatny wiatr. Gdyby mój pojazd wzniósł się na nim w powietrze, poszybowałby na północny wschód, ale choć wyęźlałem wzrok w tamtym kierunku, nie zauważyłem ani śladu oka peryskopu.

Przyznaję, że przez chwilę omal się nie poddałem. Zdawało się, że zawsze, kiedy sukces był już w zasięgu ręki, jakaś złowroga siła nie pozwalała mi go osiągnąć. Szybko otrząsnąłem się jednak z poczucia zniechęcenia, które jest cechą słabeuszy, i zacisnąwszy zęby postanowiłem spojrzeć prosto w twarz przyszłości i wszystkiemu, co mogła przynieść.

Przez parę chwil rozpatrywałem moje położenie ze wszystkich stron, próbując wymyślić najlepsze rozwiązanie problemu. Musiałem ratować Tavię, ale bez statku wszelkie próby byłyby daremne, stąd musiałem

zdobyć jakiś pojazd a te mogłem znaleźć tuż pod nogami, w królewskim hangarze, na noc zamykanym i pilnowanym przez strażę. Jeśli zależało mi na statku, musiałem ukraść go teraz, wierząc że szybkość i śmiałość działania zapewnią mi powodzenie.

Królewskie statki zwykle są szybkie, a jeśli prywatna flota Haj Osis nie była wyjątkiem od tej powszechnej na Barsoom reguły, mogłem mieć nadzieję, że uda mi się zgubić pościg, o ile tylko ominę strażników pilnujących hangaru.

Jedno było pewne: pozostając na dachu hangaru nie działałbym niczego. Zszedłem więc ostrożnie, wybierając moment, kiedy uwaga strażników była skierowana gdzie indziej, ponieważ zawsze istniało ryzyko, iż wiatr uniesie moje okrycie, odsłaniając nogi.

Powróciwszy na dach pałacu, wśliznąłem się szybko do hangaru i przyjrzawszy się statkom, wybrałem pojazd, który z łatwością mógł unieść czworo ludzi, a jego kształty wskazywały na sporą prędkość.

Wspiąłem się na pokład i usiadłem przy sterach. Powolotku podniosłem statek mniej więcej o stopę nad posadzkę, po czym otworzyłem przepustnicę.

Po drugiej stronie hangaru, dokładnie przede mną, za otwartą bramą stali wartownicy. Kiedy statek wyskoczył w światło słońca, wydali okrzyk zaskoczenia i ostrzeżenia. Skoczyli odważnie przed siebie, sięgając po broń, i widziałem, że zamierzali wspiąć się na pokład, zanim zdążę nabrać wysokości. Ale jeden z nich stanął zaraz jak wryty z szeroko otwartymi oczami, po czym odsunął się na bok.

– Na krew przodków! – zawołał. – Przy sterach nie ma nikogo!

Najwyraźniej drugi żołnierz zauważył równocześnie to samo, ponieważ on również odsunął się. Wystrzeliłem w górę z pracującym ciężko wirnikiem.

Ale zdumienie sparaliżowało strażników tylko na chwilę. Usłyszałem zaraz wycie syren i brzęk wielkich gongów, a obejrzawszy się za siebie,

zobaczyłem, że wysłano już za mną statek, dwuosobowy ścigacz. Niemal od razu uświadomiłem sobie, że pojazd był o wiele szybszy od tego, który wybrałem. Na domiar złego, zaraz potem ujrzałem patrolowce straży startujące z hangarów umieszczonych na dachach w innych punktach pałacu. Nutralnie, wszyscy widzieli mój statek i kierowali się prosto na mnie; ucieczka wydawała się niemożliwa. Gdziekolwiek się obróciłem, zewsząd zlatywały się w moją stronę statki patrolowe. Udało im się zmusić mnie już do wznoszenia się po spirali, przy czym wypatrywałem czujnie wszelkich dróg ucieczki, jakie mogły się przede mną otworzyć.

Sytuacja wyglądała naprawdę rozpaczliwie! Statek był za wolny, a pogoń zbyt liczna!

Pomyślałem, że nie zostało mi wiele czasu i w tej samej chwili na lewo od dziobu, nieco nad sobą ujrzałem coś, na czego widok ogarnął mnie dreszcz radości. Była to tylko niewielka, okrągła soczewka, ale jej widok oznaczał dla mnie życie i coś więcej: mógł też oznaczać życie i szczęście Tavii, oraz – rzecz jasna – Sanoma Tory.

Jeden z patrolowców zbliżał się do mnie od dołu po ukosie i prawie już do mnie dotarł, kiedy zatrzymałem statek pod unoszącą się w powietrzu soczewką, tak trafnie szacując odległość, że pod kilem niewidzialnego statku zostało dokładnie tyle miejsca, ile było trzeba, żebym zmieścił głowę. Odszukałem jeden z włazów, które można było otworzyć od środka lub z zewnątrz, i wdrapałem się zaraz do środka „Jhamy”, jak nazwał nasz statek Phor Tak.

Zamknąłem właz i skoczyłem do sterów, odlatując w górę od najbliższego zagrożenia. Następnie, ustawiłem się w pewnej odległości i obserwowałem pościg.

Zauważyłem dezorientację na twarzach żołnierzy patrolu, kiedy podlecieli do porwanego przez mnie królewskiego statku i przekonali się, że na pokładzie nie było żywej duszy. A ponieważ nie widzieli mnie ani

„Jhamy”, musieli mieć nielichy kłopot ze znalezieniem jakiegokolwiek wyjaśnienia tego zjawiska.

Obserwowałem ich, zmuszony stale zmieniać pozycję z powodu liczby gromadzących się statków straży i innych pojazdów. Nie chciałem opuszczać całkowicie okolic pałacu, ponieważ zamierzałem zostać tam do zmroku, a następnie spróbować zabrać Tavię i Phao na pokład „Jhamy”. Chciałem też przyrzeć się wschodniej wieży za dnia i o ile okazałoby się to możliwe spróbować nawiązać kontakt z Tavią. Trwał piąty zod, za pięćdziesiąt xatów<sup>[8]</sup> miało zająć słońce.

Chciałem wdrożyć swój plan w życie jak najszybciej po zmroku, ponieważ doświadczenie podpowiadało, że realizacja planów w rzeczywistości nie przebiega zwykle tak gładko, jak przy ich układaniu.

Z pokładu jednego z patrolowców na uprowadzony przeze mnie statek wszedł jakiś wojownik, który poleciał nim z powrotem do hangaru. Część pojazdów poleciała za nim, część wróciła na stanowiska. W okolicy krążył już tylko jeden statek, a obserwując go, uświadomiłem sobie nagle, że stojący na jego pokładzie młody oficer zauważył mój peryskop. Wskazał w jego stronę, po czym statek błyskawicznie zmienił kurs i ruszył prosto na mnie. To nie wróżyło dobrze, odleciałem więc nieco bez zwłoki, obróciwszy oko peryskopu w ten sposób, aby stało się dla nich niewidzialne i uniemożliwiło śledzenie mnie.

Oddaliłem się na pewną odległość od trasy ich kursu, po czym ponownie skierowałem peryskop na statek straży. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że również zmienili kurs i podążali za mną.

Wzniosłem się szybko i obrałem nowy kierunek, ale kiedy obejrzałem się znowu, patrolowiec był niebezpiecznie blisko, a na dodatek wymierzył we mnie działo.

Co się stało? Coś musiało być nie tak i straciłem osłonę niewidzialności. Cokolwiek jednak się stało, nawet gdybym potrafił naprawić usterkę, nie było już na to czasu. Zostało mi tylko jedno i modliłem się do przodków,

aby nie okazało się za późno. Gdyby zaczęli do mnie strzelać, byłoby po mnie.

Zatrzymałem „Jhamę” i pobiegłem na rufę do zamontowanego na platformie w wieżyczce dezintegratora.

Miałem chwilę satysfakcji z przezorności, która kazała mi zmienić ułożenie amunicji, abym mógł wykorzystać je błyskawicznie w takiej jak ta, nagłej potrzebie. Podniosłem pocisk, wsunąłem go do komory i zarygłowałem zamek. Wieżyczka, choć naprędce i prymitywnie sklecona, dobrze reagowała na stery i po chwili naprowadziłem miotacz na zbliżający się patrolowiec i przez umożliwiający celowanie niewielki otwór oglądałem skutki użycia przeze mnie po raz pierwszy miotacza Phor Taka.

Użyłem zbiornika promieni niszczących metal. Rezultaty okazały się zatrważające.

Kocham statki i serce we mnie pękało na widok walecznego patrolowca, który rozpadł się w powietrzu, kiedy metalowe elementy konstrukcji zniknęły pod działaniem promieni Phor Taka.

Ale to nie wszystko, ponieważ drewno, skóra i tkaniny spadały z rosnącą prędkością w stronę powierzchni, a ich śladem podążali lecący na spotkanie śmierci dzielni wojownicy. Widok był przerażający.

Jestem prawdziwym synem Barsoom: walka sprawia mi radość, konflikt zbrojny jest moim dziedzictwem, a wojna spełnieniem wszelkich moich ambicji. Ale to nie była wojna, a morderstwo.

Zwycięstwo nie ucieszyło mnie wcale, jak kiedy pokonałem Yo Seno w walce na śmierć i życie. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, czułem, że to straszliwe narzędzie zniszczenia musiało zostać na zawsze zakazane. Prowadzenie wojny przy użyciu tej broni zamaskowanej przez niewidzialną farbę byłoby zbyt przerażające, aby choćby o nim pomyśleć. Pojedynczy statek, wyposażony w ten sposób, mógł zetrzeć w proch całe floty, miasta i państwa. Obląkany sen Phor Taka mógł się z łatwością ziścić i szalenciec mógł naprawdę stać się władcą całego Barsoom.

Nie było jednak czasu na filozoficzne rozważania. Miałem zadanie do wykonania i zamierzałem to zrobić, choćbym musiał zniszczyć przy tym całe Tjanath.

Znowu rozległ się dziki zgiełk gongów i syren; znowu zebrały się statki patrolowe. Uznałem, że powinienem oddalić się do zapadnięcia ciemności, ponieważ – o ile istniało jakieś inne wyjście – nie chciałem znowu być zmuszony do zwrócenia zabójczej broni przeciw bratnim istotom ludzkim.

Wracając do sterów, zerknąłem przypadkiem w stronę jednego z okien na rufie i ze zdziwieniem zauważyłem, że osłona była podniesiona. Na zawsze pozostanie zagadką, jak do tego doszło, ale przynajmniej tłumaczyło to, w jaki sposób patrolowiec mógł mnie śledzić. Przesuwające się w powietrzu okrągłe okienko musiało zdumieć załogę statku, ale równocześnie dało jej wskazówkę, za którą ci dzielni wojownicy mogli podążyć, a choć nie rozumieli jej, posłuchali głosu obowiązku.

Opuściłem szybko osłonę, a sprawdziwszy pozostałe i upewniwszy się, że były zamknięte, odzyskałem pewność, że poza soczewką peryskopu statek był całkowicie niewidzialny. Nie musiałem więc opuszczać okolic pałacu, ponieważ z łatwością mogłem manewrować nim tak, aby omijać z daleka patrolowce, gromadzące się ponownie w pobliżu królewskiego hangaru.

Sądzę, że zajście poruszyło ich bardzo i najwyraźniej nie mogli zdecydować się, co należało zrobić. Statki krążyły po okolicy, oczekując widocznie na rozkazy i dopiero po zmroku zaczęły przeczesywać systematycznie niebo nad miastem. Niewiele czasu zajęło mi zrozumienie ich rozkazów, jakbym przeczytał je osobiście. Statki pode mną krążyły na pułapie nie przekraczającym pięćdziesięciu stóp od wyższych budowli; dwieście stóp wyżej przestworza przeczesywał drugi szereg jednostek straży. Na obu poziomach statki zataczały serie kręgów w przeciwnych kierunkach, badając w ten sposób przestrzeń powietrzną nad miastem tak dokładnie, że nie było możliwości, aby jakaś jednostka nieprzyjacielska

mogła się do nich zbliżyć. Z dołu przestrzeń nad miastem obserwowało tysiąc par oczu; w każdym punkcie obserwacyjnym czuwali strażnicy, a na dachu każdej budowli publicznej jak za sprawą czarów pojawiły się działa.

Zacząłem obawiać się, że nawet niewielkie oko peryskopu „Jhamy” nie umknie uwadze obserwatorów, opuściłem więc statek w niewielką przestrzeń między strzelistymi drzewami w pałacowym ogrodzie i zawieszony dwadzieścia stóp nad ziemią, ze schowanym peryskopem, niewidziany i w rezultacie nie widząc niczego samemu, czekałem aż nad Tjanath zapadła szybka marsjańska noc, a wtedy wzbiłem się powoli w niebo z mojej liściastej kryjówki.

Zatrzymałem się nad drzewami, żeby rozejrzeć się w okolicy. Daleko nad sobą widziałem migoczące światła krążących patrołowców; inne światła świeciły z tysiąca okien pałacu. Przed sobą widziałem mroczną sylwetkę wschodniej wieży rysującą się na tle rozgwieżdżonego nieba.

Wznosiłem się powoli, okrążając wieżę, aż ustawiłem statek naprzeciw okna Tavii.

Naturalnie „Jhama” nie miała reflektorów, a ponieważ nie włączyłem oświetlenia kabiny, uznałem że mogę unieść bezkarnie jeden z górnych włączów. Tak też zrobiłem. Parapet okna był o jakąś stopę czy dwie ponad górnym pokładem statku. Zanim wdrapałem się na niego, zarzuciłem znów na siebie niewidzialne okrycie.

Pokój był ciemny. Przyłożyłem ucho do żelaznych krat w oknie i nasłuchiwałem. Nie słyszałem żadnych odgłosów. Serce we mnie zamarło. Czy przenieśli ją do innej części pałacu? A może zabrał ją Haj Alt? Zadrzałem na samą myśl o tym, przeklinając pecha, który sprawił, że wymknął się spod mojego miecza.

Wyteżalem w ciemności wzrok i słuch, obawiając się choćby najmniejszego hałasu z mojej strony, choć przeczuwałem, że było raczej mało prawdopodobne, aby w otaczającym mroku ktokolwiek zauważył otwarty włącz „Jhamy”. Musiałem jednak przekonać się, czy Tavia była

w pokoju. Przysunąłem się do krat i wyszeptałem jej imię. Nikt nie odpowiedział.

– Tawio! – szepnąłem, tym razem znacznie głośniej. Zdawało mi się przy tym, że mój głos wzniósł się w niebo echem, które obudziłoby martwych.

Tym razem usłyszałem odpowiedź. Najpierw doszło mnie głębokie westchnienie, chwilę później usłyszałem, jak ktoś poruszył się i podszedł do okna. W środku było tak ciemno, że nic nie widziałem, ale po krótkiej chwili usłyszałem niedaleko czyjś głos.

– Hadronie?! Gdzie jesteś?

Rozpoznała mój głos. Z niewytłumaczalnych przyczyn na myśl o tym zadrżałem z radości.

– Tutaj, przy oknie – odpowiedziałem.

Podeszła do krat.

– Gdzie? – zapytała. – Nie widzę cię.

Zapomniałem o moim niewidzialnym okryciu.

– Mniejsza z tym – stwierdziłem. – Nie widzisz mnie teraz, ale wyjaśnię ci to później. Czy jest z tobą Phao?

– Tak.

– I nikt poza nią?

– Nie.

– Zabiorę was ze sobą: ciebie i Phao. Odsuń się od okna, żebyś nie zranił cię, kiedy wyrwę kraty. Bądźcie gotowe przejść od razu na statek.

– Statek! – powiedziała głośno. – Gdzie on jest?

– Teraz to nieważne. Mam go. Zrób, jak powiedziałem. Ufasz mi?

– Całą duszą, Hadronie i na całą wieczność – szepnęła.

Coś we mnie zaśpiewało. To nie był zwykły dreszcz radości; nie potrafię tego wyjaśnić i nie rozumiałem tego w tej chwili, ale miałem wtedy inne sprawy na głowie.

– Odsuń się szybko i nie pozwól Phao podchodzić do okna, dopóki znowu cię nie zawołam.



Jej postać zamajaczyła mi przez chwilę w mroku, po czym cofnęła się od krat. Wróciłem do sterów, obróciłem przednią wieżyczkę statku w stronę okna, i wycelowałem miotacz w kraty. Załadowałem broń i wdusiłem przycisk. Z powodu mroku przez maleńki otwór celowniczy nie widziałem skutków wystrzału, ale wiedziałem doskonale, co się stało. Kiedy opuściłem statek nieco niżej i znów wyszedłem na pokład, okazało się, że kraty rozplynęły się w powietrzu.

– Szybko, Tawio! – zawołałem cicho. – Chodźcie!

Stałem z jedną nogą na pokładzie statku, a drugą na parapecie okna, utrzymując „Jhamę” jak najbliżej ściany wieży i w miarę możliwości unosząc nad sobą niewidzialny płaszcz jak baldachim, aby zasłonić wchodzące na pokład dziewczęta przed niepowołanymi oczami.

Zadanie było trudne i ryzykowne. Żałowałem, że nie miałem przy sobie haków abordażowych, ale z ich braku musiałem poradzić sobie, jak najlepiej umiałem, przytrzymując jedną dłońią płaszcz a drugą pomagając Tawii wdrapać się na parapet.

– Nie ma twojego statku – stwierdziła nieco zląknionym głosem.

– Owszem, jest – odparłem. – Pamiętaj, zaufaj mi i zrób, co powiem. – Chwyciłem ją mocno za uprząż w miejscu, gdzie pasy krzyżowały się na plecach. – Nie bój się! – powiedziałem, po czym przerzuciłem ją przez właz i opuściłem delikatnie do wnętrza „Jhamy”.

Następna była Phao i muszę przyznać, że okazała się równie odważna, co Tawia. Dziewczęta musiały najeść się strachu, czując jak opuszczam je w pustkę sto stóp nad ziemią, ponieważ nie widziały statku, a tylko ciemniejszą wyrwę w mroku nocy.

Kiedy tylko znalazły się na pokładzie, przeszedłem za nimi, zamykając za sobą właz.

Kuliły się w ciemności na podłodze kabiny, słabe i wyczerpane po chwili próby, jaką właśnie przeszły, ale nie mogłem tracić czasu na odpowiadanie na pytania, których z pewnością miały pełne głowy.

Gdyby udało nam się minąć strażników na dachach i krążące w górze statki patrolowe, mielibyśmy mnóstwo czasu na pytania i odpowiedzi. W przeciwnym wypadku okazałyby się zbędne.

## ROZDZIAŁ 12

### HAREM TULAXTARA

Z wirnikami pracującymi tylko na tyle, aby umożliwić nam start, cicho i powoli oddaliliśmy się od wieży. Nie ośmieliłem się wejść na pułap krążących w górze statków z obawy przed kolizją, która przy ograniczonym polu widzenia, jakie dawał mi peryskop, byłaby niemal nieunikniona. Trzymałem się zatem kursu, który poprowadził nas tuż nad dachem niższego skrzydła pałacu i do szerokiej ulicy biegnącej na wschód w stronę murów miejskich. Leciałem zaraz pod dachami budynków, gdzie nie groziło nam zbyt prawdopodobieństwo natknięcia się na inny statek. Ryzyko wykrycia było teraz naprawdę niewielkie i moglibyśmy zostać zauważeni wyłącznie w przypadku, gdyby któryś ze strażników na dachach usłyszał nasze wirniki, ale szum i warkot silników krążących w górze patrolowców górze zagłuszał z pewnością wszelkie odgłosy naszego napędu pracującego na niskich obrotach. Dotarliśmy w końcu do bramy u końca ulicy i wznieśliśmy się do szczytu murów, po czym przelecieliśmy nad nimi, znikając w ciemności poza miastem i zostawiając za sobą niknące w dali światła Tjanath i krążących nad nim patroli.

Podczas ucieczki zachowywaliśmy całkowitą ciszę, ale kiedy wyglądało na to, że udało nam się, Tavia dała upust swojej ciekawości. Pierwsze pytanie Phao dotyczyło Nur Ana. Głośne westchnienie ulgi świadczyło o jej miłości do niego równie dobrze jak słowa. Obydwie dziewczyny wysłuchały z zapartym tchem opowiadania o tym, jak w cudowny sposób uniknęliśmy Zagłady. Następnie chciały dowiedzieć się wszystkiego

o Jhama, niewidzialnej farbie i promieniach, których użyłem do usunięcia krat z okna ich więzienia. Dopiero, kiedy zaspokoilem ich ciekawość, mogliśmy przystąpić do omawiania planów na przyszłość.

– Sądzę, że powinienem lecieć niezwłocznie do Jahar – oświadczyłem.

– Zgadza się – powiedziała cicho Tavia. – To twój obowiązek. Musisz udać się tam i uratować najpierw Sanoma Torę.

– Gdybym tylko mógł zostawić ciebie i Phao w jakimś bezpiecznym miejscu, mógłbym kontynuować misję z o wiele większym spokojem, ale nie znam tu żadnego miejsca poza Jhamą, a nie chciałbym wracać tam i pozwolić, aby Phor Tak dowiedział się, że nie poleciałem prosto do Jahar, jak miałem zamiar. Ten człowiek to szaleniec. Nie wiadomo, co by zrobił, gdyby dowiedział się prawdy i nie jestem wcale pewny, że byłybyście z nim bezpieczne. Ufa tylko swoim niewolnikom i z łatwością mógłby ulec podejrzliwości i uznać, że jesteście szpiegami.

– Nie musisz troszczyć się o mnie – stwierdziła Tavia. – Bez względu na to, gdzie zechcesz nas zostawić, polecę dalej z tobą. Miejsce niewolnicy jest z jej panem.

– Nie mów tak, Tawio. Nie jesteś moją niewolnicą.

– Jestem niewolnicą – odpowiedziała. – Muszę mieć właściciela. Wybieram ciebie.

Wzruszyło mnie jej oddanie, ale nie chciałem myśleć o niej jak o niewolnicy. Ale bez względu na to, jak odrażająca wydawała mi się ta myśl, fakt pozostawał faktem: Tavia była niewolnicą.

– Zwracam ci wolność – powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

– Nie chcę jej, a skoro postanowiliśmy już, że zostaję z tobą – podjęła tę decyzję sama – chciałabym dowiedzieć się wszystkiego, czego zdołasz mnie nauczyć o pilotowaniu tego statku, ponieważ może się okazać, że przydam ci się w tej roli.

Dzięki jej znajomości zasad pilotażu, wy tłumaczenie sposobu sterowania „Jhamą” było naprawdę prostym zadaniem; w gruncie rzeczy nie miała żadnych problemów z kierowaniem statkiem.

Phao również zdradziła zainteresowanie instruktazem i po niedługim czasie także zajęła miejsce za sterami, podczas gdy Tavia upierała się, abym wprowadził ją w tajniki obsługi dezintegratora.

Na długo zanim ujrzeliśmy wieże stolicy Tul Axtara, zauważyliśmy pokryty upiornie błękitną farbą jednoosobowy statek, a następnie kolejne, daleko na prawo i lewo od niego. Pojazdy krążyły powoli na sporej wysokości. Uznałem, że były to jednostki zwiadowcze, wypatrujące nadejścia oczekiwanej floty nieprzyjaciela. Przelecieliśmy pod nimi i po jakimś czasie natknęliśmy się na drugą linię statków, krążowników zwiadowczych, przenoszących od dziesięciu do piętnastu ludzi. Podleciawszy bardzo blisko jednego z nich, zauważyłem, że wyposażony był w cztery dezintegratory: po dwa na dziobie i rufie. Linia statków ciągnęła się jak okiem sięgnąć w obie strony, a jeśli zgodnie z moimi przypuszczeniami tworzyły krąg obronny wokół Jahar, musiało ich być naprawdę mnóstwo.

Minęliśmy je i wkrótce trafiliśmy na trzecią linię, złożoną z wielkich okrętów o załodze tysiąca ludzi, najeżonych wielkimi działami.

Choć żaden ze statków nie dorównywał wielkością jednostkom z Helium, stanowiły realnie groźną siłę i widać było, że zbudowano ich naprawdę wiele.

To, co zdążyłem zobaczyć, przekonało mnie, że marzenia Tul Axtara o podboju całego Barsoom nie były tylko czczą mrzonką. Jeśli okręty wyposażono w dezintegratory, wystarczyłaby tylko część floty, którą widziałem, aby spustoszyć cały świat, a byłem pewny, że ujrzałem do tej pory zaledwie ułamek rozległego arsenału Tul Axtara.

Na widok tej armady ogarnęło mnie przecucie katastrofy. O ile flota Helium nie przyleciała tu już i nie została zniszczona, to musiała ulec

unicestwieniu, kiedy się zjawi i na całym świecie nie było siły, która mogłaby ją ocalić. Mogłem tylko mieć nadzieję, że kiedy okręty Helium nadlecą, spotkanie z dezintegratorami pierwszej linii okrętów Jahar okaże się wystarczającym ostrzeżeniem, aby zawróciły.

Daleko za okrętami dostrzegałem wznoszące się w oddali wieże Jahar, a kiedy dotarliśmy w okolice miasta ujrzałem na powierzchni przed jego murami flotę największych statków, jakie widziałem, otaczających całkowicie widoczną dla nas część murów miejskich. Każdy z nich mógł pomieścić co najmniej dziesięć tysięcy ludzi, a ich konstrukcja i lekkie uzbrojenie wskazywały, że były to transportowce. Niewątpliwie to właśnie one miały ponieść hordy wygłodzonych wojowników z Jahar na łupieską i niszczycielską wyprawę, w trakcie której mieli zniszczyć cały świat.

Myśl o zgromadzonej tu olbrzymiej armadzie skłaniała mnie do porzucenia wszelkich innych planów i niezwłocznego powrotu do Helium, aby ogłoszono alarm i poczyniono plany udaremnienia szalonych ambicji Tul Axtara. Od sprzecznych powinności kotłowało mi się w głowie. Ryzykowałem po wielokroć życiem, aby dotrzeć do Jahar w jednym, jedynym celu, a kiedy tu wreszcie dotarłem, inny obowiązek nakazywał mi zawrócić i wypełnić inną, prawdopodobnie o wiele ważniejszą powinność. Jestem jednak tylko człowiekiem, zdecydowałem więc ruszyć najpierw na ratunek ukochanej kobiecie, zaraz po tym zamierzając poświęcić wszystkie siły wypełnieniu drugiej misji, jaką wyznaczał mi honor i obowiązek. Przekonywałem sam siebie, że wynikłe z tego niewielkie opóźnienie w żaden sposób nie zagrozi większej sprawie; z kolei gdybym zaniechał ratowania Sanoma Tory, prawdopodobieństwo, że udałoby mi się jeszcze wrócić po nią do Jahar było naprawdę niewielkie.

Zostawiwszy za sobą olbrzymią flotę upiornie błękitnych statków, przelecieliśmy nad murami, kierując się w stronę pałacu jeddaka.

Miałem w głowie gotowy plan, który zdążyłem omówić kilkakrotnie z Tavią, która dorastała na dworze Tul Axtara.

Sugerowała, żebyśmy podlecieli do punktu położonego dokładnie nad szczytem smukłej wieży, na której nie było wprawdzie dość miejsca na lądowanie, ale skąd mogliśmy dostać się do pałacu w pobliżu skrzydła kobiet.

Chronieni niewidzialną farbą, podobnie jak minęliśmy poprzednio bezpiecznie trzy linie okrętów Jahar, ominęliśmy teraz strażników na murach miejskich oraz na murach i wieżach pałacu i bez żadnych godnych odnotowania przygód zatrzymałem statek nad wskazaną przez Tavię wieżą.

– Za około dziesięć xatów<sup>[9]</sup> zapadnie zmrok – powiedziałem do Tavii. – O ile uznasz przebywanie tu za zbyt długie, nie musisz wracać wcześniej, ponieważ bez względu na to, czy uda mi się odszukać Sanoma Torę czy nie, dopiero wtedy spróbuję wrócić na pokład.

Powiedziała mi wcześniej, że po zachodzie słońca skrzydło kobiet mogło być zamknięte na klucz, stąd postanowiłem wejść do pałacu za dnia, choć wolałbym nie próbować tego aż do zmroku. Tavia zapewniała mnie również, że kiedy już dostanę się do kwater kobiet, wyjdę stamtąd bez problemu, nawet jeśli drzwi będą zamknięte na klucz, ponieważ można było je otworzyć od środka, a środki bezpieczeństwa podejmowano nie z obawy przed ucieczką kobiet, ale aby chronić je przed sztyletem skrytobójcy i innymi złoczyńcami.

Narzuciwszy na siebie niewidzialny płaszcz uniosłem przedni dolny właz, ustawiony dokładnie nad szczytem wieży używanej jako strażnica w jakiejś odległej epoce, zanim nowsze i wyższe fragmenty budowli sprawiły, że stała się w tej roli bezużyteczna.

– Żegnaj i powodzenia! – szepnęła Tavia. – Mam nadzieję, że kiedy wrócisz, przyprowadzisz ze sobą Sanoma Torę. Kiedy cię nie będzie, będę prosiła przodków, aby ci sprzyjali.

Podziękowałem jej, po czym opuściłem się przez właz na szczyt wieży, gdzie znalazłem niewielką klapę.

Podniosłem ją i ujrzałem w dole szczyt starej drabiny używanej niegdyś przez zmarłych przed wiekami wojowników. Zalegający na szczeblach pył świadczył o tym, że korzystano z niej teraz rzadko lub wręcz wcale. Zszedłem po niej do sporego pomieszczenia na górnej kondygnacji tej części pałacu, które początkowo pełniło niewątpliwie rolę wartowni, teraz jednak służyło jako magazyn wszelkiego rodzaju zbędnych mebli, zasłon i dekoracji. Pełen okazów starożytnego rękodzieła Jahar jak i nieco bardziej współczesnych wytworów rzemieślniczych, z pewnością był bardzo ciekawym miejscem, ale ruszyłem dalej rozejrzawszy się tylko prędko w poszukiwaniu żywych nieprzyjaciół. Trzymając się ściśle instrukcji Tawii, zszedłem po dwóch pochylniach i trafiłem do pokrytego bogatymi rzeźbami korytarza, prowadzącego do pokojów kobiet Tul Axtara. Korytarz ciągnął się przez pełne tysięcy sofadów aż do wielkiego łukowego okna na drugim końcu, za którym dostrzegałem falujące liście drzew.

Pośród niezliczonych drzwi po obu stronach korytarza, wiele było otwartych lub uchylonych, ponieważ poza kobietami i ich niewolnicami nie wolno było tu wchodzić nikomu z wyjątkiem Tul Axtara. U dołu jedynej rampy prowadzącej do skrzydła kobiet z dolnej kondygnacji czuwała straż złożona z wyselekcjonowanych eunuchów, a Tawia zapewniała, że rozprawiliby się szybko z każdym awanturnikiem, który próbowałby zapuścić się na górę: a jednak znalazłem się na zakazanym terenie – mężczyzna i nieprzyjaciel jeddaka Jahar.

Kiedy rozglądałem się, próbując podjąć decyzję, skąd zacząć poszukiwania, z jednego z pokojów wyszło kilka kobiet, które ruszyły korytarzem w moją stronę. Były piękne, młode i wspaniale ubrane, a z ich swobodnej rozmowy i śmiechu wywnioskowałem, że nie były wcale nieszczęśliwe. Poczułem ukłucie wyrzutów sumienia na myśl o tym, jak nikczemnie wykorzystywałem swoją przewagę nad nimi, ale ponieważ nie dało się tego uniknąć, czekałem po prostu, przysłuchując się im z nadzieją, że usłyszę jakiś strzęp rozmowy, który pomoże mi znaleźć Sanoma Torę.



Nie dowiedziałem się jednak niczego poza tym, że określały Tul Axtara ze wzdardą starym zitydarem. Niektóre z ich uwag na jego temat dotyczyły bardzo prywatnych kwestii, a żadna nie wypowiadała się o nim pochlebnie.

Minęły mnie i weszły do sporego pomieszczenia na końcu korytarza. Niemal zaraz po nich z pokojów wyłoniły się inne kobiety, które śladem pierwszej grupy udały się do tej samej sali.

Potrzebowałem niewiele czasu, żeby zrozumieć, że zbierały się w niej i uznałem, że prawdopodobnie najlepiej będzie właśnie tam zacząć poszukiwania; mogło okazać się, że Sanoma Tora była między nimi.

Ruszyłem za jedną z grup. Przeszliśmy przez wielkie drzwi i dalej, krótkim korytarzem wychodzącym na wielkie pomieszczenie, którego wspaniałe wyposażenie i ozdoby wskazywały, że pełniło funkcję sali tronowej jeddaka. I w rzeczy samej, takie było widocznie jej przeznaczenie, ponieważ po jednej stronie sali na podwyższeniu stał ogromny, rzeźbiony tron.

Pośrodku posadzki z polerowanego drewna umieszczono wielki basen, a po obu stronach sali stały szerokie ławy, pokryte poduszkami, futrami i miękkimi jedwabiami. To tutaj Tul Axtar zasiadał od czasu do czasu na tronie, otoczony wyłącznie swoim haremem. Kobiety tańczyły dla niego i igrały dla jego rozrywki w krystalicznej wodzie basenu; tu biesiadowano i bawiono się hucznie do późnej nocy przy dźwiękach muzyki.

Rozejrzawszy się po zgromadzonych kobietach, stwierdziłem, że nie było wśród nich Sanoma Tory, zająłem więc miejsce obok wejścia, skąd mogłem obserwować twarz każdej wchodzącej osoby.

Kobiety nadciągały tłumnie. Chyba nigdy jeszcze nie widziałem tylu istot płci pięknej w jednym miejscu. Wypatrując Sanoma Tory, próbowałem je policzyć, ale wkrótce zarzuciłem ten pomysł jako beznadziejny, choć oceniłem, że kiedy w końcu przestały wchodzić do sali, zebrało ich się w niej półtora tysiąca.

Rozsiadły się na ławach pod ścianami, wypełniając pomieszczenie gwarem kobiecych głosów. Widziałem kobiety wszelkiego wieku i urody, i nie było wśród nich ani jednej, której nie można by nazwać piękną. Agenci Tul Axtara przeszukali chyba cały świat w poszukiwaniu takiej kolekcji ślicznotek.

Z boku tronu otworzyły się drzwi i wyszedł z nich rząd wojowników. Ich widok zdziwił mnie w pierwszej chwili, ponieważ Tavia zapewniała, że na górne kondygnacje nie wolno było wchodzić żadnym mężczyznom poza Tul Axtarem. Po chwili zauważyłem jednak, że wojownicy byli kobietami ubranymi w męską uprząż, o krótko ściętych włosach i pomalowanych twarzach na wzór wojowników Barsoom. Ustawily się po obu stronach tronu, po czym z tych samych drzwi wyłonił się jakiś dostojnik: kolejna kobieta przebrana za mężczyznę.

– Oto wasz jeddak! – zawołała. – Oddajcie mu chwałę! Składajcie dzięki!

Kobiety natychmiast wstały i chwilę później do sali wszedł jeddak Jahar, Tul Axtar, a za nim grupa kobiet przebranych za dworskich dygnitarzy.

Posadziwszy wielkie cielsko na tronie, Tul Axtar dał znak, aby zgromadzone usiadły, po czym powiedział coś cicho do stojącej przy nim kobiety w stroju dworzanina.

Kobieta podeszła do krawędzi podestu.

– Wielki Jeddak chce zaszczycić dziś każdą z was swoim królewskim spojrzeniem – oznajmiła napuszonym głosem. – Przejdźcie przed nim wszystkie, zaczynając od siedzących po mojej lewej stronie. Tak rzecze nasz jeddak.

Pierwsza kobieta po lewej stronie tonu wstała od razu i przeszła powoli przed podestem, zatrzymując się przed Tul Axtarem, aby wykonać pełny obrót, po czym okrążyła powoli salę i wyszła drzwiami, przy których stałem. Pozostałe, jedna po drugiej, poszły w jej ślady. Cała ta procedura wydawała mi się bezsensowna i nie rozumiałem jej jeszcze.

Okolo setki kobiet zdążyło przejść przed tronem i odejść ku drzwiom, kiedy moją uwagę zwróciło coś w sposobie poruszania się jednej z nich. Kiedy podeszła bliżej, rozpoznałem Sanoma Torę. Zmieniła się wprawdzie, ale niezbyt mocno, i nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie udało mi się jej wcześniej wypatrzeć. Znalazłem ją nareszcie! Po tylu miesiącach znalazłem ukochaną kobietę. Ale dlaczego nie czułem w sercu dreszczu radości?

Kiedy wyszła z sali tronowej, poszedłem za nią do pokoju przy końcu korytarza, po czym wszedłem za nią do środka. Musiałem się pospieszyć, ponieważ odwróciła się od razu i zamknęła za sobą drzwi.

Staliśmy sami w niewielkim pokoju. W kącie pomieszczenia było posłanie; między dwoma oknami – rzeźbiona ława, na której stały niezbędne marsjańskim kobietom przybory toaletowe.

Pomieszczenie nie przypominało wcale apartamentu jeddary; nie różniło się zbyt od celi niewolnicy.

Sanoma Tora podeszła apatycznym krokiem do stołka przed toaletką, odwrócona do mnie plecami. Zsunąłem z siebie niewidzialne okrycie.

– Sanoma Toro! – powiedziałem cicho.

Odwróciła się w moją stronę zaskoczona.

– Hadron z Hastor! – zawołała. – Czy ja śnię?

– Nie, Sanoma Toro. To ja we własnej osobie.

– Skąd się tu wzięłaś? Jak się tu znalazłaś? To przecież niemożliwe. Na to piętro nie wolno wchodzić żadnym mężczyznom poza Tul Axtarem.

– Ale jestem tu i zamierzam zabrać się do Helium, o ile chcesz tam wrócić.

– Przodkowie! Gdyby mogła mieć choć nadzieję na powrót! – powiedziała głośno.

– Możesz, Sanoma Toro – zapewniłem. – Jestem tu i mogę cię stąd zabrać.

– Nie wierzę – oznajmiła. – Nie wyobrażam sobie nawet, jak tu trafiłaś. Szaleństwem byłoby myśleć, że udałoby nam się stąd wyjść po kryjomu.

Zarzuciłem na siebie płaszcz.

– Gdzie jesteś, Tan Hadronie? Co się z tobą stało? Co się stało? – dopytywała Sanoma Tora.

– Oto, jak tu trafiłem – wyjaśniłem. – W ten sam sposób stąd uciekniemy. Zsunąłem z siebie płaszcz.

– Co to za zakazana magia? – zapytała. Najlepiej, jak potrafiłem, wytłumaczyłem jej zwięźle działanie niewidzialnej farby oraz jak wszedłem w jej posiadanie.

– Jak ci tu było? – chciałem wiedzieć. – Jak cię traktowali?

– Nie traktowali mnie źle – odpowiedziała. – Nikt nie zwracał na mnie uwagi. – Wyczułem w jej głosie ton urażonej próżności. – Do dzisiejszego wieczoru nie widziałam jeszcze Tul Axtara. Dopiero co wróciłam z sali tronowej, gdzie zasiada w otoczeniu całego haremu.

– Wiem – powiedziałem. – Byłem tam. To stamtąd przyszedłem tu za tobą.

– Kiedy możesz mnie stąd zabrać? – spytała.

– Choćby zaraz – odpowiedziałem.

– Obawiam się, że będziesz musiał zrobić to naprawdę szybko – stwierdziła.

– Dlaczego?

– Kiedy mijalam Tul Axtara, kazał mi zatrzymać się i usłyszałam, jak powiedział coś do jednej ze stojących przy nim kobiet. Kazał jej dowiedzieć się, jak mam na imię i który pokój zajmuję. Słyszałam już, co się dzieje, kiedy Tul Axtar wybierze którąś z nas, i boję się. Ale jakie to ma znaczenie, jestem tu tylko niewolnicą!

Co za przemianę przeszła dumna Sanoma Tora! Czy naprawdę stała przede mną ta sama arogancka piękność, która odrzuciła moją rękę? Czy to była Sanoma Tora, która miała kiedyś ambicję zostać jeddarą? Teraz czuła się upokorzona: widziałem to w przygarbionych ramionach, w drzeniu warg, w lęku widocznym w jej oczach.

Serce miałem pełne współczucia dla niej, ale zauważyłem ze zdziwieniem, że poza tym nie czułem nic. Kiedy ostatni raz ją widziałem, oddałbym duszę, żeby móc wziąć ją w ramiona. Czy to trudy, które przeszedłem, zmieniły mnie do tego stopnia? A może jako niewolnica Sanoma Tora była mniej godna pożądania niż jako córka bogatego Tor Hatana? Nie, to na pewno nie było prawdą. Zmieniłem się, ale metamorfoza była bez wątpienia chwilowa, wywołana napięciem wzbudzonym przez spoczywającą na mnie odpowiedzialność za zanieśenie na czas wiadomości o zamiarach Tul Axtara do Helium, aby ocalić od zniszczenia ojczyznę i cały świat. Czy ktoś, na kim spoczywało tak ogromne brzemie, mógł myśleć o miłości? Nie, nie byłem w tej chwili sobą, choć wiedziałem, że nadal kochałem Sanoma Torę.

Zdając sobie sprawę z potrzeby pośpiechu, rozejrzałem się prędko po pokoju i stwierdziłem, że z łatwością mogłem zabrać stąd Sanoma Torę przez okno, podobnie jak uratowałem Tavię i Phao ze wschodniej wieży pałacu w Tjanath.

Objaśniłem jej swój plan zwięźle, choć szczegółowo, i poleciłem przygotować się do ucieczki pod moją nieobecność, aby nic nas nie zatrzymało, kiedy będę gotów zabrać ją na „Jhamę”.

– A teraz do zobaczenia! – powiedziałem. – Za jakiś czas usłyszysz mnie przy swoim oknie, ale nie zobaczysz mnie ani statku. Zgaś światło i podejdź do parapetu. Chwyć cię za rękę. Zaufaj mi wtedy i zrób, co powiem.

– Żegnaj, Hadronie! – powiedziała. – Brak mi słów, żeby wyrazić moją wdzięczność, ale kiedy wrócimy do Helium, z radością oddam ci wszystko, czego mógłbyś zażądać.

Uniosłem jej palce do moich ust i odwróciłem się w stronę drzwi, kiedy zatrzymała mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu.

– Zaczekaj! – powiedziała. – Ktoś tu idzie.

Zarzuciłem prędko niewidzialny płaszcz i stanąłem z boku pomieszczenia. Drzwi na korytarz otworzyły się szeroko i stanęła w nich jedna z przybocznych Tul Axtara, ubrana we wspaniałą uprząż. Kobieta weszła do środka i ustawiła się przy drzwiach, które pozostały otwarte.

– Jeddak Jahar, Tul Axtar! – oznajmiła.

Chwilę później do pokoju wszedł Tul Axtar, a za nim pół tuzina kobiet. Wyglądał odrażająco: odpychające rysy twarzy były odbiciem połączenia słabości i siły, aroganckiej buty, pychy i zwątpienia w siebie, wewnętrznego braku przekonania o własnej wartości.

Zatrzymał się przed Sanoma Torą. Strażniczki ustawiły się za nim.

Obdarzone męskim typem urody, najwyraźniej właśnie z tego powodu zostały wybrane do osobistej straży jeddaka. Były przystojne na męski sposób, a wyraz ich twarzy sugerował, że w razie potrzeby potrafiły wykazać się umiejętnościami w walce.

Przez parę chwil Tul Axtar mierzył Sanoma Torę taksującym spojrzeniem. Podszedł bliżej do niej, a w jego postawie było coś, co nie przypadło mi do gustu. Kiedy położył dłoń na jej ramieniu, ledwie zdołałem zapanować nad sobą.

– Nie myliłem się – powiedział. – Wspaniała uroda! Jak długo tu jesteś?

Zadrżała, ale nie odpowiedziała.

– Pochodzisz z Helium?

Odpowiedziała milczeniem.

– Okręty Helium lecą właśnie do Jahar – roześmiał się. – Zwiadowcy przynieśli mi wiadomość, że wkrótce tu będą. Moja armada zgotuje im gorące powitanie. – Odwrócił się do strażniczek. – Idźcie! – polecił. – I nie wracajcie, póki was nie wezwę!

Ukloniły się i wyszły, zamykając za sobą drzwi. Tul Axtar znowu położył dłoń na odsłoniętym ramieniu Sanoma Tory.

– Chodź tu do mnie – powiedział. – Nie walczę z całym Helium. Ciebie będę kochał. Na wszystkich przodków, godna jesteś miłości jeddaka.

Przyciągnął ją do siebie. Poczulem płonący we mnie gniew; krew zagotowała się we mnie do tego stopnia, że nie myśląc o konsekwencjach zrzuciłem z siebie płaszcz.

## ROZDZIAŁ 13

### LUDOŻERCY Z U-GOR

Zrzuciwszy niewidzialny płaszcz, sięgnąłem po długi miecz, a kiedy wysuwałem go z pochwy, Tul Axtar usłyszał mnie i odwrócił się w moją stronę. Krew odpłynęła mu z tchórzliwego oblicza, które na mój widok pokryło się śmiertelną bladością. Miał już krzyknąć, kiedy przytknąłem mu ostrzegawczo ostrze do gardła.

– Milcz! – syknąłem.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Cisza!

Miałem gotowy plan działania. Kazałem mu odwrócić się do mnie plecami, po czym zabrałem mu broń, związałem mocno i zakneblowałem.

– Gdzie mogę go ukryć? – zapytałem.

– Mam tu niewielką szafę – powiedziała Sanoma Tora, wskazując niewielkie drzwi z boku pokoju. Podeszła do nich i otworzyła je, ja zaś pociągnąłem za nią Tul Axtara i nie okazując zbytniej delikatności wepchnąłem go do środka szafy.

Zamknąwszy drzwi, odwróciłem się i ujrzałem, że Sanoma Tora pobladła i drżała.

– Boję się – powiedziała. – Wrócą tu i znajdą go tam, a wtedy mnie zabiją.

– Strażniczki nie wrócą, dopóki ich nie wezwie – przypomniałem. – Sama słyszałaś, jak wydał im taki rozkaz.

Skinęła głową.



– Masz tu jego sztylet – powiedziałem. – Jeśli dojdzie do najgorszego, możesz powstrzymać je grożąc, że go zabijesz. – Dziewczyna sprawiała jednak wrażenie śmiertelnie przerażonej, trzęsła się cała i bała się, że poddana próbie, zawiedzie. Żałowałem, że nie było tu Tavii. Wiedziałem, że nie sprawiłyby mi zawodu, a ile – na imię mego praojca! – zależało od naszego powodzenia!

– Niedługo wrócę – powiedziałem, obmacując podłogę w poszukiwaniu niewidzialnego okrycia. – Zostaw okno otwarte i bądź gotowa.

Zakładając płaszcz, zauważyłem, że trzęsła się tak mocno, że nie była w stanie odpowiedzieć. W gruncie rzeczy z trudem radziła sobie z trzymaniem sztyletu, który lada chwila mogła wypuścić z pozbawionych czucia palców. Nie mogłem jednak pomóc jej w żaden inny sposób niż wrócić na pokład „Jhamy” i spróbować dotrzeć do niej, zanim będzie za późno.

Bez żadnych przygód dostałem się na szczyt wieży. Na niebie mrugały jasne gwiazdy marsjańskiej nocy; tuż nad dachem pałacu wisiała wspaniała planeta Jasoom<sup>[10]</sup>.

Oczywiście, mój statek był niewidzialny, ale ufałem Tavii do tego stopnia, że wyciągając w górę dłoń, wiedziałem, że poczuje nad sobą dno jego kadłuba. Tak też się stało. Zapukałem trzy razy lekko w przedni właz, co było naszym sygnałem ustalonym przed wejściem do pałacu. Otworzył się błyskawicznie i chwilę później wdrapałem się na pokład.

– Gdzie jest Sanoma Tora? – zapytała Tavia.

– Żadnych pytań – odpowiedziałem. – Musimy działać szybko. Bądź gotowa przejąć stery, kiedy je zostawię.

Milcząc, zajęła miejsce przy mnie, dotykając mnie miękkim ramieniem. Nie przerywając ciszy, podleciałem „Jhamą” do okien w skrzydle kobiet. Wiedziałem z grubsza, gdzie znajdował się pokój Sanoma Tory i poleciałem wzdłuż muru z peryskopem skierowanym na okna pomieszczeń, aż po niedługim czasie zobaczyłem na ekranie przed sobą sylwetkę Sanoma

Tory. Podleciałem do parapetu, ustawiając statek tak, aby górny pokład znalazł się tuż pod nim.

– Trzymaj statek w tej pozycji, Tawio – powiedziałem. Następnie uniosłem górny właz o kilka cali i zawołałem do dziewczyny w pokoju.

Na dźwięk mojego głosu zadrżała, omal nie wypuszczając z rąk sztyletu, choć wiedziała, że miałem się pojawić i spodziewała się mnie.

– Zgaś światło! – szepnąłem. Podeszła niepewnym krokiem w stronę przełącznika na ścianie i chwilę później pokój spowiła ciemność. Uniosłem właz i wszedłem na parapet. Nie chciałem zawracać sobie głowy maskowaniem się pod niewidzialnym płaszczem, zwinąłem go więc i wcisnąłem w uprząż, skąd w razie potrzeby mogłem go błyskawicznie wyciągnąć. Odszukałem w ciemności Sanoma Torę. Z przerażenia tak osłabła, że musiałem unieść ją w ramionach i zanieść do okna, gdzie z pomocą Phao udało mi się wciągnąć ją przez otwarty właz do wnętrza statku. Następnie wróciłem do szafy, w której leżał związany i zakneblowany Tul Axtar. Pochyliłem się i przeciąłem mu więzy na kostkach.

– Rób dokładnie to, co powiem, albo moje ostrze postawi jednak na swoim i znajdzie drogę do twojego serca – powiedziałem. – Łaknie twojej krwi i z trudem je powstrzymuję, ale jeśli mnie nie zawiedziesz, może uda mi się ciebie ocalić. Potrzebuję cię do czegoś i od tego, czy rzeczywiście na coś mi się przydasz, zależy twoje życie. Martwy nie masz dla mnie żadnej wartości.

Kazałem mu wstać i podejść do okna, gdzie pomogłem mu wdrapać się na parapet. Kiedy – jak sądził – kazałem mu zrobić krok w powietrze, ogarnęła go zgroza, ale zobaczywszy, jak wszedłem przed nim na pokład „Jhamy” i najwyraźniej unosiłem się w pustce, nabrał otuchy i ostatecznie udało mi się wsadzić go na pokład.

Zamknąłem za nim właz i zapaliłem jedyną słabą lampkę na pokładzie. Tawia odwróciła się od sterów i spojrzała na mnie, oczekując rozkazów.

– Nie zmieniaj pozycji – powiedziałem.

Kabina „Jhamy” mieściła maleńkie biurko, na którym dowódca statku mógł prowadzić dziennik pokładowy oraz zajmować się wszelkimi innymi koniecznymi zapiskami lub meldunkami. Były tu przybory do pisania, a wyciągnąwszy je z szuflady, przywołałem do siebie Phao.

– Pochodzisz z Jahar – stwierdziłem. – Potrafisz posługiwać się pismem tego kraju?

– Oczywiście – odpowiedziała.

– A zatem napisz, co podyktuję – poleciłem.

Przygotowała się do spisania mojej wiadomości.

– Jeśli choć jeden statek z Helium zostanie zniszczony, Tul Axtar zginie – podyktowałem. – Podpisz: Hadron z Hastor, padwar armii Helium.

Tavia i Phao spojrzały na mnie, a potem na więźnia, ze zdumienia otwierając szeroko oczy, ponieważ w słabym świetle nie rozpoznały go wcześniej.

– Tul Axtar z Jahar! – westchnęła z niedowierzaniem Tavia. – Hadronie, ocaliłeś dziś w nocy Helium i całe Barsoom.

Rzuciło mi się w oczy, z jaką szybkością działał jej umysł i jak wprawnie oceniła możliwości, jakie dawało nam uprowadzenie osoby jeddaka Jahar.

Wziąłem spisaną przez Phao wiadomość i powróciwszy do pokoju Sanoma Tory, położyłem ją na toalecie. Chwilę później byłem z powrotem w kabinie „Jhamy” i wzbiliśmy się szybko nad dachy miasta.

Ranek zastał nas za najdalej wysuniętą linią okrętów z Jahar, pod którymi przelecieliśmy kierując się ich światłami: dowód na to, że flota miała kiepskich dowódców, ponieważ żaden doświadczony żołnierz spodziewający się liczego przeciwnika, nie zostawiłby na noc oświetlonego statku.

Oddalaliśmy się od Helium, lecąc kursem, który – jak miałem nadzieję – umożliwiłby nam przecięcie drogi flocie Wodza, gdyby zgodnie ze słowami

Tul Axtara rzeczywiście zmierzała w stronę Jahar.

Sanoma Tora odzyskała już nieco panowanie nad sobą. Słodycz zachowania wrażliwej na jej potrzeby Tavii poruszyła mnie do głębi. Uspokajała ją i uciszała, jak młodszą siostrę, choć sama była od niej młodsza. Ale wraz z panowaniem nad sobą wróciła też dawna wyniosłość Sanoma Tora i miałem wrażenie, że nie okazywała Tavii wystarczającej wdzięczności za jej dobroć. Zdawałem sobie jednak sprawę, że taka właśnie była i taka się urodziła, a w głębi serca czuła niewątpliwie pełną wdzięczność. Jakby nie było, muszę przyznać, że w tamtej chwili zależało mi na tym, aby okazała to Tavii choć drobnym słowem lub gestem. Lecieliśmy równo, nieco powyżej zwykłego pułapu, na jakim przemieszczają się jednostki bojowe. Kompas sterujący trzymał statek na kursie, a po wszystkich moich przygodach poczułem potrzebę udania się na spoczynek. Phao, której zasugerowałem to wcześniej, zdążyła już odpocząć, a ponieważ potrzebowaliśmy tylko wypatrującego statków obserwatora, powierzyłem jej to zadanie, zaś Tavia i ja owinęliśmy się futrami i szybko zasnęliśmy.

Leżeliśmy w połowie kadłuba, Phao siedziała przy sterach, obracając peryskopem i przeszukując niebo. Kiedy zasnąłem, Sanoma Tora stała wpatrzona w noc przy jednym z okienek na prawej burcie, zaś Tul Axtar ułożył się na rufie. Zdążyłem zdjąć mu knebel, ale wydawał się zbyt przybity, aby odezwać się do nas choć słowem, leżał więc tylko w ponurym milczeniu, a może spał.

Czułem ogromne znużenie i ledwie się położyłem, zasnąłem jak kłoda. Obudziło mnie nagłe uderzenie czyjś ciało. Spróbowałem się oswobodzić, stwierdzając z rozgoryczeniem, że kiedy spałem ktoś związał mi mocno ręce, co nie było zbyt trudne, zważywszy że mam w zwyczaju spać z dłońmi złożonymi przed twarzą.

Czułem na piersi czyjeś kolano, przygniatające mnie do pokładu. Na gardle zacisnęła mi się dłoń. W słabym świetle kabiny zobaczyłem, że

należała do Tul Axtara, który w drugiej dłoni trzymał sztylet.

– Cicho! – szepnął. – Nie waż się nawet pisnąć, jeśli chcesz żyć! – Po czym, aby podkreślić swoje słowa, zakneblował mnie i związał mi kostki. Następnie podszedł prędko do Tavii i związał również ją. Kiedy był tym zajęty, powędrowałem wzrokiem po wnętrzu kabiny w poszukiwaniu pomocy. Na podłodze obok sterów leżała związana i zakneblowana Phao. Sanoma Tora kuliła się pod ścianą, najwyraźniej sparaliżowana strachem. Tul Axtar nie spętał jej ani nie zakneblował. Dlaczego mnie nie ostrzegła? Dlaczego nie próbowała mi pomóc? O, jakże inaczej skończyłaby się ta próba odzyskania przez niego wolności, gdyby to Tavia a nie ona była wolna od więzów!

Jak mogło do tego dojść? Byłem pewny, że związałem Tul Axtara dość mocno, aby nie mógł uwolnić się samemu. Musiałem się pomylić i przeklinałem teraz własny brak uwagi, który zniweczył moje plany i mógł sprowadzić na Helium zagładę.

Sprawiwszy się z naszą trójką, Tul Axtar podszedł szybko do sterów. Mijając Sanoma Torę, nie zwrócił na nią nawet uwagi. Widząc jej przerażenie, nie dziwiłem się, dlaczego nie uważał jej za zagrożenie: swobodna była dla niego równie niegroźna, jak gdyby ją związał.

Zmienił kurs i obrócił statek z powrotem w kierunku Jahar, a choć nie rozumiał mechanizmu kompasu sterującego i nie potrafił go wyłączyć, dopóki pozostawał przy sterach nie miało to znaczenia. Urządzenie mogło co najwyżej zawrócić „Jhamę” na poprzedni kurs, gdyby w trakcie lotu opuścił stery.

Po chwili odwrócił się w moją stronę.

– Powiniennem cię zabić – wycedził. – Dałem jednak słowo jeddaka, że tego nie zrobię.

Zastanawiałem się niejasno, komu mógł to obiecać, ale moją uwagę zaprzętały w tej chwili ważniejsze sprawy, które spychały na dalszy plan wszelkie inne kwestie. Najważniejszą wśród nich było, oczywiście,

odzyskanie kontroli nad statkiem, a drugą – troska o losy Tavii, Sanoma Tory i Phao.

– Bądź wdzięczny za wspaniałomyślność, którą okazuję, nie karząc cię za zniewagę, jaką mi wyrządziłeś – mówił dalej. – Zamiast tego, wysadzę cię i puszcę wolno. – Roześmiał się głośno. – Odejdiesz wolny! Wypuszczę cię w prowincji U-Gor!

Coś nieprzyjemnego w tonie jego głosu sprawiło, że ta obietnica zabrzmiała bardziej jak groźba. Nie słyszałem jeszcze nigdy o U-Gor, ale zakładałem, że była to jakaś odległa prowincja Jahar, skąd powrót do Jahar lub Helium okazałby się zapewne trudny lub wręcz niemożliwy. Jednego byłem pewny: Tul Axtar na pewno nie zamierzał wypuścić mnie w żadnym miejscu, gdzie mógłbym stać się dla niego zagrożeniem.

Statek leciał godzinami w ciszy. Tul Axtar nie miał dość przyzwoitości ani ludzkich uczuć, aby zdjąć nam kneble. Siedział zaabsorbowany sterami, a skulona pod ścianą kabiny Sanoma Tora przez całą drogę nie odezwała się ani słowem ani nie powędrowała wzrokiem w moją stronę. Co też kłębiło się w jej ślicznej głowie? Może próbowała ułożyć jakiś plan, który pozwoliłby jej odwrócić sytuację, a może była po prostu przytłoczona naszym rozpaczliwym położeniem i perspektywą powrotu do niewoli w Jahar? Nie wiedziałem i nie domyślałem się tego nawet – była dla mnie zagadką.

Nie wiedziałem, jak daleko ani w jakim kierunku zalecieliśmy. Dawno minęła noc i słońce było wysoko, kiedy uświadomiłem sobie, że statek lądował. Mruczenie silników ucichło i „Jhama” zatrzymała się. Tul Axtar odszedł od sterów i podszedł do miejsca, w którym leżałem.

– Jesteśmy w U-Gor – oświadczył. – Wypuszczę cię, ale przedtem dasz mi ten niezwykły przedmiot, który zapewnił ci niewidzialność w moim pałacu.

Niewidzialny płaszcz! Skąd o nim wiedział? Kto mu powiedział? Wyglądało na to, że było tylko jedno wytłumaczenie, ale broniłem się przed

nim każdą częścią mojej istoty. Zwinąłem wcześniej płaszcz w małą kulę, a ponieważ czysty jedwab można było upchnąć w naprawdę niewielkiej przestrzeni, wcisnąłem go na dno kieszeni na pasie. Tul Axtar wyjął mi knebel z ust.

– Kiedy wrócisz do pałacu, obejrzyj uważnie podłogę pod oknem pokoju, który zajmowała Sanoma Tora – powiedziałem. – Możesz go sobie wziąć, o ile uda ci się go znaleźć. Jeśli o mnie chodzi, spełnił już swoje zadanie.

– Dlaczego go tam zostawiłeś? – chciał wiedzieć.

– Spieszyłem się, opuszczając pałac, a wypadki się zdarzają. – Owszem, może i nie było to najsprytniejsze kłamstwo, ale Tul Axtar również nie był zbyt bystry i z łatwością w nie uwierzył.

Burcząc coś pod nosem, otworzył dolny właz i wyrzucił mnie przez niego bezceremonialnie. Na szczęście, statek wisiał tuż nad ziemią i nie odniosłem obrażeń. Następnie zrzucił przy mnie Tavię, po czym zszedł sam. Pochylił się i przeciął więzy na nadgarstkach Tavii.

– Tę drugą zatrzymam – powiedział. – Ładniutka jest. – Nie wiem skąd, wiedziałem, że miał na myśli Phao. – Ta tutaj wygląda jak mężczyzna i pewnie równie łatwo byłoby ją poskromić jak samicę bantha. Znam ten typ. Zostawiam ją tobie. – Ucieszyłem się na myśl, że najwyraźniej nie rozpoznał w Tavii dawnej mieszkanki skrzydła kobiet w jego pałacu.

Wrócił na statek, ale zanim zamknął właz, odezwał się do nas jeszcze raz.

– Zrzucę wam broń, kiedy będziemy dość wysoko, żebyście nie zdołali użyć jej przeciw mnie. Podziękujcie przyszłej jeddarze Jahar za łaskę, którą wam okazałem!

„Jhama” wzniósł się powoli. Tavia zdjęła więzy z kostek, a oswobodziwszy się, zaczęła rozwiązywać moje pęta. Byłem jednak zbyt oszołomiony i przytłoczony zadany mi ciosem, aby dostrzec cokolwiek poza tym, że zostałem zdradzony przez ukochaną kobietę. Dopiero teraz

uświadomiłem sobie w pełni to, czego każdy głupi domyśliłby się wcześniej: Tul Axtar przekupił ją, aby go uwolniła, obiecując uczynić ją jeddara Jahar.

No cóż, jej ambicja miała się spełnić, ale jakże obrzydliwą cenę zapłaciła. Choćby żyła tysiąc lat, nie mogłaby już nigdy spojrzeć na siebie i swój czyn z jakimkolwiek uczuciem poza odrazą i pogardą, chyba że jej zepsucie sięgało o wiele głębiej niż wydawało mi się możliwe. Nie, byłem pewny, że cierpiała, choć myśl o tym nie sprawiała mi wcale przyjemności. Kochałem ją i nawet teraz nie potrafiłem życzyć jej źle.

Siedząc na piachu ze spuszczoną w przygnębieniu głową, poczułem jak moje barki otoczyło miękkie ramię, po czym czuły głos szepnął mi do ucha:

– Mój biedny Hadron!

Tylko tyle; te trzy słowa miały w sobie jednak tyle współczucia i zrozumienia, że ukoiliły męki złamanego serca niczym cudowny balsam.

Tylko Tavia mogła je wypowiedzieć. Odwróciłem się i ująwszy jej drobną dłoń, podniosłem ją do warg.

– Kochana przyjaciółko! – powiedziałem. – Przodkom niech będą dzięki, że to nie ty to zrobiłaś.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Zdawało się, że słowa wydobywały się z moich ust same, bez udziału woli, a jednak wypowiedziawszy je, zrozumiałem nagle, jaką grozę poczułbym, gdyby to Tavia mnie zdradziła. Sama myśl o tym przeszywała mnie bólem. Pod wpływem impulsu wziąłem ją w ramiona.

– Obiecuj, że nigdy mnie nie opuścisz, Tawio! – powiedziałem głośno. – Nie potrafiłbym żyć bez ciebie.

Zarzuciła mi na szyję silne, młode ramiona i przytuliła się mocno.

– Nie opuszczę cię aż do śmierci – szepnęła, po czym odsunęła się ode mnie i zauważyłem łzy w jej oczach.

Co za przyjaciółka! Wiedziałem, że nie pokocham już żadnej kobiety, ale nie miało to dla mnie żadnego znaczenia, skoro mogłem liczyć na dozgonną



przyjaźń Tavii.

– Nigdy się już nie rozstaniemy – oświadczyłem. – Przodkowie nam sprzyjają i jeśli wrócimy kiedyś do Helium, znajdziesz dom w domu mego ojca, a w mojej matce – matkę.

Otarła oczy i spojrzała na mnie z niezrozumiałą dla mnie zagadkową, smutną miną, po czym uśmiechnęła się przez łzy tym osobliwym, enigmatycznym uśmieszkiem, który widziałem wcześniej i którego nie rozumiałem tak samo jak co najmniej tuzina innych jej min i nastrojów, dzięki którym tak bardzo różniła się od innych dziewcząt i które jak sadzę wzmacniały moje uczucia do niej. Nie obnosiła się ze swoją osobowością na wierzchu: miała w sobie ukryte prądy i głębiny, które niełatwo było przeniknąć. Czasami śmiała się, kiedy spodziewałem się, że zaraz się rozpłacze; innymi razy płakała, kiedy powinna być szczęśliwa. Nigdy jednak nie szlochała histerycznie jak wiele innych kobiet, ponieważ nie traciła panowania nad sobą. Łkała raczej cicho, bardziej z głębi serca niż przytłoczonych emocjami nerwów, zupełnie, jakby przez jej łzy mógł w końcu przebić się uśmiech.

Sądę, że Tavia była najwspanialszą znaną mi dziewczyną, a dzięki częstszym spotkaniom i lepszemu poznaniu jej zrozumiałem, że mimo męskiego przebrania, przy którym się upierała, była też najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem. Urodą nie przypominała wcale Sanoma Tory, ale kiedy podniosła teraz na mnie wzrok, z niewyjaśnionych przyczyn zrozumiałem nagle, że górowała nad nią dzięki pięknu duszy, której blask emanujący z jej oczu, odmieniał całe oblicze.

Zgodnie z obietnicą, Tul Axtar zrzucił nam broń przez dolny właz. Przypinając ją do uprzęży, słuchaliśmy cichnącego odgłosu wirników oddalającego się szybko statku. Zostaliśmy sami, bez środków transportu w obcym i z pewnością niegościnnym kraju.

– U-Gor! – powiedziałem. – Nigdy nie słyszałem o tej krainie. A ty, Tawio?

– Owszem – odparła. – To jedna z zewnętrznych prowincji Jahar. Kiedyś był to bogaty i kwitnący region rolniczy, ale kiedy spadło na niego przekleństwo szalonych ambicji Tul Axtara, populacja rozrosła się do tego stopnia, że kraina nie była w stanie wyżywić swoich mieszkańców. Zaczął się kanibalizm. Rozpoczęto sprawiedliwie, od zjedzenia urzędników wysłanych przez jeddaka, aby wprowadzić w życie jego okrutne zarządzenia. Wysłał wtedy armię, która miała poskromić zbuntowaną prowincję, ale ludzie okazali się tak liczni, że pobili ją i zjedli wojowników. Do tej pory gospodarka była już w ruinie. Zabrakło ziarna, a ludzie nabrali smaku na ludzkie mięso. Ci, którzy chcieli jeszcze zajmować się rolnictwem, byli napadani i pożerani przez wędrujące grupy ludożerców. Tutejsi mieszkańcy od kilkuset lat żywią się sobą nawzajem i z ludnego rejonu kraina zmieniła się w pustkowie zamieszkane przez grupki nomadów, tropiące siebie nawzajem w poszukiwaniu żeru.

Zadrzałem, usłyszawszy ten wykład. Było jasne, że musieliśmy wydostać się jak najprędzej z tego przeklętego miejsca. Spytałem Tavię, czy znała położenie U-Gor na mapie. Odpowiedziała, że znajdowało się około tysiąca haadów na południowy wschód od Jahar i dwa tysiące haadów na południowy zachód od Xanator.

Zrozumiałem, że próba dotarcia do Helium byłaby daremna. Na piechotę, podobna wędrówka, o ile w ogóle okazałaby się wykonalna, zajęłaby całe lata. Gathol, najbliższe przyjazne miasto, do którego moglibyśmy spróbować dotrzeć, leżało według moich szacunków około siedmiu tysięcy haadów na północ niemal w linii prostej. Szansa na dotarcie tam była skrajnie nikła, ale ponieważ była to nasza jedyna nadzieja, zwróciliśmy się na północ i podjęliśmy długą i pozornie beznadziejną wędrówkę ku rodzinnemu miastu mojej matki.

Otoczał nas pofałdowany krajobraz, przerywany tu i ówdzie pasmami niskich wzgórz. Daleko na północy widać było na horyzoncie zarys wyższych wzniesień. Kraj był całkowicie ogołocony z roślinności

z wyjątkiem szkodliwych chwastów, co świadczyło o ponurej walce o przetrwanie, jaką toczyli jego nieszczęśliwi mieszkańcy. Nie widzieliśmy żadnych owadów, gadów czy ptaków: wszelkie żywe stworzenia zostały pożarte podczas katastrofy, która spadła na tę krainę.

Posuwając się z trudem naprzód przez wyniszczone i przygnębiające pustkowia, staraliśmy się jak tylko mogliśmy podtrzymywać się nawzajem na duchu i setki razy czułem wdzięczność, że nie kto inny, a właśnie Tavia była moją towarzyszką.

Co mógłbym zdziałać w tych okolicznościach, obarczony Sanoma Torą? Wątpię, czy zdołałaby przejść pieszo tuzin haadów, tymczasem Tavia maszerowała przy moim boku mnie z gibkim wdziękiem, jak prawdziwy okaz zdrowia i siły. Trzeba prawdziwej sprawności, aby dotrzymać mi kroku w marszu, ale moja przyjaciółka nie została ani razu w tyle, ani nie zaczynała zdradzać oznak zmęczenia.

– Pasujemy do siebie, Tawio – powiedziałem.

– Tak właśnie myślałam... już od dawna – odparła cichym głosem.

Szliśmy dalej, prawie do zmroku, nie natykając się nawet na ślady żywych istot. Mieliśmy już pogratulować sobie szczęścia, kiedy Tavia obejrzała się za siebie, jak robiło to często któreś z nas.

Chwyła mnie za rękę i wskazała głową do tyłu.

– Idą! – stwierdziła po prostu.

Obejrzałem się i ujrzałem trzy postaci idące naszym tropem. Znajdowały się za daleko, żebym zauważył cokolwiek poza tym, że były to istoty ludzkie. Najwyraźniej zauważyły nas i zbliżały się równomiernym truchtem.

– Co robimy? – zapytała Tavia. – Będziemy walczyć czy spróbujemy ukryć się przed nimi do zapadnięcia zmroku?

– Ani jedno ani drugie – odparłem. – Ukryjemy się teraz, ale bez zbędnego wysiłku.

– W jaki sposób? – zapytała.

– Dzięki wynalazczemu geniuszowi Phor Taka i niewidzialnej farbie, którą mu zwędziłem.

– Wspaniale! – zawołała. – Zapomniałam o twoim okryciu. Dzięki niemu bez problemu unikniemy wszelkich niebezpieczeństw w drodze do Gathol.

Otworzyłem kieszeń na pasie i sięgnąłem do niej po płaszcz. Zniknął, podobnie jak fiołka z resztką farby! Spojrzałem na Tavię. Musiała dostrzec prawdę w wyrazie mojej twarzy.

– Zgubiłeś go? – spytała.

– Nie, ktoś mi go ukradł – odpowiedziałem.

Podeszła i położyła mi dłoń na ręce współczującym gestem. Wiedziałem, że pomyślała to samo, co ja: płaszcz mogła ukraść tylko Sanoma Tora. Zwiesiłem głowę. – Pomyśleć tylko, że narażałem cię na niebezpieczeństwo, żeby ratować kogoś takiego!

– Nie sądz jej zbyt pochopnie – odparła. – Nie wiemy, jakiej próbie została poddana ani jakich grózb użył Tul Axtar, żeby sprowadzić ją z drogi honoru. Może nie jest tak silna, jak my.

– Nie mówmy o niej – rzekłem. – Miłość, która zmieniła się w nienawiść, to odrażające uczucie, Taviu.

Ujęła mnie za ramię.

– Czas leczy wszelkie rany – powiedziała. – Znajdziesz kiedyś kobietę godną ciebie, o ile taka istnieje.

Spojrzałem na nią.

– O ile istnieje... – zawtórowałem, myśląc głośno, ale przerwała mi pytaniem.

– Będziemy walczyć czy uciekać?

– Wolałbym walczyć i zginąć – odpowiedziałem. – Muszę jednak myśleć o tobie.

– W takim razie zostaniemy tu i będziemy walczyć – oznajmiła. – Nie daj się jednak zabić, Hadronie.

Nie umknęła mi nuta wyrzutu w jej głosie i zawstydyłem się, uświadomiwszy sobie, że omal nie zapomniałem o wielkim długu przyjaźni, jaki wobec niej miałem.

– Przepraszam – powiedziałem. – Nie chcę ginąć, Tawio, dopóki ty żyjesz.

– Tak już lepiej – stwierdziła. – Jak będziemy walczyć? Mam stanąć po prawej czy po lewej stronie?

– Stań za mną – rzekłem. – Dopóki utrzymam w dłoni miecz, nie potrzebujesz innej obrony.

– Kiedy się poznaliśmy, mówiłeś, że chciałbyś widzieć we mnie towarzysza broni – przypomniała. – A to znaczy, że będziemy walczyć razem, ramię przy ramieniu lub broniąc wzajemnie swoich pleców. Trzymam cię za słowo, Tan Hadronie z Hastor.

Uśmiechnąłem się i choć sądziłem, że łatwiej byłoby mi walczyć samemu niż z kobietą u boku, byłem pełen uznania dla jej odwagi.

– Świetnie! – powiedziałem. – Staniesz po mojej prawej stronie; w ten sposób będą cię chronić dwa miecze.

Tropiący nas zbliżyli się na tyle, że widziałem ich dość wyraźnie: były to nagie, dzikie stworzenia o splątanych, skudlonych włosach, brudnych ciałach i otępiałym wyrazie twarzy. Dzikie blask w oczach, odsłonięte w warkocie poźółkłe kły i cichy, skradający się chód sprawiały, że przypominali bardziej zwierzęta niż ludzi.

Mieli przy sobie miecze, które – nie mając pochew ani uprzęży – nieśli w dłoniach. Zatrzymali się w niewielkiej odległości, mierząc nas głodnym spojrzeniem. Z pewnością byli naprawdę głodni, ponieważ zwiotczałe brzuchy wskazywały na to, że często chodzili o pustym żołądku, a sytość zapewniała im tylko wystarczająca ilość mięsa. W oczach tej trójki widziałem, że dziś wieczór mieli nadzieję najeść się do syta. Szeptali między sobą przez parę chwil, po czym rozdzielili się, żeby zaatakować nas jednocześnie z różnych stron.

- Przejmiemy inicjatywę, Tavo – powiedziałem cicho. – Kiedy nas otoczą, dam znak, po czym ruszę na tego z przodu i spróbuję zabić go, zanim pozostali rzucą się na nas. Trzymaj się blisko, żeby cię nie odcięli.
- Zostanę przy tobie aż do końca – odpowiedziała.

## ROZDZIAŁ 14

### BITWA O JAHAR

Obejrzawszy się przez ramię, zobaczyłem, że zachodząca nas od tyłu dwójka miała do pokonania o wiele większy dystans niż stworzenie przed nami, a wiedząc, że zaskoczenie zwiększy nasze szanse powodzenia, dałem sygnał do ataku.

– Teraz! – szepnąłem, po czym pobiegliśmy w stronę stojącego przed nami nagiego dzikusa.

Tego najwyraźniej się nie spodziewał; widać było też, że myślał bardzo powoli, ponieważ kiedy zobaczył, że zbliżamy się w jego stronę, opuścił szczękę i stał po prostu, czekając. Tymczasem, gdyby miał choć szczytki rozumu, cofnąłby się, żeby zyskać czas dla towarzyszy, którzy mieli zaatakować nas od tyłu.

Kiedy skrzyżowaliśmy ostrza, usłyszałem za sobą dziki warkot, jaki mogłoby wydać dzikie zwierzę. Kątem oka zauważyłem, że Tavia obejrzała się za siebie, po czym – zanim zrozumiałem, co zamierzała zrobić – skoczyła do przodu, zatapiając ostrze w ciele człowieka przed nami, kiedy ten ruszył na mnie z mieczem. Następnie obróciliśmy się razem w stronę pozostałych kanibali, którzy właśnie nadbiegali i możecie mi wierzyć, że poczułem ulgę na myśl o tym, że nie mieli już nad nami przewagi liczebnej.

Kiedy starli się z nami, początkowo przeszkadzała mi konieczność upewniania się, jak radzi sobie Tavia, ale nie trwało to długo.

Momentalnie uświadomiłem sobie, że jej ostrze spoczywa w dłoni prawdziwej mistrzyni. Omijała zgrabnie niewprawne blokady dzikusa i już

wiedziałem, a on zapewne zaczynał się domyślać, że jego życie leżało w drobnej dłoni, która ścisnęła rękojeść broni. Zająłem się własnym przeciwnikiem.

Ludożercy nie należeli do najlepszych szermierzy, jakich w życiu spotkałem, ale nie byli też wcale kiepscy. Ich umiejętności w obronie górowały jednak zdecydowanie nad atakiem, co zawdzięczali zapewne dwóm czynnikom: wrodzonemu tchórzostwu oraz temu, że polowali zwykle w stadach o wiele liczniejszych od zwierzyny. Stąd potrzebowali tylko zdolności defensywnych, ponieważ zabójczy cios zawsze mógł zostać zadany od tyłu przez towarzyszy osobnika walczącego z ofiarą od przodu.

Nigdy jeszcze nie widziałem walczącej kobiety i wydawało mi się, że bijąc się u boku przedstawicielki płci pięknej czułbym upokorzenie. Zamiast tego, na widok Tavii czułem dziwny dreszcz dumy zmieszanej z innym uczuciem, którego nie potrafiłem jeszcze określić.

Walczący z nią człowiek w pierwszej chwili nie wiedział, jak sędzę, że ma do czynienia z kobietą, choć na pewno zorientował się szybko, ponieważ noszona na Barsoom skąpa uprząż niewiele zasłania, a już z pewnością nie mogła ukryć dziewczęcych krągłości Tavii. Możliwe zatem, że zgubiło go zaskoczenie albo nadmierna pewność siebie, kiedy odkrył płeć przeciwnika. Tak czy owak, Tavia przebiła mu serce na chwilę zanim skończyłem ze swoim dzikusiem.

Nie mogę powiedzieć, żeby to zwycięstwo wypełniło nas uniesieniem. Czuliśmy raczej współczucie dla nieszczęsnych stworzeń, doprowadzonych do tak strasznego stanu przez okrutne rządy Tul Axtara. Chodziło jednak o o nasze lub ich życie i cieszyliśmy się, że to nie my zginęliśmy.

Kiedy padł ostatni z przeciwników, rozejrzałem się prędko na wszelki wypadek. Dobrze się stało, ponieważ zauważyłem od razu trzy inne istoty, przycupnięte na szczycie pobliskiego pagórka.

– To nie koniec, Tavio – powiedziałem. – Spójrz! – Wskazałem w ich stronę.



– Może nie chcą podzielić losu towarzyszy – odparła. – Nie zbliżają się.  
– Jeśli o mnie chodzi, mogą odejść w pokoju – stwierdziłem. –  
Ruszajmy dalej. Jeśli pójdą za nami, będziemy mieli dość czasu, żeby  
o nich myśleć.

Pomaszerowaliśmy dalej na północ, oglądając się od czasu do czasu.  
Zobaczyliśmy wkrótce, że cała trójka wstała i zeszła po zboczu w stronę  
ciał poległych towarzyszy. Zauważyliśmy wtedy, że były to kobiety i że nie  
miały przy sobie broni.

Kiedy zrozumiały, że odchodzimy i nie zamierzamy ich atakować,  
pobiegły w stronę zwłok, wydając niesamowite, głośne wrzaski.

– Co za żałosny widok! – stwierdziła smutnym głosem Tavia. – Nawet  
te otępiełe, nieszczęsne istoty posiadają uczucia ludzkie. One również  
odczuwają smutek po stracie ukochanych osób.

– Tak – zgodziłem się. – Żal mi tych biedaczek.

Obawiając się, że ogarnięte histerią kobiety mogły próbować pomścić  
poległych towarzyszy, obserwowaliśmy je czujnie i tylko dzięki temu  
zobaczyliśmy odrażającą scenę w miejscu starcia, której wolałbym nie  
oglądać.

Kiedy dotarły do zwłok, rzuciły się na nie, ale nie z płaczem i lamentem,  
ale po to, żeby je pożreć.

Ogarnęły nas mdłości. Odwróciliśmy się i ruszyliśmy dalej, maszerując  
szybkim krokiem na północ jeszcze długo po zapadnięciu ciemności.

Czuliśmy, że po zmroku nie groził nam żaden atak, ponieważ dzikich  
zwierząt nie było w krainie, która nie była w stanie ich wyżywić. Mogliśmy  
też założyć, że wędrujący w poszukiwaniu zdobyczy ludzie polowali raczej  
za dnia niż w nocy, ponieważ w ciemności mieli o wiele gorsze warunki  
do znalezienia lub tropienia ofiary.

Zaproponowałem, żebyśmy zrobili krótki postój, a następnie  
wykorzystali resztę nocy na dalszą wędrówkę na północ. Z samego rana  
mieliśmy poszukać kryjówki i zostać w niej do zapadnięcia zmroku, byłem

bowiem przekonany, że korzystając z nocnego chłodu przemieszczalibyśmy się szybciej i z mniejszym znużeniem, równocześnie mocno zmniejszając ryzyko wykrycia i zaatakowania przez wszelkich wrogów dzielących nas od Gathol.

Tavia zgodziła się ze mną, zatrzymaliśmy się więc na pewien czas, śpiąc na zmianę.

Następnie ruszyliśmy dalej i przed świtem pokonaliśmy na pewno spory dystans, choć wysokie wzgórza na północy sprawiały wrażenie równie dalekich jak poprzedniego dnia.

Zaczęliśmy rozglądać się za dogodną kryjówką, w której moglibyśmy spędzić dzień. Nie czuliśmy jeszcze większego pragnienia czy głodu, co czekałoby w tych samych okolicznościach starożytnych Marsjan, ponieważ wraz ze stopniowym kurczeniem się zasobów wody i roślinności, niezliczone wieki powolnej ewolucji na Barsoom obdarzyły wszystkie tutejsze stworzenia umiejętnością obywania się przez długi czas bez jedzenia i picia. Nauczyliśmy się też kontrolować swoje umysły do tego stopnia, że nie dopuszczamy do nich myśli o piciu i jedzeniu, dopóki nie staną się dostępne, co przydaje się na pewno w panowaniu nad zachciankami podniebienia.

Po dłuższym poszukiwaniu udało nam się znaleźć głęboką i wąską rozpadlinę, która wyglądała na wspaniałą kryjówkę. Zaledwie jednak do niej weszliśmy, zauważyłem parę oczu obserwujących nas z jednego z okolicznych wzgórz. Kiedy obróciłem się w ich stronę, głowa do której należały, zniknęła za szczytem.

– I to by było na tyle – powiedziałem, tłumacząc Tavieri, co zobaczyłem. – Musimy poszukać nowej kryjówki.

Kiedy wyszliśmy z drugiej strony rozpadliny, obejrzałem się za siebie. Znowu zauważyłem obserwujące nas stworzenie, które próbowało się przed nami schować. Idąc dalej, oglądałem się co jakiś czas i od czasu do czasu udawało mi się je dostrzec: był to jeden z łowców z U-Gor. Tropił nas, jak

dzikie zwierzęta tropią zdobycz. Na samą myśl o tym poczułem wstręt. Zapewne byłoby inaczej, gdyby naszym śladem podążał wojownik zamierzający nas zabić, ale myśl o tym, że tropiące nas ukradkiem stworzenie chciało nas pożreć, była wstrętna i przerażająca.

Stworzenie śledziło nas całymi godzinami; niewątpliwie nie ośmieliło się zaatakować, ponieważ mieliśmy przewagę liczebną, a może uznało, że rozdzielimy się w końcu, zaśniemy lub zrobimy cokolwiek z tego, co robią zwykle wędrowcy, dzięki czemu zyskałoby upragnioną okazję. Po pewnym czasie porzuciło chyba jednak nadzieję. Nie próbowało już ukrywać się przed nami, a raz stanąwszy na niskim wzgórzu za nami, odrzuciło w tył głowę i wydało z siebie przeraźliwy, niesamowity skowyt, który podniósł mi włosy na karku. Był to zew polującej dzikiej bestii, zwołującej stado do zdobyczy.

Poczułem, jak Tavia zadrżała i przybliżyła się do mnie. Objąłem ją opiekuńczym gestem i przez dłuższy czas szliśmy w ten sposób, milcząc.

Stworzenie wydało jeszcze dwa razy niesamowity zew, na który odpowiedziało w końcu inne, po prawej stronie przed nami.

Znów musieliśmy walczyć, choć tym razem tylko z dwoma dzikusami. Kiedy ruszyliśmy dalej, ogarnęło mnie przygnębienie, z którego nie mogłem się otrząsnąć, wywołane rozpaczliwością naszego położenia.

Zatrzymałem się na szczycie wzgórza wyższego niż te, które do tej pory pokonaliśmy. Rosły tam jakieś wysokie chwasty.

– Połóżmy się – zaproponowałem. – Mamy stąd dobry widok; możemy przez jakiś czas obserwować okolicę. Prześpij się, a po zmroku ruszymy dalej.

Wyglądała na zmęczoną. Zmartwiło mnie to, choć zdawało się, że cierpiała nie tyle fizycznie, co z powodu napięcia wywołanego stałym tropieniem przez ludożerców. Będąc doświadczonym wojownikiem, sam zaczynałem czuć się nerwowo wyczerpany, a co dopiero młoda

dziewczyna! Przytuliła się do mnie, jakby dzięki temu czuła się bezpieczniej, i wkrótce zasnęła; tymczasem ja trzymałem wartę.

Z wysokiego stanowiska widziałem spory fragment okolicy i niedługo wypatrzyłem sylwetki ludzi skradających się niczym polujące banthy. Często widać było wyraźnie, że tropili innych. Raz zobaczyłem ich co najmniej pół tuzina równocześnie. Widziałem, jak jeden z ludożerców dogonił ofiarę i rzucił się na nią od tyłu. Byłem za daleko, żeby widzieć dokładnie, jak przebiegło starcie, ale uznałem że napastnik przebił ją mieczem, po czym rzucił się na nią jak banth i pożarł. Nie wiem, czy zjadł ją w całości, ale kiedy zapadł zmrok, jeszcze nie skończył.

Tavia spała długo, a obudziwszy się zganiała mnie, że pozwoliłem jej na to. Upierała się, że powinienem również odpocząć.

Z konieczności nauczyłem się obywać małą ilością snu, kiedy warunki na niego nie pozwalają, choć później muszę nadrobić brak odpoczynku. Umieję również skracać odpoczynek do dowolnie wybranej długości, obudziłem się więc błyskawicznie, kiedy nadszedł wyznaczony przeze mnie moment, i ruszyliśmy znów w stronę Gathol.

Tej nocy, tak jak poprzedniej, przemierzaliśmy bez przeszkód okropny krajobraz U-Gor, a z nastaniem świtu ujrzeliśmy w pobliżu przed sobą wysokie wzgórza.

– Może to pasmo stanowi północną granicę U-Gor – zasugerowałem.

– Chyba tak – odpowiedziała Tavia.

– Jesteśmy już niedaleko – stwierdziłem. – Chodźmy dalej, aż do nich dotrzemy. Nie mogę doczekać się, aż zostawię za sobą tę przeklętą krainę.

– Ja również – powiedziała Tavia. – Mdłości mnie ogarniają na myśl o tym, co tu widziałam.

Przeszliśmy wąską dolinę i wchodziliśmy właśnie między wzgórza, kiedy usłyszeliśmy za sobą straszliwy zew łowców. Odwróciłem się i zauważyłem samotnego dzikusa idącego przez dolinę w naszym kierunku. Wiedział, że go zauważyłem, mimo to szedł dalej równomiernym krokiem,

przystając od czasu do czasu, żeby wydać swój niesamowity wrzask. Znienacka, ze wschodu odpowiedział mu inny krzyk, po nim kolejny i jeszcze jeden, z różnych stron. Pobiegliśmy, wspinając się na niskie pagórki prowadzące ku szczytowi, a obejrzawszy się za siebie, zobaczyliśmy łowców, którzy zmierzali w naszą stronę ze wszystkich kierunków. Nigdy jeszcze nie widzieliśmy ich aż tylu naraz.

– Może uda nam się uciec, jeśli wejdziemy daleko w góry – powiedziałem.

Tavia potrząsnęła głową.

– Przynajmniej nie poddaliśmy się bez walki – stwierdziła.

Widziałem, że była zniechęcona i trudno było jej się dziwić; chwilę później jednak podniosła na mnie wzrok i uśmiechnęła się promiennie.

– Jeszcze żyjemy, Hadronie! – powiedziała głośno.

– Żyjemy i mamy broń – przypomniałem.

Wspinaliśmy się dalej. Tymczasem pogoń była coraz bliżej, a wkrótce zauważyłem innych dzikusów, nadciągających przez wzgórza po prawej i po lewej stronie. Zeszliśmy z niskiego siodła, którym miałem nadzieję dotrzeć na szczyt, ponieważ w górze pojawili się na nim łowcy, którzy zaczęli schodzić prosto na nas. Dokładnie przed sobą mieliśmy teraz wysoki grzbiet, na ile widziałem, najwyższy w całym pasmie i tylko na jego stromym zboczu nie zagradzali nam drogi łowcy.

W miarę, jak wspinaliśmy się wyżej, zbocze stawało się coraz bardziej strome, a dalsza droga stała się nie tylko ciężka, a wręcz niebezpieczna. Nie mieliśmy jednak innego wyjścia, parliśmy więc dalej w stronę szczytu, ścigani przez ludożerców z U-Gor. Nie biegli za nami, co upewniło mnie, że domyślali się, iż udało im się nas osaczyć. Wypatrywałem miejsca, w którym moglibyśmy się bronić, ale nie znalazłem żadnego. Dotarliśmy wreszcie na szczyt: kolistą platformę o średnicy około stu stóp.

Ponieważ ścigający byli jeszcze nieco pod nami, obszedłem szybko krawędź szczytu, podobnego do blatu stołu. Północne zbocze opadało

kilkaset stóp w stromą przepaść, odcinając nam ostatecznie dalszą ucieczkę. Ze wszystkich pozostałych stron wspinali się w naszą stronę łowcy. Sytuacja wyglądała na beznadziejną; ba! była beznadziejna. Mimo to, nie chciałem uznać porażki.

Szczyt góry usiany był skalnymi odłamkami. Cisnąłem kamieniem w najbliższego kanibala. Dostał w głowę i spadł po zboczu, pociągając za sobą paru towarzyszy. Tavia poszła za moim przykładem i bombardowaliśmy ich razem, częściej jednak chybiałiśmy niż trafialiśmy celu; łowcy zaś byli tak liczni, zawzięci i wygłodzeni, że nie udało nam się ich choćby spowolnić. Było ich już tylu, że przypominali wspinające się w naszą stronę owady – wielkie, groteskowe insekty, które wkrótce miały opaść nas i pożreć.

Kiedy podeszli bliżej, wydali nowe zawołanie, którego jeszcze nie słyszałem. Różniło się od zewu łowcy, choć było równie przerażające.

– To ich okrzyk wojenny – powiedziała Tavia.

Tłum wdrapywał się coraz wyżej z nieubłaganą zawziętością. Sięgnęliśmy po miecze. Tu mieliśmy stoczyć ostatnią walkę. Tavia przysunęła się do mnie i po raz pierwszy poczułem, że drży.

– Nie pozwól, żeby mnie dostali – powiedziała. – Nie śmiem się boję.

Wiedziałem, o czym myślała, i wziąłem ją w ramiona.

– Nie potrafię tego zrobić, Tawio – odpowiedziałem. – Nie mogę.

– Musisz – oznajmiła stanowczym głosem. – Skoro uważasz mnie za przyjaciółkę, nie możesz dopuścić, żeby te bestie wzięły mnie żywcem.

Głos uwiązał mi w gardle i nie mogłem odpowiedzieć. Wiedziałem jednak, że miała rację i sięgnąłem po sztylet.

– Żegnaj, Hadronie!

Obnażyła pierś w oczekiwaniu ostrza, zwrócona twarzą ku mojej twarzy. W jej rysach nadal nie było ani śladu lęku. Jakże piękna była w tej chwili!

Pod wpływem impulsu, kierowany nie poddającą się mojej kontroli siłą, pochyliłem się i przyłożyłem usta do jej ust. Przemykając oczy, wpiła się

we mnie wargami.

– Och, na Issus! – westchnęła, kiedy przerwaliśmy pocałunek. – Są coraz bliżej! Teraz, Hadronie, uderz głęboko!

Łowcy dotarli już prawie na szczyt wzgórza. Podniosłem rękę, żeby wbić wąski sztylet w doskonałą pierś Tawii. Zdziwiłem się, stwierdziwszy, że kostkami palców uderzyłem o coś twardego nade mną. Spojrzałem w górę. Nie było tam nic, a jednak coś kazało mi ponownie wyciągnąć rękę w górę, żeby nawet w tej dramatycznej chwili rozwiązać niezwykłą zagadkę.

Uniosłem dłoń. Na Issus, coś tam było! Przesunąłem palcami po gładkiej, znajomej powierzchni.

Niemożliwe, ale to musiał być „Jhama”!

Chwila nie sprzyjała zadawaniu sobie pytań. Ludożercy niemal już do nas dotarli, kiedy wymacałem jeden z pierścieni na dziobie statku. Prędko uniosłem Tavię nad głowę.

– To „Jhama”! Wdrap się na pokład – powiedziałem.

Kochana dziewczyna chwyciła szansę daną nam przez los z szybkością doświadczonego wojownika i bez zbędnych pytań podciągnęła się na pokład ze zwinnością atlety. Kiedy chwyciłem pierścień i podciągnąłem się na nim, ułożyła się płasko na brzuchu i pomogła mi, wyciągając w dół rękę. Odkryłem przy tym, że jej smukłe ciało kryło w sobie całkiem odpowiednią do tego zadania siłę.

Pierwsi łowcy zdążyli dotrzeć na szczyt. Widząc, jak wspinamy się w powietrzu i stajemy w próżni nad ich głowami, w pierwszej chwili zatrzymali się zmieszani. Po chwili głód popędził ich jednak dalej i ruszyli w naszą stronę, wdrapując się jedni drugim na plecy i ramiona, żeby nas złapać i ściągnąć w dół.

Dwóm nieomal udało się wdrapać na pokład, kiedy samodzielnie odpierałem wszystkich naraz. Tymczasem Tawia podniosła włąz i skoczyła do sterów.

Kolejne stworzenie o szkaradnym obliczu wspięło się na pokład po przeciwnej stronie statku i tylko przypadek zrzucił, że zauważyłem je, zanim wbiło mi miecz w plecy. Statek wzbijał się już, kiedy odwróciłem się, żeby stanąć z nim do walki. Nie mieliśmy zbyt wiele miejsca, ale przewagę dawała mi dokładna wiedza o długości pokładu, podczas gdy ludożerca widział tylko powietrze. Zdaje się, że ten fakt spłoszył go również i kiedy natarłem, zrobił krok w powietrze i wrzeszcząc z przerażenia zapikował ku ziemi.

Byliśmy uratowani, ale – na wszystkich przodków! – w jaki sposób „Jhama” znalazł się akurat tutaj?

Może na pokładzie był Tul Axtar! Niepokojąc się o Tavię zeskoczyłem z mieczem w rękę do kabiny, ale nie było tam nikogo poza nią.

Usiłowaliśmy znaleźć jakiejś wytłumaczenie cudu, który nas ocalił, ale żaden z naszych domysłów nie wydawał się choćby częściowo zadowalający.

– Znaleźliśmy statek wtedy, kiedy był nam najbardziej potrzebny – stwierdziła Tavia. – I to powinno nam wystarczyć.

– Przynajmniej na chwilę obecną – odparłem. – A teraz lećmy znów do Helium.

Oddaliliśmy się nieco od gór, kiedy zauważyłem w oddali okręt, potem kolejny i jeszcze jeden. Zdałem sobie sprawę, że zbliżaliśmy się do lecącej na wschód wielkiej floty. Zbliżywszy się, zauważyliśmy pokryte upiornie niebieską farbą kadłuby i wiedzieliśmy, że mieliśmy przed sobą olbrzymią armadę Tul Axtara.

Zauważyliśmy inne okręty, zbliżające się od wschodu, i wiedziałem, że była to flota Helium. Nie było innej możliwości; mimo to, musiałem się upewnić, pomknąłem więc w stronę ich najbliższej jednostki, dopóki nie ujrzałem na górnych masztach bander i proporców Helium oraz wymalowanych na dziobie znaków wojennych Wodza. Za okrętem leciała reszta floty: duma Helium leciała na spotkanie nieuniknionej zagłady.



Krażownik z Jahar zmierzał właśnie w stronę pierwszego okrętu, kiedy zmieniłem kurs, żeby przeciąć mu drogę i użyć jednego z miotaczy.

Musiałem podejść blisko celu, podobnie jak okręt Jahar, ponieważ skuteczny zasięg dezintegratora był mocno ograniczony.

Na pokładzie jednostki z Helium wszystko było gotowe do akcji, ale wiedziałem, dlaczego nie otwierali jeszcze ognia. John Carter szczyił się zawsze, że nigdy nie zaczął wojny. To nieprzyjaciel musiał oddać pierwszy strzał. Gdybym dotarł do nich na czas, zrozumiałby zabójcze konsekwencje swojego wielkodusznego, rycerskiego kodeksu, a wyposażone w dalekosiężne działa okręty Helium mogłyby unicestwić całą flotę Jahar, zanim ta dotarłaby na odległość skutecznego strzału z dezintegratora. Los zrzucił jednak inaczej i mogłem tylko mieć nadzieję, że uda mi się dotrzeć do krążownika z Jahar zanim będzie za późno.

Tavia siedziała przy sterach. Pędziliśmy w stronę niebieskiego okrętu. Stanąłem przy miotaczu na dziobie. Mieliśmy już wejść w zasięg strzału, gdy zobaczyłem, jak okręt Helium rozpadł się w powietrzu. Drewniane elementy konstrukcji opadały wolno w stronę ziemi, a wraz z nimi tysiąc wojowników runęło na spotkanie okrutnej śmierci na jałowej powierzchni planety.

Niemal natychmiast reszta floty zatrzymała się. Zauważyli katastrofę pierwszego okrętu linii i dowódca z pewnością uświadomił sobie, że zagrażała im jakaś nowa, całkowicie nieznana siła.

Okręty Tul Axtara, zachęczone pierwszym sukcesem, ruszyły szybko do ataku. Na czele leciał krążownik, który zniszczył wielki okręt Helium, ale znalazł się właśnie w moim zasięgu.

Wiedząc, że niebieska farba ochroni statek przed promieniami dezintegracji, wsunąłem do komory miotacza pocisk innego typu, wdusiłem przycisk i gwałtownym ruchem przesunąłem wylot broni, omiatając promieniem cały statek.

W jednej chwili ludzie na pokładzie rozwiali się w powietrzu – zostały po nich tylko uprząż, odznaki i broń.

Poleciłem Tawii, żeby podleciała „Jhamą” do burty krążownika, po czym uniosłem górny właz i przeskoczyłem na pokład okrętu z Jahar, i po chwili podniosłem nad nim sygnał kapitulacji. Można wyobrazić sobie dezorientację, jaka zapanowała wśród pobliskich jednostek Jahar, kiedy ujrzały go na przednim maszcie, ponieważ żadna z nich nie była na tyle blisko, żeby widzieć, co naprawdę zaszło.

Wróciłem do kabiny „Jhamy”, zamknąłem za sobą właz i rzuciłem się do peryskopu. Daleko za pierwszą linią floty Jahar zauważyłem wielki statek z królewskimi znakami, co sugerowało, że Tul Axtar brał udział w bitwie, choć z bezpiecznej pozycji. Chciałbym ruszyć teraz na jego okręt flagowy, ale jednostki Jahar zmierzały dalej w stronę okrętów Helium i nie miałem czasu, żeby zajmować się nim teraz.

Okręty Helium zdążyły otworzyć ogień i wśród czołowych statków z Jahar zaczęły eksplodować pociski, których zapalnik czasowy można ustawić z taką precyzją, aby wybuchły w dowolnym punkcie sięgającym maksymalnego zasięgu działa. Trzeba naprawdę doświadczonej obsługi, aby zsynchronizować nastawę zapalnika z celem.

Kiedy jeden okręt Jahar za drugim otrzymywał trafienia, reszta wprowadziła do walki wielkie działa. Dezintegratory nie sprawdziły się dotychczas, choć wiedziałem, że zapewniłyby ludziom Tul Axtara przewagę, gdyby choć jeden okręt zdołał przedrzeć się przez linię Helium, skąd w ciągu paru minut mógłby zniszczyć tuzin wielkich statków.

Artylerzyści z Jahar byli słabo wyszkoleni: ich pociski wybuchały zwykle w powietrzu zanim trafiły w cel, choć w miarę trwania starcia ich celność poprawiała się. Wiedziałem jednak, że nie mieli szans na pokonanie Helium jego własną bronią.

Tuż obok „Jhamy” jeden z wielkich okrętów Tul Axtara otrzymał trzy trafienia jedno po drugim. Zobaczyłem, że jego rufa pochyliła się

i wiedziałem, że był zgubiony. Zaraz potem ujrzałem, jak dowódca pobiegł w stronę dzioba i skoczył w dół. Przekonałem się, że we flocie Jahar, podobnie jak w Helium, nie brakowało odważnych ludzi. Tul Axtar jednak do nich nie należał, ponieważ zauważyłem z oddali, jak jego okręt flagowy zwrócił i popędził w stronę Jahar.

Mimo tchórzostwa jeddaka, wielka armada parła dalej do ataku. Gdyby nie zabrakło im odwagi, mogli jeszcze wygrać, ponieważ mieli nad Helium przewagę liczebną dziesięciu do jednego, a jak okiem sięgnąć, z północy, południa i zachodu nadciągały w stronę pola bitwy kolejne jednostki.

Statki Helium zbliżały się coraz bardziej do floty przeciwnika. Nieświadomie, Wódz Marsa dawał nieprzyjaciołom przewagę nad sobą. Wiedziałem, że przy lepszej celności naszych artylerzystów, dysponując dwudziestoma okrętami pokrytymi farbą ochronną, Helium mogłoby unicestwić wielką armadę Tul Axtara. Poczułem natchnienie: rzecz była wykonalna i tylko ja mogłem to zrobić.

Wszędzie dokoła padały pociski. Siła eksplozji ciskała statkiem, a „Jhama” podskakiwał i miotał się na wszystkie strony, jak starożytny statek na morzu. Co i rusz znajdowaliśmy się niebezpiecznie blisko linii ognia miotaczy okrętów Jahar. Nie mogłem narażać w ten sposób życia Tavii, a przecież musiałem wprowadzić w życie obmyślony przez siebie plan!

Dziwne, jak bardzo i z jak pozornie błahych przyczyn zmieniają się ludzie. Przez całe życie sądziłem, że dla ojczyzny byłbym gotów poświęcić wszystko. Teraz jednak wiedziałem, że nie oddałbym ani jednego włosa z tej zmierzwionej czupryny za całe Barsoom. Mimo to, nadal wmawiałem sobie, że była to tylko przyjaźń.

Przejąłem stery i obróciłem „Jhamę” w stronę jednego z okrętów Helium, który znalazł się przez jakiś czas za linią ognia. Kiedy podlecieliśmy do burty, oddałem stery Tavii, uniosłem przedni wąż

i wyskoczyłem na pokład „Jhamy”, unosząc dłonie nad głowę w geście poddania, na wypadek, gdyby wzięto nas za statek z Jahar.

Co pomyśleli sobie na widok człowieka, który najwyraźniej unosił się w powietrzu? O zdumieniu żołnierzy stojących najbliżej burty, kiedy „Jhama” zetknął się z nią, świadczyły najlepiej ich miny.

Celowali do mnie, kiedy wszedłem na pokład okrętu, pozostawiając Tavii manewrowanie naszym statkiem.

Zanim zdążyłem się przedstawić, rozpoznał mnie pewien młody oficer z mojego macierzystego umaku. Wydając okrzyk zdziwienia, skoczył do przodu i objął mnie.

– Hadron! – zawołał. – Czyżbyś wrócił z za grobu? Nie, jesteś zbyt żywy i prawdziwy jak na widmo z zaświatów.

– Żyję i wy również! – powiedziałem. – Ale niedługo to potrwa, o ile nie przekażę ważnej wiadomości twojemu dowódcy. Gdzie on jest?

– Tutaj – odezwał się za mną czyjś głos. Odwróciłem się i ujrzałem starego odwara, który był wielkim przyjacielem mego ojca. Rozpoznał mnie od razu, ale nie mieliśmy czasu na powitania.

– Ostrzeżcie resztę floty, że okręty Jahar uzbrojone są w miotacze promieni, które potrafią unicestwić każdy statek tak samo, jak zniszczyły na waszych oczach pierwszy okręt. Ale są skuteczne tylko na krótkim dystansie.

– Utrzymujcie odległość co najmniej haada od nich, a będziecie stosunkowo bezpieczni. A teraz, o ile dasz mi trzech ludzi i skierujesz ogień naszej floty z dala od południowej części linii nieprzyjaciela, za godzinę przyprowadzę ci dwadzieścia statków pokrytych niebieską farbą ochronną, która unieszkodliwi promienie.

Odwar znał mnie dobrze i na własną odpowiedzialność zgodził się spełnić moją prośbę.

Trzej padwarowie z mojego rocznika zgłosili się do lotu ze mną. Odprowadziłem Tavię na okręt i mimo nieustających protestów, oddałem ją

pod opiekę starego odwara.

– Tyle razem przeszliśmy, Hadronie! – powiedziała. – Zostańmy razem do końca.

Podeszła blisko i przemawiała do mnie cichym głosem, którego nie słyszał nikt poza mną. Podniosła na mnie błagalne spojrzenie.

– Nie mogę cię dłużej narażać – oznajmiłem.

– A zatem sądzisz, że ryzyko jest tak wielkie? – zapytała.

– Oczywiście, że będziemy ryzykować – odparłem. – To jest wojna, a na wojnie nigdy nic nie wiadomo. Ale nie martw się, wrócę bezpiecznie.

– Wobec tego obawiasz się pewnie, że będę ci zawadzać – stwierdziła. – A ktoś inny spisze się lepiej ode mnie.

– Ależ skąd – odpowiedziałem. – Myślę tylko o twoim bezpieczeństwie.

– Przysięgam, że nie przeżyję, jeśli zginiesz – powiedziała. – O ile więc uważasz, że potrafię wykonać zadania mężczyzny, pozwól, żebym poleciała z tobą zamiast jednego z tych ludzi.

Zawahałem się.

– Proszę, Hadronie, nie zostawiaj mnie tu bez ciebie – dodała.

Nie potrafiłem jej odmówić.

– Świetnie – oznajmiłem. – Chodź ze mną. Wolę ciebie niż kogokolwiek innego – I w ten sposób Tavia zastąpiła na „Jhamie” jednego z padwarów, ku jego wielkiemu rozgoryczeniu.

Przed powrotem na swój statek, odwróciłem się jeszcze do starego odwara.

– Jeśli nam się uda, część okrętów Tul Axtara wywiesi sygnał kapitulacji i zacznie kierować się powoli w stronę naszych linii – powiedziałem. – Na ich pokładach nie będzie załóg. Przygotujcie grupy abordażowe, żeby je przejąć.

Naturalnie, „Jhama” ciekawił niezmiernie wszystkich na pokładzie okrętu, choć widzieli tylko otwarty właz i oko peryskopu. Oficerowie i żołnierze ustawili się przy relingu, kiedy wchodziliśmy na pokład

niewidzialnego statku, a kiedy zamknąłem za sobą właz, usłyszałem głośny wiwat.

Pierwsza z moich decyzji potwierdziła poza wszelką wątpliwością, że Tavia była mi potrzebna, ponieważ postawiłem ją przy miotaczu na rufie, podczas gdy jeden z padwarów zasiadł przy sterach i skierował „Jhamę” w stronę floty Jahar.

Stałem w miejscu, z którego mogłem obserwować zmieniające się sceny na ekranie peryskopu. Kiedy pojawił się na nim w miniaturze okręt Jahar, poleciłem padwarowi lecieć prosto na niego. Po chwili obok niego ujrzałem drugi. Zdobycz była jeszcze lepsza, zmieniliśmy więc kurs, żeby przelecieć między nimi.

Oba statki zmierzały odważnie w stronę floty Helium, prowadząc ogień z dział i czekając z uruchomieniem miotaczy na skrócenie dystansu. Wyglądały wspaniale; mimo to, były całkowicie bezradne. Drobnym, niewidzialnym „Jhama” z niewielkim uzbrojeniem był dla nich większym zagrożeniem niż cała flota Helium. Leciły przed siebie, nieświadome zbliżającej się nieuchronnie zagłady.

– Przesuń promieniem po tym od prawej, od dzioba do rufy! – zawołałem do Tavii. – Ja wezmę ten po lewej! Pół naprzód! – krzyknąłem do siedzącego przy sterach padwara.

Mijając dzioby okrętów, wlecieliśmy powoli w lukę między nimi. Wdusiłem przycisk miotacza i przez małeńki otwór celowniczy obserwowałem, jak podczas naszego przelotu straszliwe promienie unicestwiają wszystkich członków załogi, omiecionych wiązką. Lecieliśmy bardzo blisko, na tyle blisko, że widziałem wyraz dezorientacji i przerażenia na twarzach wojowników, których towarzysze znikali na ich oczach, po czym przychodziła kolej na nich i w okamgnieniu rozpływali się w powietrzu, pozostawiając po sobie tylko odznaki i broń, spadające ze szczękiem na pokład.

Kiedy minęliśmy rufy statków, ukończywszy dzieło zniszczenia, poleciłem padwarowi zawrócić i zatrzymać „Jhamę” przy burcie jednego z nich. Przeskoczyłem zaraz na jego pokład i podniosłem sygnał kapitulacji. Po śmierci sternika okręt zszedł nieco z kursu, ale podniosłem szybko pułap i obrawszy kurs na flotę Helium, zablokowałem stery, włączyłem silniki na połowę mocy, i zszedłem z pokładu.

Po powrocie na „Jhamę” podlecieliśmy niezwłocznie do drugiego statku. Po paru chwilach on również skierował się powoli w stronę floty Wodza z wywieszonym sygnałem kapitulacji.

Akcja była tak szybka, że minęła chwila, zanim najbliższe statki Jahar choćby zauważyły, że coś było nie tak. Możliwe, że nie dowierzali własnym oczom, widząc dwa okręty poddające się, zanim dostały choć jedno trafienie. Dowódca jednego z lekkich krążowników uświadomił sobie chyba wkrótce powagę sytuacji, choć z pewnością nie rozumiał jej w pełni. Zmierzaliśmy już w stronę kolejnego celu, kiedy zauważyłem, jak krążownik ruszył prosto na jedną z naszych zdobyczy. Wiedziałem, że jeśli żołnierze wejdą na jej pokład, pozbawiony załogi okręt nie dotrze nigdy do floty Helium, musiałem im więc przeszkodzić za wszelką cenę. Kurs krążownika prowadził prosto przed dziobem „Jhamy” i kiedy mijał nas, omiotłem jego pokład wiązką promieni.

Wiedziałem, że „Jhama” nie zdoła dogonić lecącego pełną prędkością szybkiego okrętu, pozwoliłem mu więc lecieć dalej własnym torem. W pierwszej chwili obawiałem się, że staranuje najbliższą zdobycz, a przy zderzeniu z tą prędkością krążownik wbiłby się do połowy kadłuba. Na szczęście, minął okręt o włos i poleciał dalej, prosto w środek floty Helium.

Momentalnie setki dział wzięły go na cel i zasypano go gradem eksplodujących pocisków. Ostatecznie otrzymał chyba tuzin trafień równocześnie, ponieważ rozpadł się po prostu w powietrzu, zmieniając się w masę spadających szczątków.

Powróciwszy do naszego zadania, zauważyłem, jakie zniszczenie siały działa floty Helium wśród okrętów nieprzyjaciela na północ od nas. Na moich oczach trzy wielkie okręty zapikowały po raz ostatni w stronę ziemi, a co najmniej cztery inne dryfowały bezradnie z wiatrem. Do akcji włączały się jednak inne jednostki potężnej armady, nadciągające z północy, południa i zachodu. Zdawało się, że nigdy nie przestaną nadlatywać i zrozumiałem ostatecznie, że tylko cud mógł dać Helium zwycięstwo.

Zgodnie z moją sugestią, flota Helium trzymała się na dystans, skupiając ogień na najbliższych jednostkach Jahar i trzymając zabójcze miotacze promieni poza zasięgiem skutecznego strzału.

Zajęliśmy się znów naszą ponurą pracą, przydzieloną nam przez boga bitwy. Dwadzieścia okrętów, jeden po drugim, oddało nam opustoszałe pokłady, a naliczyłem, że w tym samym czasie działa floty Wodza zniszczyły dokładnie taką samą liczbę jednostek.

W trakcie misji musieliśmy zniszczyć co najmniej pół tuzina mniejszych statków, takich jak łodzie zwiadowcze albo lekkie krążowniki. Teraz pędziły one chaotycznie przez resztę floty Jahar, niewątpliwie siejąc wśród wojowników Tul Axtara dezorientację i grozę, ponieważ ludzie na najbliższych okrętach już dawno musieli zrozumieć, że flota Helium użyła przeciw nim jakiejś nowej, niezwyklej mocy.

Dotarliśmy już tak daleko za pierwszą linię nieprzyjaciela, że nie widzieliśmy okrętów Helium, choć eksplodujące pociski świadczyły ciągle o ich obecności.

Doświadczenie podpowiadało, że musieliśmy chronić zdobyte statki przed odbiciem, zawróciliśmy więc i zajęliśmy pozycję, z której mogliśmy obserwować ich jak najwięcej. Okazało się, że słusznie postąpiłem, ponieważ zanim wróciliśmy do linii Helium musieliśmy unicestwić załogi trzech kolejnych okrętów.



Moi rodacy zdążyli tymczasem obsadzić tuzin przejętych statków i wywiesiwszy nad nimi bandery i proporce Helium, ruszyli do boju przeciw ich siostrzanym jednostkom.

Na ten widok morale floty Jahar upadło. Tego było już dla nich za wiele; większość floty uznała niewątpliwie, że okręty przeszły dobrowolnie na stronę nieprzyjaciela z całą załogą i oficerami, o których śmierci mało kto – o ile w ogóle ktokolwiek – wiedział.

Ich władca dawno opuścił pole bitwy. Dwadzieścia największych okrętów przeszło na stronę wroga, a teraz – pokryte farbą ochronną i obsadzone najlepszymi artylerzystami na Barsoom – przedarły się przez ich linie, siejąc wokół śmierć i zniszczenie.

Tuzin statków Tul Axtara poddało się dobrowolnie, po czym reszta zawróciła i poszła w rozsypkę. Tylko nieliczne poleciały w stronę Jahar, co wskazywało, że uznali miasto za stracone.

John Carter nie próbował ścigać uciekających okrętów; zamiast tego rozstawił przechwycone jednostki, których było już razem ponad trzydzieści, wokół floty Helium, aby na wypadek nowego ataku chronić ją przed miotaczami promieni, po czym ruszyliśmy powoli w stronę Jahar.

# ROZDZIAŁ 15

## ROZPACZ

Zaraz po zakończeniu bitwy John Carter posłał po mnie i po paru chwilach weszliśmy z Tavią na pokład okrętu flagowego.

Wódz przywitał nas osobiście.

– Wiedziałem, że syn Had Urtura spisie się, jak trzeba – powiedział. – Helium z trudem zdoła spłacić zaciągnięty dziś wobec ciebie dług wdzięczności. Znasz Jahar; twoje dzisiejsze dokonania o tym świadczą. Czy możemy lecieć bezpiecznie do miasta i zająć je?

– Nie – odparłem, po czym wyjaśniłem pokrótce, jak potężną armię zgromadził Tul Axtar i jaką bronią chciał podbić cały świat. – Ale jest inny sposób – powiedziałem.

– Jaki? – zapytał.

– Wyślij tam jeden z przejętych okrętów z sygnałem zawieszenia broni. Uważam, że Tul Axtar podda się. To tchórz, uciekł w przerażeniu z pola bitwy, kiedy była jeszcze nierozstrzygnięta.

– Czy będzie respektował sygnał zawieszenia broni?

– Tak, jeśli zobaczy go na jednym z własnych statków, chronionych niebieską farbą – powiedziałem. – A równocześnie z tym statkiem poleci tam mój niewidzialny „Jhama”. Wiem, jak dostać się do pałacu. Udało mi się uprowadzić Tula Axtara i może uda mi się to znowu. Mając go w rękę, będziesz mógł dyktować warunki dworskim dygnitarzom, którzy boją się potęgi wygłodzonych tłumów, które od buntu powstrzymuje tylko instynktowny lęk przed ich jeddakiem.

Kiedy czekaliśmy na zdobyczny krążownik, który miał zanieść do Jahar sygnał zawieszenia broni, John Carter wyjaśnił mi, co opóźniło wyprawę o tyle miesięcy.

Zarządca pałacu Tor Hatana, niosący mu wiadomość ode mnie, która spowodowałaby błyskawiczny atak na Jahar, zginął w drodze do pałacu Wodza. Co za tym idzie, Tul Axtar był poza podejrzeniem, a okręty Helium przez wiele miesięcy przeczesywały nadaremnie Barsoom w poszukiwaniu Sanoma Tory.

Przypadek zrządził, że Kal Tavan – niewolnik, który słyszał moją rozmowę z zarządcą – dowiedział się, że nie wysłano okrętów do Jahar; zwykle bowiem właściciele nie zwracają się niewolnikom, a już z pewnością nie robił tego arogancki Tor Hatan. Kal Tavan w końcu jednak dowiedział się o tym, po czym udał się do Wodza i opowiedział mu swoją historię.

– Wyzwoliłem go za to – powiedział John Carter. – A ponieważ jego postawa wskazywała, że – choć sam o tym nie wspomniał – w swojej ojczyźnie należał do arystokracji, powierzyłem mu stanowisko we flocie. Okazał się wspaniałym żołnierzem i niedawno awansowałem go na dwara. Ponieważ urodził się w Tjanath i służył w Kobol, znał tę część Barsoom lepiej niż ktokolwiek inny w Helium, dlatego przydzieliłem mu funkcję nawigatora floty i jest tu na okręcie flagowym.

– Miałem okazję poznać go zaraz po uprowadzeniu Sanoma Tory – powiedziałem. – Zrobił na mnie wspaniałe wrażenie. Cieszę się, że odzyskał wolność i zdobył uznanie Wodza.

Krążownik, który miał zanieść do Jahar sygnał zawieszenia broni, był już przy burcie okrętu flagowego. Dowódca zameldował się Wodzowi, a kiedy przyjął od niego instrukcje, wróciliśmy z Tavią na „Jhamę”. Postanowiliśmy samodzielnie zająć się naszą częścią planu, ponieważ gdyby konieczne okazało się ponowne uprowadzenie Tula Axtara, miałem nadzieję, że znajdziemy również Phao i Sanoma Torę, a w tym przypadku

ciasna kabina statku byłaby zatłoczona nawet bez dodatkowych członków załogi. Obaj towarzyszący nam do tej pory padwarowie niechętnie opuścili statek, spędziwszy na nim jak sądzę najwspanialsze, choć krótkie chwile swojego życia. Aby im to wynagrodzić, uzyskałem zgodę Wodza, aby polecieć z nami do Jahar na pokładzie krążownika.

Zostaliśmy znów sami.

– Może to nasz ostatni lot „Jhamą” – powiedziałem.

– Z radością odpocznę – stwierdziła.

– Czujesz się zmęczona? – zapytałem.

– Bardziej niż mi się wydawało, zanim znów poczułam się bezpieczna w otoczeniu wielkiej floty Helium. Chyba zmęczyło mnie życie w stałym zagrożeniu.

– Nie powinienem zabierać cię ze sobą – stwierdziłem. – Mamy jeszcze czas, żeby odstawić cię na okręt flagowy.

Uśmiechnęła się.

– Znasz mnie chyba lepiej, Hadronie – oznajmiła.

Istotnie, wiedziałem, że nie opuściłaby mnie. Sunęliśmy w milczeniu po niebie w pewnej odległości za rufą krążownika. Kiedy spojrzałem na twarz Tavii, miałem wrażenie, że dostrzegłem w niej ogromne znużenie i parę wywołanych smutkiem drobnych zmarszczek, których do tej pory nie widziałem. Po pewnym czasie odezwała się znowu, monotonnym, obcym głosem.

– Tym razem Sanoma Tora chyba chętnie z tobą pójdzie – stwierdziła.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Zechce czy nie, nic dla mnie nie znaczy. Mam tylko obowiązek sprowadzić ją z powrotem do Helium.

Skinęła głową.

– Może tak będzie najlepiej – rzekła. – Jej ojciec jest wysokim dygnitarzem i bogaczem.

Nie rozumiałem, co to miało do rzeczy, a nie interesując się w tej chwili szczególnie Sanoma Torą ani jej ojcem, nie ciągnąłem rozmowy dalej.

Wiedziałem, że o ile okaże się to możliwe, miałem obowiązek dostarczyć ją do Helium i nie obchodziła mnie poza tym.

Zdążyliśmy podejść na odległość wzroku od miasta, zanim natknęliśmy się na jakieś okręty, po czym do jednostki niosącej sygnał zawieszenia broni podleciał krążownik Jahar. Dowódcy obu statków zamienili parę słów, po czym okręt Jahar zawrócił i poleciał powoli przodem w stronę pałacu Tul Axtara. Wyprzedziłem go, ponieważ miałem w głowie gotowy plan działania, a chroniony przez niewidzialność „Jhama” nie potrzebował eskorty. Skierowałem się prosto do części pałacu, w której mieściło się skrzydło kobiet i okrążałem je powoli z peryskopem ustawionym na linię okien.

Minęliśmy część, gdzie znajdowała się sala, w której Tul Axtar zasiadał na tronie w otoczeniu swojego haremu, po czym oko peryskopu znalazło się naprzeciw okien wspianiałego apartamentu. Zatrzymałem przed nim statek, podobnie jak wcześniej w paru innych miejscach, które uznałem za warte zbadania, i obracałem powoli peryskopem, oglądając na ekranie przed sobą kolejne części wielkiego pomieszczenia. Na szlifowanym szkle pojawiły się dwie kobiece sylwetki, które od razu rozpoznałem: jedną była Sanoma Tora, drugą – Phao. Pierwsza odziana była we wspianiały strój jeddary. Moja ukochana spełniła wreszcie swoją ambicję, ale nie poczułem wcale ukłucia zazdrości. Obejrzałem resztę pomieszczenia i nie zauważywszy wewnątrz nikogo poza nimi, podleciałem pod parapet okna, podniosłem włącz i wskoczyłem do pokoju.

Na mój widok Sanoma Tora podniosła się z otomany, na której siedziała, i cofnęła się, zdjęta grozą. Sądziłem, że zamierzała wzywać pomocy, ostrzegłem ją więc, żeby milczała. Równocześnie Phao skoczyła do przodu i chwyciwszy ją za ramię, zakryła jej usta dłonią. Po chwili stanąłem przy niej.

– Armada Jahar została rozbita przez okręty Helium – powiedziałem – a ja przybywam, żeby zabrać cię do ojczyzny.

Trzęsła się tak mocno, że nie była w stanie odpowiedzieć. Nie widziałem jeszcze nigdy tak rozpaczliwej grozy, wywołanej niewątpliwie nieczystym sumieniem.

– Cieszę się, że tu jesteś, Hadronie – powiedziała Phao. – Ufam, że mnie również tu nie zostawisz.

– Oczywiście – powiedziałem. – „Jhama” czeka za oknem. Chodźcie! Niedługo staniemy bezpiecznie na okręcie flagowym Wodza.

Mówiąc to, zdałem sobie nagle sprawę z dziwnego hałasu, który dobiegał z oddali, wznosząc się i opadając. Teraz zdawał się rozlegać coraz bliżej. Nie rozpoznałem go, a nawet nie próbowałem, ponieważ w najlepszym wypadku niezbyt mnie interesował. Znalazłem osoby, których szukałem. Chciałem zabrać je na pokład, a następnie spróbować zlokalizować Tul Axtara.

Dokładnie w tej chwili drzwi do pokoju otworzyły się szeroko i wpadł przez nie jakiś człowiek. Był to Tul Axtar. Twarz miał pobladłą i oddychał ciężko. Na mój widok przystanął i cofnął się. Sądziłem, że zamierzał zawrócić i uciec, ale obejrzał się tylko z przerażoną miną przez otwarte drzwi, po czym odwrócił się do mnie, drżąc na całym ciele.

– Nadchodzą! – zawołał przerażonym głosem. – Rozerwą mnie na strzępy!

– Kto taki? – zapytałem.

– Ludzie! – powiedział. – Wyłamali bramy i idą tutaj! Nie słyszysz ich?

A zatem to był ten hałas, który zwrócił moją uwagę: wygłodniałe hordy mieszkańców Jahar szukające sprawcy ich nieszczęść.

– Mój statek czeka za oknem – oznajmiłem. – O ile zgodzisz się wejść na pokład jako jeniec wojenny, zabiorę cię do Wodza Barsoom.

– On też mnie zabije – jęknął Tul Axtar.

– Powinien – przytaknąłem.

Przyglądał mi się przez chwilę. Po jego oczach i minie poznałem, że zaświtał mu właśnie jakiś pomysł. Twarz rozjaśniła mu się i wyglądało

na to, że nagle nabrał otuchy.

– Polecę z tobą – powiedział – ale pozwól mi najpierw zabrać coś z tamtej szafy.

– Pospiesz się – rzuciłem.

Podszedł szybko do wysokiej szafy, sięgającej prawie do sufitu, po czym zniknął za otwartymi drzwiami.

Czekałem, słysząc na dolnych piętrach szczęk broni, krzyki i przekleństwa. Uznałem, że straży pałacowej udało się, przynajmniej chwilowo, powstrzymać tłum. Zacząłem się niecierpliwić.

– Pospiesz się! – zawołałem do Tul Axtara, ale nie odpowiedział. Zawołałem go znowu, z tym samym skutkiem. Podszedłem do szafy. Nie było go za drzwiami!

Szafa miała wiele przegród rozmaitej wielkości, żadna nie była jednak na tyle duża, aby zmieścić się w niej człowiek lub by ukryto w niej przejście do innego pomieszczenia. Rozejrzałem się szybko po pokoju. Tul Axtara nigdzie nie było. Zatrzymałem przypadkiem wzrok na Sanoma Torze. Najwyraźniej starała się przyciągnąć moją uwagę, ale bała się tak bardzo, że nie była w stanie się odezwać. Trzęsącymi się palcami wskazywała na okno. Spojrzałem w tę stronę, ale nic nie zauważyłem.

– O co chodzi? Co chcesz mi powiedzieć? – zawołałem, biegnąc w jej stronę.

– Zniknął! – wykrztusiła wreszcie. – Nie ma go!

– Kogo? – zapytałem.

– Tul Axtara.

– Gdzie zniknął? Co masz na myśli? – dopytywałem.

– Na „Jhamie”! Widziałam, jak właz otworzył się i zamknął.

– Przecież to niemożliwe. Cały czas patrzyliśmy... – Nagle uderzyła mnie myśl, która omal mnie nie ogłuszyła. Odwróciłem się do niej. – Niewidzialny płaszcz? – szepnąłem.

Skinęła głową.

Skoczyłem do okna, pokonując pomieszczenie prawie jednym skokiem, i wystawiłem rękę, próbując wymacać pokład statku. Nie było go tam. „Jhama” zniknął. Tul Axtar zabrał statek, a wraz z nim Tavię.

Odwróciłem się i wróciłem do Sanoma Tory.

– Przeklęta kobieto! – zawołałem. – Twój egoizm, zdrada i próżność naraziły na niebezpieczeństwo tę, której śladów nie jesteś godna deptać! – Pragnąłem zacisnąć palce na tej doskonałej szyi i oglądać agonię na pięknej twarzy, ale odwróciłem się tylko, opuszczając dłonie po bokach. Urodziłem się jako mężczyzna ze szlachetnej krwi Helium, i kobiety Helium, nawet takie jak Sanoma Tora, są dla mnie świętością.

Z dołu doszedł mnie odgłos wznowionej walki. Wiedziałem, że gdyby tłum przedarł się przez strażę, bylibyśmy zgubieni. Istniała tylko jedna nadzieja na choćby chwilę bezpieczeństwa; była nią smukła wieża nad skrzydłem kobiet.

– Za mną – rzuciłem oschle. Kiedy weszliśmy do głównego korytarza, zobaczyłem przelotnie wewnątrz wielkiej sali tronowej Tul Axtara. Roilo się w niej od przerażonych kobiet. Dobrze wiedziały, jaki los czekał harem jeddaka w rękach wściekłego tłumu. Współczułem im, ale nie mogłem ich uratować. Miałbym prawdziwe szczęście, gdyby udało mi się ocalić choć te dwie, które mi towarzyszyły.

Przeszliśmy przez korytarz i wspięliśmy się po rampie do składu, gdzie zarygłowałem drzwi; następnie wspiąłem się po drabinie ku kłapie na szczycie wieży. Phao i Sanoma Tora poszły za mną. Podniosłem kłapę i rozejrzałem się, po czym omal nie zawołałem głośno z radości, ponieważ nad dachem pałacu krążył nasz zdobyczny okręt rozjemczy. Nie obawiałem się, że zostanie zauważony przez żołnierzy z Jahar, ponieważ ci z nich, którzy nie byli właśnie zajęci ucieczką, mieli mnóstwo innych zmartwień na dole. Wyskoczyłem na szczyt wieży i krzyknąłem donośnie w stronę statku głosem, który z łatwością przebiłby się przez ryk tłumu.



Odpowiedziano mi z pokładu i chwilę później statek zrównał się z dachem wieży. Załoga pomogła mi przenieść Phao i Sanoma Torę na pokład.

Dowódca krążownika podszedł do mnie.

– Nasza misja okazała się daremna – oświadczył. – Dostałem właśnie wiadomość, że pałac został zdobyty przez tłum rozwścieczonych mieszkańców. Dygnitarze zarekwirowali wszelkie statki, które wpadły im w ręce, i uciekli. Nie mamy z kim negocjować pokoju. Nikt nie wie, co się stało z Tul Axtarem.

– Ja wiem – powiedziałem, po czym opowiedziałem mu, co zaszło w komnacie jeddary.

– Trzeba go ścigać – stwierdził. – Musimy go złapać i postawić przed obliczem Wodza.

– Gdzie zaczniemy poszukiwania? – zapytałem. – Mógłby lecieć o dwanaście sofadów od nas, a i tak nie zauważylibyśmy go. Nie bój się, będę go szukał i pewnego dnia znajdę, ale teraz tracilibyśmy tylko czas. Wracajmy na okręt flagowy.

Nie wiem, czy John Carter w pełni rozumiał poniesioną przez mnie stratę, ale domyślałam się, że tak właśnie było, ponieważ zaoferował wszelkie zasoby Helium, aby pomóc mi w poszukiwaniu Tavii.

Podziękowałem, prosząc tylko o szybki statek, w którym mógłbym spędzić resztę życia na – jak byłem w tej chwili szczerze przekonany – daremnych poszukiwaniach. Ostatecznie, skąd mogłem wiedzieć, w którym miejscu Barsoom postanowił ukryć się Tul Axtar. Z pewnością znał wiele odległych zakątków swojego królestwa, gdzie mógł spędzić bezpiecznie resztę pozostałego mu życia. Na pewno udał się do jednego z nich, a dzięki „Jhamie” mógł pozostać niezauważony. Nie miałem też żadnych wskazówek, którymi mógłbym się kierować. Na dodatek zabrał ze sobą Tavię, którą zamierzał pewnie uczynić swoją niewolnicą. Na tę myśl zatrząśłem się z gniewu i wbiłem paznokcie w dłonie.

Wódz polecił sprowadzić do burty okrętu flagowego jeden z najnowszych i najszybszych statków, zgrabny pojazd z otwartą kabiną, który z łatwością mógł pomieścić czterech do pięciu ludzi. Kazał zaopatrzyć go z własnych zapasów w prowiant i wodę, dorzucając do tego wino z Ptarthu i słoje słynnego miodu z Dusar.

Sanoma Tora i Phao zostały niezwłocznie odesłane do kabiny, ponieważ pokład okrętu podczas działań bojowych nie jest odpowiednim miejscem dla kobiet. Tuż przed moim odlotem zjawił się goniec z wiadomością, że Sanoma Tora pragnie zobaczyć się ze mną.

– Nie chcę jej widzieć – odparłem.

– Jej towarzyszka także prosiła, żebyś przyszedł – powiedział goniec.

To zmieniało postać rzeczy. Omal nie zapomniałem o Phao, ale skoro chciała się ze mną widzieć, udałem się od razu do kabiny, w której przebywały. Kiedy wszedłem, Sanoma Tora wyszła mi na spotkanie i padła przede mną na kolana.

– Wybacz mi, Hadronie! – powiedziała głośno. – Postąpiłam podle, ale zawiniła moja próżność, nie serce. Nie odlatuj, proszę! Wróc z nami do Helium, a poświęcę resztę życia, aby cię uszczęśliwić. Mój ojciec, Tor Hatan, jest bogaty i mąż jego jedynej córki będzie mógł pławić się w luksusie do końca życia.

Obawiam się, że wykrzywiłem wargi w grymasie szyderstwa, które czułem w sercu. Co za małostkowość! Nawet upokorzona i skruszona nie potrafiła dostrzec innego szczęścia i piękna poza majątkiem i władzą! Sądziła zapewne, że jej przejścia ją zmieniły, ale wiedziałem, że Sanoma Tora nie zmieni się nigdy.

– Przebacz mi, Hadronie! – powiedziała. – Wróc do mnie! Kocham cię. Teraz już o tym wiem.

– Twoja miłość nieco się spóźniła – oświadczyłem.

– Kochasz inną? – zapytała.

– Tak – odparłem.

– Czy to jeddara któregoś z obcych krajów, jakie zwiedziłeś? – chciała wiedzieć.

– Nie, to niewolnica – odpowiedziałem.

Otworzyła szeroko oczy w niedowierzaniu. Nie potrafiła wyobrazić sobie, aby ktoś wolał niewolnicę od córki Tor Hatana.

– Niemożliwe! – wykrztusiła.

– A jednak to prawda – zapewniłem. – Mała niewolnica jest dla mnie lepszą partią niż Sanoma Tora, córka Tor Hatana – mówiąc to, odwróciłem się do niej plecami i spojrzałem w stronę Phao. – Żegnaj, przyjaciółko! – powiedziałem. – Pewnie nigdy się już nie zobaczymy, ale dopilnuję, żebyś znalazła w Hastor dobry dom. Przed odlotem porozmawiam z Johnem Carterem i poproszę, żeby odesłał cię prosto do mojej matki.

Położyła mi dłoń na ramieniu.

– Pozwól mi lecieć z tobą – powiedziała. – Może szukając Tavii, zawędrujesz w okolice Jhamy.

Pojąłem od razu, co miała na myśli i zganiałem się w myślach, że choćby na chwilę mogłem zapomnieć o Nur Anie.

– Zabiorę cię ze sobą – oznajmiłem – i zanim zrobię cokolwiek innego, wrócę do Jhamy i wyrwę Nur Ana z rąk tego starego nieszczęśnika, Phor Taka.

Nie oglądając się na Sanoma Torę, opuściłem kabinę w towarzystwie Phao, i pożegnawszy się krótko z Wodzem, weszliśmy na pokład nowego statku, po czym żegnani przyjaznymi słowami załogi obraliśmy kurs na zachód, w stronę Jhamy.

Ponieważ nie chroniła nas niewidzialna farba Phor Taka ani związek zapewniający odporność na promienie dezintegratorów, musieliśmy wypatrywać bacznie statków nieprzyjaciela. Co prawda, nie obawiałem się ich zbytnio, wiedząc, że jeśli uda się nam zauważyć je na czas, prześcigniemy z łatwością każdy z nich.

Ustawiłem kompas sterujący na Jhamę i zwiększyłem prędkość. Nad nami zapadła prędko marsjańska noc; jedynym odgłosem był świst rzadkiego powietrza pędzącego wzdłuż burt, który zagłuszał cichy pomruk silnika.

Po raz pierwszy od spotkania w komnacie jeddary Jahar miałem okazję porozmawiać z Phao. Zapytałem ją przede wszystkim, jak doszło do tego, że zostawiwszy mnie z Tavią w U-Gor, Tul Axtar porzucił „Jhamę”.

– To przez przypadek, który przyprawił go o wielki napad gniewu – powiedziała. – Lecieliśmy w kierunku Jahar, kiedy zauważył jeden z okrętów jego floty. Rozpoznali swojego władcę i zabrali nas na pokład. Była noc i w zamieszaniu zapomniał na chwilę o „Jhamie”, który oddalił się pewnie od okrętu po tym, jak zeszliśmy z pokładu. Szukali go jeszcze przez jakiś czas, ale w końcu musieli zrezygnować i odlecieli w stronę Jahar.

Cud obecności „Jhamy” na szczycie wzniesienia, gdzie dzięki opatrnościowemu zrządzeniu losu znaleźliśmy go w odpowiedniej chwili, aby uciec łowcom z U-Gor, przestał być zagadką. O tej porze roku w tej części Barsoom dominują wiatry z północnego zachodu. Statek dryfował po prostu i osiadł przypadkiem na najwyższym grzbiecie pasma.

Phao powiedziała mi również, dlaczego Tul Axtar uprowadził Sanoma Torę z Helium. Od jakiegoś czasu utrzymywał w mieście swoich szpiegów, którzy donieśli mu, że najlepszym sposobem na zwabienie floty Helium do Jahar będzie porwanie kobiety szlchetnego rodu. Polecił im wybrać jakąś piękność i trafił, że los padł na córkę Tor Hatana.

– Ale jak zamierzali zwabić flotę Helium, skoro nie zostawili żadnych wskazówek co do tego, kto ją uprowadził? – zapytałem.

– Stało się tak, ponieważ Tul Axtar nie był jeszcze gotowy na atak ze strony Helium – wyjaśniła Phao. – Za to wysłał swoim agentom wiadomość, aby podrzucili wskazówki co do miejsca pobytu Sanomy Tory, kiedy John Carter pozna z innych źródeł tożsamość jej porywaczy.

– A zatem wszystko poszło zgodnie z jego planem – stwierdziłem. – Oprócz samego końca.

Podróż mijała nam wśród urywanych rozmów i długich okresów milczenia, kiedy każde z nas było pochłonięte własnymi myślami. Phao zmagala się niewątpliwie z lękiem zmieszany z nadzieją, za to w moich myślach nie było zbyt wiele miejsca na nadzieję. Jedyńa radosną perspektywą było uratowanie Nur Ana i połączenie go z Phao. Następnie zamierzałem przewieźć ich do dowolnego kraju, do którego zechcą się udać, i wrócić w okolice Jahar, aby kontynuować beznadziejne poszukiwania.

– Słyszałam, co powiedziałaś w kabinie do Sanoma Tory – powiedziała Phao po dłuższym okresie milczenia. – I ucieszyłam się.

– Powiedziałem jej wiele słów – odparłem. – Co dokładnie masz na myśli?

– Powiedziałeś, że kochasz Tavię – rzekła.

– Nie powiedziałem nic podobnego – zachnąłem się, ponieważ sama wzmianka o miłości nieomal napawała mnie odrazą.

– Ależ tak – obstawała przy swoim. – Powiedziałeś, że kochasz małą niewolnicę i wiem, że mówiłeś o Tavii. Zobaczyłam to w twoich oczach.

– Nic podobnego. Kochasz po prostu Nur Ana i uważasz, że wszyscy inni także muszą być zakochani.

Roześmiała się.

– Kochasz ją, a ona kocha ciebie.

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi i to bardzo dobrymi – broniłem się, jak mogłem. – Poza tym wiem, że Tavia mnie nie kocha.

– Skąd wiesz?

– Nie mówmy już o tym – odparłem, ale choć przerwaliśmy rozmowę, zacząłem o tym myśleć. Przypomniałem sobie, że istotnie oświadczyłem Sanoma Torze, że kocham małą niewolnicę i wiedziałem, że mówiąc to, myślałem o Tavii. Uznałem jednak, że powiedziałem to bardziej, aby ją

zranić niż w jakimkolwiek innym celu. Próbowałem zbadać swoje uczucia, ale w końcu dałem sobie z tym spokój, uznawszy to za głupie. Oczywiście, że nie kochałem Tavii – nie kochałem nikogo; nie było już we mnie miłości. Zabiła ją Sanoma Tora. Tak samo byłem pewny, że Tavia również mnie nie kochała: gdyby było inaczej, dałaby to po sobie poznać, a byłem przekonany, że nie okazywała mi nigdy żadnych uczuć poza najwspanialszą przyjaźnią. Tak jak mówiła, byliśmy tylko towarzyszami broni i poza tym nie łączyło nas nic.

Było jeszcze ciemno, kiedy ujrzałem daleko w dole lśniący miękką bielą w świetle księżyca pałac Phor Taka. Mimo późnej pory, w niektórych oknach widać było światła. Miałem nadzieję, że wszyscy w budynku spali, ponieważ powodzenie mojego planu zależało od tego, czy uda mi się dostać ukradkiem do środka. Wiedziałem, że Phor Tak nie wystawiał na noc straży, w przekonaniu, że w tak odludnym zakątku świata nie była mu potrzebna.

Zlatywałem cicho coraz niżej, aż posadziłem statek na dachu, w miejscu, gdzie wylądowaliśmy z Nur Anem, ponieważ wiedziałem, że znajdę tam wejście do wnętrza budynku.

– Zaczekaj przy sterach, Phao – szepnąłem. – Musisz zachować gotowość, może się bowiem złożyć, że będziemy musieli opuścić pałac w pośpiechu.

Skinęła głową ze zrozumieniem. Po chwili zsunąłem się bezszelestnie na dach i podszedłem ostrożnie do otworu prowadzącego do wnętrza.

Zatrzymałem się u szczytu pochylni, sprawdzając, czy moja broń była na miejscu. John Carter zaopatrzył mnie w nowy ekwipunek. Znów miałem na sobie skóry i metal Helium, z pełnym uzbrojeniem wojownika Barsoom. Długi miecz wykonano z najlepszej stali, ponieważ pochodził z osobistego arsenału Wodza. Oprócz niego miałem przy sobie krótki miecz, sztylet i ciężki pistolet radowy w kaburze na biodrze. Poluzowałem lekko zapięcie kabury i ruszyłem w dół.

Zbliżając się do podstawy rampy, usłyszałem jakiś głos. Dobiegał od strony laboratorium Phor Taka, którego drzwi wychodziły na korytarz u dołu pochylni. Skradałem się powoli. Drzwi do laboratorium były zamknięte. Za nimi rozmawiało dwóch ludzi. Rozpoznałem wysoki, cienki głos Phor Taka; drugi nie należał do Nur Ana, a jednak brzmiał dziwnie znajomo.

– ...bogactwa, o jakich nie śniłeś – powiedział właśnie.

– Nie potrzeba mi twoich bogactw – zachrypiał Phor Tak. – A skąd! Niedługo będę miał na własność wszystkie skarby świata.

– Potrzebna ci pomoc – powiedział drugi głos błagalnym tonem. – Zapewnię ci ją, oddam ci wszystkie statki mojej wielkiej floty.

To stwierdzenie obudziło moją czujność. „Wszystkie statki mojej wielkiej floty”! Niemożliwe, a jednak...

Pchnąłem delikatnie drzwi. Ku mojemu zdziwieniu otworzyły się szeroko, odsłaniając przede mną wnętrze laboratorium. W jasnym świetle lampy stał Tul Axtar. Phor Tak stał pięćdziesiąt stóp od niego za ławą, na której stał wymierzony prosto w jeddaka miotacz promieni.

Gdzie była Tavia? A Nur An? Możliwe, że tylko Tul Axtar znał miejsce pobytu Tavii, a obłąkany naukowiec zamierzał go zabić. Krzyknąłem ostrzegawczo, wpadając do środka. Obejrzeli się na mnie z wypisanym na twarzach niezmiernym zaskoczeniem.

– No proszę! – zawołał wynalazca. – A jednak wróciłeś! Ty łotrze! Niewdzięczniku! Zdrajco! Nie znajdziesz tu nic oprócz śmierci!

– Zaczekaj – powiedziałem, unosząc dłoń. – Pozwól mi coś powiedzieć.

– Cisza! – wrzasnął Phor Tak. – Będziesz oglądał śmierć Tul Axtara. Nie podobała mi się myśl, że będę musiał uśmiercić go bez świadków i nikt nie będzie oglądał jego przedśmiertnej męki. Teraz zemszczę się najpierw na nim, a potem na tobie.

– Stój! – zawołałem. Palec naukowca zawisł nad przyciskiem, który miał przenieść Tul Axtara w niebyt, najprawdopodobniej wraz z tajemnicą

miejsca, w którym ukrył Tavię.

Sięgnąłem po pistolet. Phor Tak zrobił gwałtowny ruch dłońmi i zniknął, zupełnie jak za sprawą wynalezionych przez niego promieni dezintegracji, ale wiedziałem, co się stało. Zrzucił na siebie niewidzialny płaszcz; strzeliłem więc w miejsce, gdzie widziałem go po raz ostatni.

Równocześnie podłoga zapadła się pode mną i runąłem w nieprzeniknioną ciemność.

Spadałem po jakiejś gładkiej powierzchni, która stopniowo zmieniała kierunek na poziomy. Po chwili wpadłem do słabo oświetlonego pomieszczenia, które znajdowało się na pewno w pałacowych lochach.

Spadając, nie wypuszczałem z dłoni pistoletu, który podnosząc się, wsunąłem z powrotem do kabury. Przynajmniej nie zostałem bez broni.

Odkryłem, że słabe światło, niewiele lepsze od całkowitej ciemności, wpadało z osadzonego w suficie wywietrznika, a poza szybem, którym tu trafiłem, w celi nie było innych otworów – ani w murach, ani w suficie czy podłodze. Wywietrznik miał około dwóch stóp średnicy i prowadził prosto na dach, położony o parę pięter w górze. Wyciągnąłem palce jak najwyżej mogłem, ale dolny wylot szybu nadal był około dwóch stóp nad ich czubkami. Ucieczka tą drogą była więc niemożliwa, a przy tym jakże drażniąco bliska: do szachu doprowadzał mnie widok światła i znajdującej się tuż nad moją głową, nieosiągalnej drogi do świata zewnętrznego. Cieszyłem się, że wstało słońce, które oświetlało celę żywym światłem, ponieważ gdybym wpadł tu w całkowitej ciemności, moje położenie wydałoby mi się nieskończenie gorsze, a przodkowie wiedzieli, że i tak nie należało już do łatwych. Skupiłem uwagę na rynnie, którą tu wleciałem. Okazało się, że byłem w stanie wspiąć się nią na niewielką odległość, dalej jednak zakręcała ostro w górę, a wspinaczka po gładkich ścianach była niewykonalna.

Po raz kolejny trafiłem do lochów. Musiałem stąd uciec, ale kiedy mój wzrok przyzwyczał się do słabego światła, zauważyłem na podłodze celi



widok, który odebrał mi resztki nadziei i przejął mnie grozą. Kamienne płyty posadzki zasłane były stertami ludzkich kości, ogryzionych do czysta przez szczury. Zadrzałem, myśląc o nadejściu nocy. Ile czasu miało upłynąć, zanim moje kości dołączą do pozostałych?

Na myśl o tym poczułem ogarniający mnie lęk, nie o siebie, a o Tavię. Nie mogłem zginąć! Musiałem przeżyć! Musiałem żyć, dopóki jej nie znajdę!

Obszedłem celę szybkim krokiem, szukając czegokolwiek, co dałoby mi choć cień nadziei, ale wszędzie widziałem tylko osadzone w miękkiej zaprawie grubo ciosane kamienie.

Miękka zaprawa! Na tę myśl poczułem świeżą nadzieję. Gdyby udało mi się wyjąć kilka bloków z muru i ustawić je jeden na drugim, z łatwością sięgnąłbym otworu w suficie. Wyjąłem sztylet i zabrałem się do pracy, wyskrobując zaprawę wokół kamienia w najbliższej ścianie. Praca zdawała się iść powoli, ale w rzeczywistości w niewiarygodnie krótkim czasie udało mi się obluzować kamień. Zaprawa była kiepska i łatwo się kruszyła. Kiedy wyciągnąłem blok ze ściany, na widok tego, co ujrzałem za nim, mój pierwotny plan przestał się liczyć. Otwór wychodził na korytarz dochodzący do podstawy spiralnej rampy, która prowadziła gdzieś w górę, skąd docierało światło dnia.

Wiedziałem, że gdyby udało mi się usunąć jeszcze trzy kamienie, zanim zostanę zauważony, zdołałbym precyzyjnie przycisnąć się do korytarza, i możecie mi wierzyć, że pracowałem naprawdę prędko.

Poluzowałem i usunąłem kolejne bloki kamienia, i niesiony euforią wyśliznąłem się do korytarza. Nade mną wznosiła się rampa. Nie wiedziałem, dokąd prowadziła, ale przynajmniej dzięki niej mogłem wydostać się z podziemi. Ostrożnie, choć bez chwili wahania, zacząłem wspinać się po niej. Musiałem postarać się dotrzeć do laboratorium, zanim Phor Tak uśmierci Tul Axtara. Tym razem przed wejściem zamierzałem

upewnić się, gdzie jest wynalazca, i modliłem się do przodków, abym zdążył na czas.

Drzwi prowadzące z pochylni na różne piętra pałacu były pozamykane i musiałem wejść aż na dach. Okazało się, że skrzydło budowli, w którym się znalazłem, było w mniejszym czy większym stopniu oddzielone od reszty gmachu i w pierwszej chwili nie dostrzegałem żadnego sposobu na przedostanie się na któryś z sąsiednich dachów.

Obszedłem pospiesznie krawędź budynku w poszukiwaniu zejścia na dach w dole i piętro niżej ujrzałem widok, który błyskawicznie przykuł moją uwagę. Zobaczyłem nogę mężczyzny, sterczącą z okna, jakby właściciel przełożył ją właśnie przez parapet. Chwilę później wychylił się dalej i ujrzałem rękę, czubek głowy i barki. Wyciągnął rękę w dół, po czym podniósł ją i chwilę później w powietrzu pod nim pojawiło się coś, czego nie było tam wcześniej. W tej samej chwili zauważyłem leżącą parę stóp niżej dziewczynę, po czym mężczyzna zsunął się prędko przez parapet i zniknął, a ja znów miałem pod sobą tylko kamienne płyty dziedzińca.

Ta krótka chwila wystarczyła jednak, żebym zrozumiał, co zobaczyłem: ujrzałem, jak Tul Axtar uniósł właz „Jhamy”, oraz leżącą pod nim na podłodze statku związaną Tavię. Widziałem też, jak Tul Axtar zszedł do wnętrza statku i zamknął za sobą właz.

Opowiadanie o tym trwa długo w porównaniu z czasem, jaki naprawdę to zajęło; sam również nie zwlekałem z działaniem tak długo, jak z doborem słów.

Skoczyłem, ledwie zamknął się właz.

## ROZDZIAŁ 16

# KSIĘŻNICZKA

Twierdzić, że skacząc w powietrze, gdzie nic nie dzieliło mnie od położonych czterdzieści stóp w dole płyt dziedzińca, w pełni zdawałem sobie sprawę ze skutków tego czynu, byłoby równie nierozważnie, jak zakładać, że działałem tylko pod wpływem nieświadomego impulsu. Zdarzają się sytuacje, w których umysł musi działać z niewyobrażalną prędkością. Postrzega, wyciąga wnioski i podejmuje rozstrzygające decyzje tak szybko, że zdaje się, iż wszystkie te działania zachodzą równocześnie. Tak właśnie musiało być w tym przypadku.

Wiedziałem, gdzie dokładnie w pozornie pustej przestrzeni pode mną znajdowała się wąska kładka na górnym pokładzie „Jhamy”, ponieważ skoczyłem niemal w tej samej chwili, kiedy zamknął się właz. Wiem, oczywiście, tak samo jak wiedziałem wtedy, że byłoby to trudne i niebezpieczne nawet gdybym widział statek. Patrząc wstecz, nie widzę jednak nic innego, co mógłbym zrobić. Miałem jedną, ostatnią szansę, żeby uratować Tavię przed losem gorszym od śmierci; możliwe, że ostatnią okazję, żeby ją zobaczyć. Skoczyłbym znowu w podobnych okolicznościach, choćbym wiedział, że nie wyląduję na pokładzie, ponieważ tak samo jak wtedy wiem, że wolałbym zginąć niż stracić Tavię; różnica tylko w tym, że wtedy nie wiedziałem jeszcze dlaczego.

Udało mi się jednak trafić w cel i wylądować dokładnie na wąskiej kładce. Tul Axtar musiał poczuć, kiedy uderzyłem w górny pokład, ponieważ statek opadł nieco pod moim ciężarem. Na pewno ciekawił się,

co się stało, choć nie sądzę, żeby domyślał się prawdy. Wbrew moim nadziejom nie uniósł jednak władu. Zamiast tego rzucił się do sterów, ponieważ „Jhama” wzniósł się błyskawicznie pod kątem ostrym, przez co trudno mi było utrzymać się na pokładzie, którego nie wyposażyłem w pierścienie do upręży. Nie spadłem jednak, uchwyciwszy się przedniej krawędzi wieżyczki.

Kiedy Tul Axtar wzbił się na dostateczną wysokość i wyrównał kurs, przyspieszył tak mocno, że przez chwilę miałem wrażenie, iż bijący we mnie ze straszliwą prędkością wiatr zmusi mnie do zwolnienia niepewnego chwytu i rzuci mną daleko w dół na ziemię. Na szczęście jestem silny – w przeciwnym wypadku nie przeżyłbym tej próby; mimo to czułem się całkowicie bezradny.

Gdyby Tul Axtar domyślał się prawdy, mógłby unieść wład i być panem sytuacji, bowiem choć nadal miałem u boku pistolet, nie zdołałbym uwolnić żadnej ręki, żeby go użyć. Z pewnością nie wiedział jednak, co się stało, a nawet jeśli domyślał się czegoś, najwyraźniej miał nadzieję, że sama prędkość wystarczy, aby pozbyć się tajemniczego intruza z pokładu.

Nie musiałem wisieć długo w tej pozycji, żeby uświadomić sobie, że w końcu mój chwyt osłabnie i spadnę. Musiałem poprawić swoje położenie. Trzeba było ratować Tavię, a ponieważ nie mogłem zrobić tego nikt poza mną, nie wolno mi było zginąć.

Wyteżyłem wszystkie mięśnie, podciągając się do przodu, aż oparłem się piersią o wieżyczkę. Cal po calu przesuwalem się powoli przed siebie. Tuż przed sobą miałem tubę peryskopu. Gdyby udało mi się jej dosięgnąć, zyskałbym nieco bezpieczniejszą pozycję. Wiatr targał mną, próbując zerwać z pokładu. Lewym przedramieniem zacieśniłem chwyt na wieżyczce, po czym wyciągnąłem szybko przed siebie prawą dłoń i zacisnąłem palce na tubie.

Teraz bez trudu zarzuciłem część upręży na przednią krawędź wieżyczki. Miałem nareszcie wolną rękę, ale dopóki statek leciał dalej, nie

było większych nadziei, że uda mi się działać cokolwiek poza tym.

Co działo się w kabinie? Czy Tavia mogła być choć przez chwilę bezpieczna we władzy Tul Axtara? Na myśl o tym poczułem, jak ogarnia mnie szal. Musiałem zatrzymać statek! Nagle poczułem przypływ natchnienia.

Wolną dłonią odpiąłem od upręży jedną z kieszeni, po czym podciągnąłem się dalej i założyłem ją na oko peryskopu.

Tul Axtar został oślepiiony. Przestał cokolwiek widzieć i po chwili postąpił zgodnie z moimi oczekiwaniami i nadzieją. Statek zwolnił i wreszcie zatrzymał się.

Opierałem się częścią ciała o przedni właz i przesunąłem się do przodu z nadzieją, że Tul Axtar wyjrzy właśnie tędy, ponieważ siedzenie pilota znajdowało się bliżej tego otworu. Czekałem, po czym spojrzawszy do przodu zauważyłem, że otworzył otwory obserwacyjne, dzięki czemu mógł sterować statkiem. Tym samym udaremnił mój plan.

Rozczarowany, nie porzuciłem jednak nadziei. Zachowując ciszę, spróbowałem otworzyć właz, ale okazał się zamknięty od środka. Prędko przesunąłem się po cichu do tylnego włazu. Gdyby Tul Axtar uruchomił teraz napęd z pełną mocą, byłoby po mnie, musiałem jednak podjąć to ryzyko. Statek ruszał właśnie, kiedy położyłem rękę na pokrywie. Tym razem nie próbowałem działać cicho ani delikatnie. Szarpnąłem energicznie i właz uniósł się. Bez chwili wahania zsunąłem się do wnętrza statku, kiedy ten skoczył przed siebie z pełną prędkością.

Kiedy wylądowałem, Tul Axtar usłyszał mnie i odwrócił się od sterów, żeby na mnie spojrzeć. Rozpoznał mnie i chyba jeszcze nigdy nie widziałem takiej mieszaniny zdumienia, strachu i nienawiści, jaka wykrzywiła jego rysy. U jego stóp leżała Tavia, tak cicha i nieruchoma, że wziąłem ją za martwą. Tul Axtar sięgnął po pistolet. Ja również chwyciłem za broń, ale prowadziłem o wiele bardziej czyste życie niż mój przeciwnik,

więc posiadałem o wiele lepszą koordynację niż człowiek, który strawił życie na rozpuście.

Trafiłem go prosto w przeżarte zepsuciem serce i Tul Axtar, jeddak i tyran Jahar, padł bez życia na dolny pokład „Jhamy”.

Skoczyłem natychmiast do Tavii i odwróciłem ją. Tul Axtar związał ją i zakneblował. Z niejasnych przyczyn zasłonił jej również oczy, ale nie była martwa. Uświadomiwszy to sobie, omal nie rozplakałem się z radości. Oswobodziłem ją niezgrabnymi od pośpiechu palcami i już po paru chwilach trzymałem ją w ramionach.

Zdaję sobie sprawę, że kiedy dotknęliśmy się wargami, moje łzy spadły na jej twarz, ale nie wstydzę się tego. Tavia również płakała i przywarła do mnie kurczowo. Poczułem, jak jej najdroższe ciało zaczęło drżeć. Musiała być przerażona, a jednak byłem pewny, że ani przez chwilę nie okazała tego przed Tul Axtarem. Drżenie było reakcją na ulgę zmieszaną z radością, które przyszły w chwili, kiedy rozpacz zdawała się najgłębsza.

Nasze serca były razem. Tavia przyciągnęła mnie do siebie i dopiero teraz zrozumiałem wielką prawdę. Jak mogłem być tak nieskończenie głupi?! Jak mogłem sądzić, że to, co czułem do Sanoma Tory, było miłością? Jak mogłem wierzyć, że moja miłość do Tavii była tylko przyjaźnią? O ile to możliwe, przyciągnąłem ją jeszcze bliżej siebie.

– Moja księżniczko! – szepnąłem.

Te słowa, wypowiedziane przez mężczyznę do kobiety mają na Barsoom szczególne i nieodwracalne znaczenie, ponieważ można zwrócić się nimi wyłącznie do damy, którą chcemy pojąć za żonę.

– Nie, nie! – szlochała Tavia. – Jestem twoją własnością i możesz mnie wziąć, kiedy zechcesz, ale jestem tylko niewolnicą. Tan Hadron z Hastor nie może połączyć się z kimś takim.

Nawet w tej chwili myślała nie o sobie, a o mnie i moim szczęściu. Co za różnica dzieliła ją od kogoś pokroju Sanoma Tory! Narażałem życie, aby zdobyć grudę ziemi, a znalazłem bezcenny klejnot!

Spojrzałem w jej oczy, te urzekające i niezgłębione studnie miłości i zrozumienia.

– Kocham cię, Tawio – oświadczyłem. – Pozwól mi nazywać cię moją księżniczką.

– Mimo że jestem niewolnicą? – zapytała.

– Choćbyś była kimś tysiąc razy gorszym – odpowiedziałem.

Westchnęła i wtuliła się we mnie.

– Mój wodzu – szepnęła bardzo cicho.

I to tyle, jeśli chodzi o historię Tan Hadrona z Hastor. Ta chwila była najwyższym szczytem, jaki mogę w życiu osiągnąć. Są jednak inne kwestie, które mogą ciekawić tych, którzy towarzyszyli mi aż dotąd w przygodach, podczas których przemierzyłem połowę południowej części Barsoom.

Kiedy zdołaliśmy z Tawią oderwać się od siebie, co nie nastąpiło prędko, otworzyłem dolny właz i posłałem zwłoki Tul Axtara na ostatnie miejsce spoczynku na jałowym pustkowiu. Następnie zawróciliśmy w stronę Jhamy, gdzie okazało się, że wcześniej tego samego dnia Nur An wyszedł na dach pałacu, gdzie wypatrzyła go Phao.

Kiedy usłyszał, że wszedłem do pałacu tuż przed świtem, zaczął obawiać się o mnie i rozpoczął poszukiwania. Nie wiedział o wizycie Tul Axtara i uznał, że jeddak przyleciał najwyraźniej po tym, jak udał się na spoczynek. Nie wiedział też, jak blisko była Tawia, związana na pokładzie „Jhamy” tuż przy murze pałacu.

Przetrząsnąwszy gmach odkrył za to, że Phor Tak zniknął. Zwołał niewolników i zaczęli przeczesywać uważnie całą budowlę, ale po naukowcu nie było ani śladu.

Pomyślałem, że potrafię rozwiązać zagadkę zniknięcia starego wynalazcy.

– Chodź ze mną – powiedziałem do Nur Ana – Możliwe, że wiem gdzie jest.

Zaprowadziłem go do laboratorium.

– Nie ma sensu tu szukać – stwierdził. – Byliśmy tu dziś ze sto razy. Wystarczy spojrzeć, żeby przekonać się, że laboratorium jest puste.

– Zaczekaj – rzuciłem. – Nie spiesz się zbytnio. Chodź ze mną, a może uda mi się go znaleźć.

Poszedł za mną, wzruszając ramionami. Wszedłem do laboratorium i podszedłem prędko do ławy, na której stał dezintegrator. Zaraz za nią trafiłem stopą w coś, czego nie widziałem, choć spodziewałem się tam znaleźć. Pochyliłem się i wymacałem na podłodze skuloną postać okrytą miękkim materiałem.

Zacisnąłem palce na niewidzialnej tkaninie i zerwałem ją. Na posadzce przed nami leżało martwe ciało Phor Taka, z otworem po kuli w piersi.

– Na Issus! – zawołał Nur An. – Kto to zrobił?

– Ja – odparłem, po czym opowiedziałem mu, co zdarzyło się w laboratorium u schyłku nocy.

Rozejrzał się pospiesznie.

– Zakryj go szybko – powiedział. – Nie możemy pozwolić, żeby niewolnicy dowiedzieli się o tym. Zabiliby nas. Odlatujmy stąd jak najprędzej.

Okryłem zwłoki ponownie niewidzialnym płaszczem.

– Zanim odlecimy, mam tu jeszcze coś do zrobienia – stwierdziłem.

– Co takiego? – zapytał.

– Pomóż mi zebrać w kącie wszystkie miotacze promieni i pociski do nich.

– Co chcesz z nimi zrobić? – chciał wiedzieć.

– Ocalić świat, Nur Anie – odpowiedziałem.

Zabrał się do dzieła i pomógł mi, a kiedy zrzuciliśmy wszystko na stertę w drugim końcu laboratorium, wziąłem jeden pocisk, po czym wróciłem do stojącego na ławie dezintegratora. Wsunąłem pocisk do komory, przeładowałem i skierowałem wylot lufy na straszliwy arsenał zagłady.



Wdusiłem przycisk i wszelkie pozostałości po zabójczych wynalazkach Phor Taka, które zostały w Jhamie, rozpląnęły się w powietrzu, oprócz jednego miotacza pozbawionego amunicji. Zniknął też model Skrzydlatej Śmierci, a wraz z nim tajemnica jej produkcji.

Nur An twierdził, że niewolnicy zaczęli nas podejrzewać, wobec czego, nie chcąc narażać się bez potrzeby, wsiedliśmy na подарowany mi przez Johna Cartera statek i holując „Jhamę” za sobą, obraliśmy kurs na Helium.

Dogoniliśmy flotę na krótko przed jej powrotem do bliźniaczych miast. Przywitano nas gromką owacją na pokładzie okrętu flagowego, po czym przeżyłem jeden z najbardziej niezwykłych i dramatycznych momentów w swoim życiu. Na górnym pokładzie okrętu wydano na naszą cześć coś w rodzaju nieformalnego przyjęcia. Oficerowie i dygnitarze otoczyli nas tłumnie, chcąc się przedstawić, zaś w stronę Tavii wędrowały liczne spojrzenia pełne uznania dla jej urody.

Nadeszła pora na dwara Kal Tavana, dawnego niewolnika w pałacu Tor Hatana. Kiedy stanął przed Tavią, zauważyłem w jego oczach zdumienie.

– Masz na imię Tavia? – powtórzył.

– Tak – odpowiedziała. – A ty Tavan! Brzmia podobnie.

– Nie muszę pytać, skąd jesteś – oświadczył. – Pochodzisz z Tjanath.

– Skąd wiesz? – zapytała.

– Ponieważ jesteś moją córką – oznajmił. – To imię nadała ci matka. Przypominasz ją. Poznałbym moją córkę wszędzie, choćby tylko po tym.

Ujął ją delikatnie w ramiona. Ujrzałem łzy w oczach obojga, kiedy przycisnęła wargi do jej czoła, po czym odwrócił się do mnie.

– Słyszałem, że dzielny Tan Hadron z Hastor chce zenić się z niewolnicą – powiedział. – To nieprawda. Twoja księżniczka jest prawdziwą księżniczką, wnuczką jeda. Gdybym został w Tjanath, byłaby córką jeda.

Jak zawiłe są ścieżki losu i ku jakim dziwnym i niespodziewanym końcom prowadzą! Ruszyłem jedną z nich, zamierzając poślubić u jej kresu

Sanoma Torę. Ona sama z kolei obrała inną drogę z nadzieją na poślubienie jeddaka. U jej końca czekała ją tylko hańba i niesława. Ja u kresu mojej znalazłem księżniczkę.

# Przypisy

[1] W przybliżeniu trzysta mil na godzinę.

---

[2] Około pięciuset mil na godzinę; haad wynosi 1949,0592 ziemskiej stopy a zod 2,4658 ziemskiej godziny.

---

[3] Ponad tysiąc mil na godzinę.

---

[4] Karad odpowiada jednemu stopniowi długości.

---

[5] Ad wynosi około 9,75 ziemskiej stopy.

---

[6] Marsjanie są jajorodni.

---

[7] Około piętnastu minut.

---

[8] Trzy godziny.

---

[9] Około pół godziny.

---

[10] Ziemia.